

ANAMNESES

WIEK XX.
ANAMNESES



PROGRAM 2. MIĘDZYNARODOWEGO
FESTIWALU HISTORYCZNEGO
WIEK XX. ANAMNESES
'89 KORZENIE WOLNOŚCI
WROCŁAW 24-27 LISTOPADA 2013

TYGODNIK POWSZECHNY

24 listopada 2013 nr 47 | Kraków
DODATEK SPECJALNY





RAFAŁ DUTKIEWICZ
PREZYDENT WROCŁAWIA

Tworzenie wolności

By bez obaw patrzeć w przyszłość, trzeba poznać, zrozumieć i zaakceptować swoją przeszłość. Wrocław jest miastem, które potrafi to robić – jego wielokulturowa, skomplikowana przeszłość mówi wieloma językami. Po 1945 r. mieszkańcy Wrocławia, który w wyniku wojny został totalnie zniszczony oraz przeżył prawie całkowitą wymianę ludności, musieli na nowo odkrywać przeszłość oraz własną tożsamość. Wbrew komunistycznym rządóm i ich propagandzie.

Wrocław był w latach 80. prawdziwą Twierdzą Solidarności, miastem sprzeciwu wobec ówczesnego systemu władzy. To właśnie doświadczenie Solidarności zjednoczyło ludzi, których rodzice i dziadkowie przyjechali do stolicy Dolnego Śląska z różnych stron Polski i świata. Potomkowie kresowian, powstańców warszawskich, Polaków powracających z Syberii i Kazachstanu, reemigrantów z Europy symbolicznie spotkali się w kolebce dolnośląskiej Solidarności – w zajezdni autobusowej MPK przy ul. Grabiszyńskiej, gdzie w najbliższej przyszłości powstanie centrum historii prezentujące wystawy poświęcone powojennej historii miasta.

Ważną jej częścią są wydarzenia prowadzące do przełomu roku 1989. W tym wyjątkowym czasie wrocławianie chcieli dzielić się wolnością z innymi. W czerwcu protestowali przeciwko przemocy na placu Niebiańskiego Spokoju w Pekinie, a na jednym z głównych placów w naszym mieście powstał pomnik Solidarni z Chinami. W listopadzie zorganizowali Przegląd Niezależnej Kultury Czeskiej i Słowackiej, nazwany przez Václava Havla uwerturą aksamitnej rewolucji. Potrzeba dzielenia się swoją wolnością i swoim dorobkiem kulturowym jest cechą charakterystyczną mieszkańców stolicy Dolnego Śląska. Jest to doskonała podstawa do realizacji zadań Europejskiej Stolicy Kultury, którą miasto stanie się w roku 2016.

Wolność, którą przyniósł rok '89, mieszkańcy miasta i jego elity intelektualne potrafiły wykorzystać w sposób hojny i nieegoistyczny, odkrywając nie tylko zapomniane lub zakazane dotychczas karty własnej historii, ale także pochylając się z empatią nad trudną niekiedy pamięcią

o tych, którzy mieszkali tu przed nami. We Wrocławiu od lat przywracamy i pielęgnujemy pamięć o Niemcach, Żydach, Czechach i przedstawicielach innych narodów, którzy zamieszkiwali i zamieszkują miasto. Pamiętamy także o polskiej historii miasta – zarówno tej dawnej, jak i najnowszej. Upamiętniamy powojenną, polską historię Wrocławia, starając się odejść od uproszczonej optyki ideologii Ziem Odzyskanych, z uzasadnioną dumą z własnych osiągnięć i z empatią wobec innych, odmiennych narracji.

„Korzenie wolności”, tegoroczny podtytuł festiwalu historycznego Anamneses, odwołuje się do przełomu 1989 r., a więc czasu, kiedy mogliśmy, pierwszy raz po kilkudziesięciu latach, swobodnie mówić o pamięci naszej i o pamięci miejsca, w którym żyjemy. Dziś, w niemal ćwierć wieku po przełomie, na tamte wydarzenia możemy i – co więcej – powinniśmy spojrzeć z perspektywy refleksji historycznej. Ideą przewodnią festiwalu jest „anamnezja” – „odpominanie”, proces złożony i niekiedy bolesny. Wrocław, miasto dla którego jego traumatyczna niekiedy historia nie jest garbem, lecz kapitałem, to miejsce, gdzie dyskusja o trudnych kartach przeszłości ma szansę być konstruktywna i oczyszczająca. Zapraszam więc do otwartej rozmowy o korzeniach naszej wolności podczas drugiej edycji Międzynarodowego Festiwalu Historycznego Wiek XX. Anamneses.

Wydawca: **Tygodnik Powszechny i Fundacja Tygodnika Powszechnego**
www.tygodnik.onet.pl

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO**

**NARODOWE
CENTRUM
KULTURY**

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
NARODOWEGO CENTRUM KULTURY W RAMACH
PROGRAMU NARODOWEGO CENTRUM KULTURY
„KULTURA – INTERWENCJE”

**Konrad
Adenauer
Stiftung**

PARTNEREM PROJEKTU JEST
FUNDACJA KONRADA ADENAUERA

WIEK XX. ANAMNESES '89 KORZENIE WOLNOŚCI

2. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL HISTORYCZNY
WROCŁAW, 24–27 LISTOPADA 2013

ORGANIZATORZY

**FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO**

WROCŁAW 2016
Europejska Stolica Kultury

**Ośrodek
Pamięć i Przyszłość**

ECS

Europejskie
Centrum
Solidarności

**INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ**

SPIS TREŚCI

- 4 Tadeusz Sławek, **Gest Premiera**
- 6 Richard Demarco, **Sztuka jako lekarstwo**
- 7 Jacek Stawiski, **Historyk zaangażowany**
- 8 Jarosław Flis, **Kinole opadły**

10-14 FUNDACJA KONRADA ADENAUERA

- 10 Ehrhart Neubert, **Enerdowska droga ku wolności**
- 11 Fundacja Konrada Adenauera, **Wartości dla demokracji**
- 12 Joachim Trenkner, **Kamerzysta rewolucji**
- 13 **Z kamerą za żelazną kurtyną**, rozmowa z Joachimem Trenknerem

15-20 MUZEUM HISTORII POLSKI

- 15 Robert Kostro, Tomasz Wiścicki, **Wyzwanie wolności – Europa po roku 1989**
- 16 Paweł Ukielski, **Tak upadał komunizm**
- 17 Michał Kopczyński, **W cieniu modernizacji**
- 18 Dorota Szkodzińska, **Żelazna kurtyna przed obiektywem**
- 19 Marcin Wilkowski, **Historia publiczna**
- 20 Rozmowa z dyr. Robertem Kostrą **o Muzeum Historii Polski**

21 – DZIEŃ PO DNIU – PROGRAM FESTIWALU

22-27 EUROPEJSKIE CENTRUM SOLIDARNOŚCI

- 22 Sławomir Magala, **Walka klas w epoce konsumpcji**
- 24 Ireneusz Krzemiński, **Solidarność po latach**
- 26 Jacek Kołtan, **Jaka solidarność przyszłości?**

28-33 INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

- 28 Grzegorz Majchrzak, **Drugi obieg, czyli bibuła**
- 30 Grzegorz Majchrzak, **Ruch przeciw władzy**
- 31 Filip Gańczak, **Niemiecka solidarność**

34-36 OŚRODEK „PAMIĘĆ I PRZYSZŁOŚĆ”

- 35 **Pączkowanie fraktala**, rozmowa z Kornelem Morawieckim
- 36 Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”, **Nie możemy żyć bez historii**
- 38 Wojciech Sikora, **Jerzy Giedroyc wobec przełomu**

REDAKCJA: Grzegorz Jankowicz

PROJEKT GRAFICZNY: MAREK K. ZALEJSKI

FOTOEDYCJA: GRAŻYNA MAKARA

NA OKŁADCE WYKORZYSTANO ZDJĘCIA: LEEMAGE/EAST NEWS // GERARD MALIE / AFP PHOTO / EAST NEWS // PIOTR WÓJCIK/ARCHIWUM KULTURY PARYSKIEJ ORAZ WARIACJĘ NA TEMAT OBRAZU EUGÈNE'A DELACROIX „WOLNOŚĆ PROWADZI LUD NA BARYKADY”



GRAŻYNA MAKARA

JACEK ŚLUSARCYK
DYREKTOR ARTYSTYCZNY FESTIWALU

Szanowni Państwo

Grecki rzeczownik *anamnesis*, który na język polski tłumaczymy jako „odpominanie”, przechowuje w swym rdzeniu sens przeciwny: amnezję, absolutną niepamięć. Dla historyka, który chce poznać i przekazać innym prawdę o minionych zdarzeniach, nie ma dotkliwszej dolegliwości. Amnezja niszczy nasz obraz przeszłości, zaciera ślady zdarzeń, ruguje z naszej pamięci to, co może być podstawą sprawiedliwego osądu działań bohaterów historii: pojedynczych ludzi i całych społeczeństw. W sztuce odpominania musimy się ćwiczyć każdego dnia, albowiem ratowanie historycznych świadectw jest jednym z naszych najważniejszych obowiązków jako twórców i członków wspólnoty społecznej.

Międzynarodowy Festiwal Historyczny Wiek XX. Anamneses stanowi przestrzeń dla wspólnej debaty historyków, pisarzy, filmowców i artystów, których zainteresowania naukowe i twórcze koncentrują się wokół istotnych momentów dwudziestowiecznej historii. Druga edycja Festiwalu nosi tytuł „Rok 1989. Korzenie wolności”. Stawiamy pytania dotyczące przełomowego dla historii Polski, Europy i świata momentu, który zmusił nas do przewartościowania wszystkich wartości, przededefiniowania podstawowych kategorii społecznych i politycznych, przeformułowania zadań i celów wspólnoty europejskiej i światowej, uczynił z wolności realny fundament życia, a nie tylko majaczące na horyzoncie naszych działań marzenie. Fundament, do którego w tak wspaniały sposób nawiązał nieodżałowany Premier Tadeusz Mazowiecki, wznosząc w gmachu sejmowym dłoń ze znakiem wiktoria. Niech mi będzie wolno właśnie Premierowi zadedykować tę edycję Festiwalu.

Gdzie zatem szukać korzeni naszej wolności? Kiedy naprawdę zaczęły się przemiany, które zamknęły wiek XX, wyprowadzając wiele narodów świata z siatek niewoli? Czy źródeł wolności winniśmy szukać w 1980 r. w Gdańsku? A może w pamiętnym roku 1978 – roku wyboru Jana Pawła II? Jaki wpływ na procesy wolnościowe miało dojdęcie do władzy Michaiła Gorbaczowa w 1985 r.? Co tak naprawdę oznaczała dla nas wolność w tamtym czasie?

Pytamy także o rzeczy dla nas, Polaków, najważniejsze: kto nadawał ton wydarzeniom, które zaowocowały transformacją naszego życia? Przypominamy zdarzenia, o których dziś nie pamiętamy, które giną w wielości faktów i dat, a w rzeczywistości posiadają zasadnicze znaczenie dla zrozumienia tego, co się stało – z nami i z naszym państwem. Wreszcie zadajemy pytanie o teraźniejszość, o schedę po bezkrwawej rewolucji, o dziedzictwo wolności, które przekazali nam twórcy przełomu. Czy potrafimy wykorzystać lekcję, która stała się podówczas naszym udziałem? Czy wiemy, co zrobić z wolnością, gdy mamy jej pod dostatkiem? I czy nie ma na horyzoncie nowych zagrożeń, które mogłyby ją nam odebrać?

Serdecznie zapraszamy Państwa do udziału w Festiwalu Anamneses, a także do lektury materiałów, które wprowadzają w jego tematykę. Podejmijmy wspólnie trud odpominania, dzięki któremu kształt naszej przeszłości umożliwi nam zrozumienie teraźniejszości i pozwoli wyobrazić sobie przyszłość dla kolejnych pokoleń. Pokoleń wolnych od ciężaru historii, ale znających wagę historycznej refleksji.

PATRONAT MEDIALNY

TOK Pierwsze
Radio
Informacyjne



GRZEGORZ ROGINSKI / PAP

Tadeusz Mazowiecki,
Sejm, 24 sierpnia 1989 r.

Gest Premiera.

Kilka uwag o wolności i polityce

Gest Tadeusza Mazowieckiego był przejawem wolności zwycięskiej, lecz nie triumfalistycznej, ogłaszał „zwyciężyliśmy”, lecz nie deklarował „przegraliśmy”.

TADEUSZ SŁAWEK

1 Symbolicznym wprowadzeniem wolności w powszechnie dostępny świat codziennych zachowań był moment, w którym Tadeusz Mazowiecki, obejmując stanowisko premiera, wykonał szczególny gest: zwracając się ku ławom poselskim, ku wszystkim obecnym, niezależnie od ich poglądów i aktualnych nastrojów, skierował podniesione ramiona i palce dłoni ułożone w znak wiktorii. Właściwie o tej osobliwej choreografii ciała i rąk chciałbym mówić, bowiem nie jestem już pewny jej statusu. Bezcenna dla mojego pokolenia, nie wiem, czy dla tych, którzy przyszedli po nas, nie jest już tylko osobliwością, w najlepszym razie wyrazem naiwnego patosu.

Rzecz więc będzie o tym pozornie drobnym geście Premiera, wykonanym 24 sierpnia 1989 r. Takie mikro-sytuacje bowiem najlepiej dokumentują nasze wartości i normy.

2 To, co przez wiele lat było znakiem sprzeciwu i ledwie nadzieją zwycięstwa, na naszych oczach stawało się zwycięstwem, a tym samym zmieniało swoje miejsce w świecie. Co wcześniej było znakiem konspiratorów, nagle okazało się symbolem władzy. Oto wolność opuściła sferę nielegalnych lub półlegalnych, bowiem kamuflowanych estetyczną fasadą marzeń, wchodząc w samą tkankę politycznej i społecznej rzeczywistości.

Kiedy po śmierci Premiera tylekroć pokazywano ową scenę z 1989 r., nie mogliśmy nie konfrontować jej mimowolnie z tak licznymi obrazami podobnie wyciągniętych rąk i tak samo ułożonych palców, które znamy dzisiaj z kolejnych manifestacji związkowych i politycznych demonstracji.

Dlaczego ów gest, tak wówczas znaczący, iż towarzyszyła mu ogólna euforia, po niespełna ćwierćwieczu budzi u jednych niszczącą zapalczliwość, u innych obojętność, jeśli nie otwartą niechęć?

3 Gest Premiera nie tylko wprowadził nową władzę. Był znakiem wdzięczności za to, co dokonało się dzięki wysiłkom tak wielu. Wolność jako dzieło wspólnoty, które nie może być zawłaszczane ani przez jednostkę, ani przez grupę. Wolność daleka od złotej wolności szlacheckiej, która, jak wiemy, była wolnością dla niewielu. Wolność inkluzywna, nie ekskluzywna, wolność uczestniczenia we wspólnym czynieniu.

Brak wdzięczności, owocujący przeświadczeniem o własnej wszechmocy i samowystarczalności, a co za tym idzie: o braku zobowiązań wobec innych, jest poważnym grzechem psującym radość płynącą z wolności.

4 Gest ten – oficjalnie, przy podniesionej kurtynie – ogłaszał, iż oto nasze myślenie o nas samych zyskuje nowy wymiar: nie musi już być skryte, konspiracyjne, kamuflujące się, lecz wchodzi w to, co otwarte. Wolność staje się dobrem publicznym. Otwarta zatem powinna stać się mowa. Słowo nie musi już ukrywać się za maską ezopowego języka, zrozumiałego dla znających stosowne klucze.

Ten niemy gest uwalniał mowę, wyzwał słowa, a w dalszej konsekwencji wręcz nakazywał wypowiedzianie się w istotnych dla ogółu sprawach, jako rodzaj obywatelskiego obowiązku. Wieniły pewien etap zdolności do artykułowania żądań (termin Jana Sowy) i inicjował kontynuację tego procesu. Zapowiadał Rzecz publiczną. *Res publica* nie była już dostępna wyłącznie elicie władzy.

Gest ów wykonany został w imieniu tych, którzy z ową elitą przez lata zmagali się na wiele różnych, mniej lub bardziej dramatycznych sposobów, a teraz świętowali uwolnienie swojego życia. Życie nasze, życie „szarych” ludzi, wchodziło w sferę wolności.

W tym sensie był to gest „ludowładczy”, w najlepszym słowa tego znaczeniu. Wręcz ukoronowanie ludowego Karnawału, który ledwo co dokonał przewrotu w obowiązującym do tej pory i, zdawało się, nieodwracalnym porządku rzeczy. Na ponad 400 miejsc w Sejmie 165 od razu obsadzili (z dwoma bodaj wyjątkami) kandydaci Solidarności lub przez nią popierani, pezetpeerowska lista krajowa zaważyła się w sposób kompromitujący.

5 Nie sposób odwrócić się od historii, która od połowy XVIII w. była w Polsce marzeniem o wolności.

Zabory nauczyły nas poszukiwać wolności w sferze prywatnej i estetycznej. W takiej sytuacji wybitni artyści spełniali rolę mężów stanu. Zapytany, kogo z Polaków przeciwstawiłby Bismarckowi, Stanisław Cat-Mackiewicz odpowie, iż jedynie Artura Grottgera, bowiem oficjalnej polskiej polityki być nie mogło, a ta nieoficjalna, mierzona powstaniami, stanowiła pasmo niepowodzeń.

Poszukiwanie wolności, dobijanie się do wolności wbrew losowi i stanowi rzeczy wyznaczało miejsce Polski w Europie. Powiedzmy jednak od razu, że owa wolność, będąca przedmiotem dramatycznych starań, została niejako dobrowolnie przez nas samych wystawiona na szwank. W znakomitych „Prelekcjach paryskich” Adam Mickiewicz wywodzi, że wolna elekcja była ciekawym pomysłem politycznym, lecz wprowadzonym nazbyt pośpiesznie przez Zamoyskiego wbrew swemu czasowi i społecznej świadomości szlachty, dla której odpowiedzialność za państwo sprowadzała się do pilnego strzeżenia własnych przywilejów.

Pisze Jan Sowa: „Demokracja szlachecka została ufundowana na wykluczeniu (...), i to w dramatyczny sposób odróżniała ją od demokracji nowoczesnych, które definiowała właśnie inkluzywność”. Polska stanowiła swoisty fenomen: im bardziej traciła wolność, tym bardziej zachowywała ducha domagającego się wolności. Dlatego Jan Jakub Rousseau w swych pochodzących z 1772 r. medytacjach nad polskim systemem politycznym nie może nadziwić się absurdalnej osobliwości polskiego chaosu politycznego („Czytając historię rządu Polski, z trudnością można zrozumieć, jak państwo tak długi utrzymać...”, przeł. M. Starzewski), ale też z nieklamnym podziwem

wskazuje Polskę i konfederację barską jako wzór dla zepsutych i obojętniejących na sprawę wolności krajów Zachodu („Widzę, jak wszystkie kraje Europy biegną szybko do ruiny (...), a Polska, ten kraj wyludniony, spustoszony, uciśniony, stojący otworem dla napastników, w pełni największych nieszczęść i anarchii, okazuje jeszcze cały ogień młodości, waży się jeszcze domagać praw i rządu, tak jakby się dopiero urodziła”).

6 A jednak, i może to najbardziej znaczące, gest ten nie był w żadnym sensie gestem „triumfalistycznym”. Wszelkie zwycięstwo, gdy staje się triumfalistyczne, „prywatyzuje” świat. Nie ma triumfu, który nie byłby „mój” lub, w najlepszym razie, „nasz”. Triumfalizm i wolność należą do odrębnych dziedzin: wolność wyznaje równość i braterstwo, triumf ustanawia świat, w którym dominuje zasada „biada zwycięzcom”.

Kto triumfalistycznie ogłasza wiktoria, musi zrezygnować tak z równości, jak i braterstwa. Jak dokumentuje bogata lista przykładów z naszej późniejszej historii, pokonany przestaje być partnerem dla zwycięzcy, co więcej: pokonany nie pragnie być „równy”, bowiem to właśnie natychmiastowe ustawienie się w opozycji do zwycięzcy stwarza pokonanemu podstawę do wszczęcia działań mających na celu przejęcie w przyszłości roli triumfatora. Z kolei triumfator braterstwo zastępuje sojusznictwem lub wręcz poplecnictwem, zapewniającymi mu jak najdłuższe trwanie w pozycji triumfatora.

To, co było wolnością spełniającą się w poczuciu dzielonej z innymi politycznej i społecznej cnoty, zamienia się w wolność regulowaną dyscypliną



Paniczna ucieczka dzisiejszej władzy od wszelkiej idei i wizji, uczynienie z polityki domeny pragmatycznych rozgrywek w znakomitym stopniu zakłóca znaczenie i powagę wolności. Bez idei i dyskusji wokół nich polityka staje się w najlepszym razie „zarządzaniem”, a wolność zbliża się niebezpiecznie do swawoli.

Sejm, 12 października 2005 r.



KACPER PEMPEL / REPORTER

partyjną. Wydaje się, że jest to naturalna tendencja kształtująca sferę polityczną, ale nie można nie zauważyć, że towarzyszy jej nieuchronnie zanik metafizycznych (używam tego słowa z całą świadomością, że rozbawi ono aktorów dzisiejszej sceny politycznej) podstaw polityki, w której teraz czyni się wszystko wyłącznie pod dyktando kryteriów materialnych. Obejmują one wszystko, począwszy, co zrozumiałe, od wskaźników gospodarczej wydajności, poprzez (co znacznie mniej zrozumiałe) edukację i zdrowie, aż po sondażowe słupki spełniające rolę azytmu kierującego porządkiem, jaki ustanowiliśmy dla świata.

Czytam szczególny gest Premiera z pamiętnego sierpniowego dnia 1989 r. jako wyraz przekonania, że możliwa jest polityka pogłębiona, polityka uprawiana w imię wolności wyrastającej z cnoty, której to cnoty, nazwijmy ją za Józefem Tischnerem „wspólną wrażliwością etyczną”, fundamentem nie jest partyjna tożsamość, zawsze zagrożona pokusą triumfalizmu, lecz braterstwo sprawujące, że polityka dąży do łagodzenia bezwzględności porządku, jaki ustanowiliśmy dla świata.

Piękna jest myśl Hannah Arendt: „Polityka powstaje między ludźmi, a zatem poza człowiekiem... Polityka wyłania się w tym, co zachodzi między ludźmi” (przeł. W. Madej, M. Godyń). Wolność zakorzeniająca się w cncie będzie traktować politykę właśnie jako to-co-między-ludźmi. Dzisiaj nie możemy nie skonstatować ze smutkiem, że polityka coraz bardziej jest tym, co „obok” i „ponad” ludźmi. To kolejny grzech niszczący radość płynącą z wolności. W jego następstwie nie jesteśmy twórcami wolności, lecz obojętnymi jej konsumentami.

7 Podkreślmy: nie chodzi o lekceważenie twardych materialnych ograniczeń, lecz o to, że w miarę upływu lat język nieodzowny dla zrozumienia owych ograniczeń przejmował coraz to nowe nieprzynależne mu obszary, wypierając z nich język im właściwy, a tym samym sprawiając, że w tych dziedzinach życia traciliśmy poczucie budowanej na cncie wolności, nabierając podejrzania, że jesteśmy jedynie elementem gry interesów.

Trudno zrozumieć, dlaczego edukacja musi zwać się „produktem”, a zdrowie podlega w mniejszym stopniu leczeniu, w większym zaś „zarządzaniu”. Wolność, która pragnie speł-

niać dyspozycje cnoty i wrażliwości etycznej, nieuchronnie czuje się zagrożona w sytuacji, gdy musi ustępować przed wolnością rynku, który cnotę dopuszcza jedynie wtedy, gdy okazuje się zyskowna. Gdy lekarz skarży się, że nie może leczyć pacjenta, bowiem wyczerpał limit punktów NFZ, lub gdy emeryci z bezradnym zdumieniem spoglądają na wysokość świadczonej im przez państwo emerytury, doznają uszczerbku w swej wolności.

Dodajmy: wolności rozumianej najgłębiej i najpoważniej jako prawo do spełniania się cnoty prowadzącej do godnego życia. Dla lekarza spełnieniem owej cnoty będzie możliwość niesienia pomocy, dla seniora życie, w którym oszczędzone mu będzie gorzkie doznanie skrajnej marginalizacji.

8 Gest Tadeusza Mazowieckiego był przejawem wolności zwycięskiej, lecz nie triumfalistycznej, ogłaszał „zwyciężyliśmy”, lecz nie deklarował „przegraliście”, wywodził się bowiem z przeświadczenia, że wspólna troska o godność ludzkiej egzystencji w ostatecznym rozrachunku okaże się silniejsza od rozbieżności. Fizyczny ruch, jaki wykonał Premier, przypominał gest kapłana błogosławiącego wspólnotę. Nie mogło tak nie być, bowiem wolność istotnie jest błogosławieństwem.

Bolesne pytanie, jakie powinniśmy sobie postawić w świetle dalszych wydarzeń, dałoby się ująć następująco: dlaczego nie zrobiliśmy wszystkiego, aby ocalić ów błogosławieńczy walor wolności, skutkiem czego nie brakło tych, którzy wolność zaczęli traktować nie jak łaskę Bożą, lecz jak dopust, by nie rzec: przekleństwo?

9 Wzniesione ramiona Premiera były znakiem wolności jako najpowszechniejszej wspólnoty ludzi. Były gestem „ludzkim” w znaczeniu podstawowej i rozumiałej prostoty człowieka reagującego na sytuację, w jakiej się znalazł. Były nie tylko gestem ustanawiającym władzę, ale przede wszystkim podkreślającym wspólnotę władzy z rządzonymi. Nikt już nie stoi wobec władzy samotnie.

Gest ten nie był więc wystudionowanym PR-owskim elementem politycznego wizerunku, nie opracowano go w gabinetach i podczas psychotechnicznych warsztatów. Przywracał naturalne ludzkie porozumienie. To „ludzkość” tego gestu

czyniła go ujmującym i powszechnie zrozumiałym. Oto polityka stawała się na naszych oczach „ludzka”, była ludzkim odruchem. Nie oddzielała jej od nas, szarych obywateli, ani bariera administracyjnego języka, ani sztywny gorset proceduralnych reguł obradowania, nie podlegała manipulacyjnym zabiegom specjalistów od kreowaniu image'u.

Kruczość tego spontanicznego gestu odpowiadała kruczości ludzkiego życia, ale jednocześnie to, że gest ów kierowany był do w s z y s t k i c h obecnych, przypominało, że aby coś z owej kruczości zachować, trzeba w sposób rozumny objąć swym działaniem całą wspólnotę, gdyż tylko wtedy prawa w maksymalny sposób będą służyć sprawie godności jednostki.

Tak pojęta wolność przemieniała szarego, zmęczonego walką o codzienne przetrwanie „człowieka”, wykorzystywanego przez władzę, którą odbierał jako „obcą” (przypomnijmy pojęcie „brudnej wspólnoty”, które Adam Podgórecki zaproponował kiedyś na określenie owego dziwnego porozumienia między władzą a społeczeństwem, niepisanej umowy opartej na tolerowaniu podwójnej iluzji: władza przyrzucała oko na prywatną własność, obywatele godzili się na iluzoryczność sprawiedliwości społecznej opiewanej przez władzę), w szarego „obywatela”, a zatem kogoś, kto może przemawiać we własnym imieniu i w konsekwencji prowadzić z władzą dialog.

Widoczna na każdym kroku niechęć dzisiejszych polityków do rozmowy z obywatelem jest swoistą ucieczką od wolności i próbą ponownego zamienienia szarego „obywatela” w szarego „człowieka”.

10 Później konstatowaliśmy więc ze zdumieniem, że wolność coraz częściej przemawia w imię wąskich, grupowych interesów. Polecznictwo i partyjność zamiast braterstwa. Powiedzmy bardziej realistycznie – partyjność (zapewne nieuchronna w pragmatyce życia politycznego), lecz taka, która coraz bardziej bezwstydnie wyrzekała się swego osadzenia w braterstwie.

Gdy Donald Tusk mówił po wygranych wyborach o polityce „miłości”, towarzyszył mu jazgotliwy i przesmiwczary rechot luminary polskiej polityki. Inną jest sprawą, że dalsze poczynania rządu PO stanowiły i stanowią żywe

zaprzeczenie tego, czego od polityki „miłości” byśmy oczekiwali.

Sięgając po „Etykę solidarności” (tekst, o którym żaden z obecnych polityków nawet się nie zająknął), powiedzielibyśmy, że gest Premiera był przejawem wolności sprzyjającej i motywującej działania w imię etyki propozycji, a nie opozycji. Ta ostatnia zabiega głównie o przyszłą władzę, kwestionując poczynania władzy obecnej. Propozycyjność natomiast korzysta z daru władzy po to, aby pracować, pisze Tischner, nad „projektem sprawiedliwego podziału chleba w ramach ogólnego systemu politycznego”.

Można by więc powiedzieć, iż z biegiem lat polityka w coraz większym stopniu korzystała z wolności w imię opozycyjności, zapominając o swym źródłowym powołaniu do propozycyjności.

11 Wolność manifestująca się w geście Premiera nie odrzucała nikogo. Przez swój błogosławieńczy walor mówiła o zatroskaniu, które nie sprowadza nikogo do roli biernego funkcjonariusza, lecz które chce zmierzać do tego, aby każdy mógł przysłużyć się wspólnemu działaniu.

Tak pojmuję „grubą kreskę”: to linia odgraniczająca mizerny czas, kiedy byliśmy jedynie „pracownikami”, biernymi wyrobnikami, których praca służyła przetrwaniu tak jednostki, jak i całego systemu, od czasu, w którym zaczynamy d z i a ł a ć, to znaczy, kiedy nie chcemy już podtrzymywać przetrwania, lecz dążymy do tego, aby kształtować świat na nowo na podstawie pewnej jego wizji.

Wolność musi być sprawą przyszłości, a nie jedynie tego, co dzisiaj, to zaś wymaga właśnie rozumnego działania w imię dobra wspólnego. To zdolność do kreowania przyszłości czyni społeczeństwo refleksyjnym. Jak pisze Wiesław Gumuła: „podstawowymi zasobami społecznymi stają się wizje, idee, wiedza oraz umiejętności”.

Paniczna ucieczka dzisiejszej władzy od wszelkiej idei i wizji, uczynienie z polityki domeny pragmatycznych rozgrywek w znakomitym stopniu zakłóca znaczenie i powagę wolności. Bez idei i dyskusji wokół nich polityka staje się w najlepszym razie „zarządzaniem”, a wolność zbliża się niebezpiecznie do swawoli. Musimy więc nieustannie przypominać, że wolność jest d z i a ł a n i e m w sytuacji bycia uwarunkowanym przez wielu.

12 Dopiero pogłębiona, refleksyjna polityka ma szansę stać się dobro-c z y n n a, a także może okazać się dziedziną uzgodnienia czynności jednostki z ich publicznym efektem. Pisze wszak Hannah Arendt, że „działanie, w odróżnieniu od fabrykacji, nie jest możliwe w odosobnieniu; być osobnionym znaczy być pozbawionym możliwości działania” (przeł. A. Łagodzka), co Piotr Nowak opatruje następującym komentarzem: „Działanie jest czynnością nobilitującą. Rozgrywa się pomiędzy samymi ludźmi, wymaga ich spojrzenia i oceny. Jest ono domeną wolności i pluralizmu, związanych z różnorodnością i niepowtarzalnością ludzkich twarzy”.

Kto działa, wypełnia dyspozycję do wolności, lecz zawsze licząc się z jej publicznym wynikiem, bowiem w przeciwieństwie do tych, którzy jedynie – jak powiedziała by Arendt – „wytwarzają” lub „pracują”, jego czynienie nie traktuje innych w sposób czysto instrumentalny. Kto działa, ten przy-sługuje się innym. Czyni „gest”, czyli stwarza wolną przestrzeń, w której nie upierając się przy własnej jedynie racji, pozostawia miejsce, w którym pojawiają się inne racje. Kto działa, ten raczej „przewodzi” niż „rządzi”.

Pozostaje dociekać, czy nie zamieniliśmy polityki działania na politykę wytwarzania, a przewodzenia nie zastąpiliśmy rządzeniem lub wręcz „za-rządzeniem”, czy zatem nie naruszyliśmy istoty wolności, a tym samym nie utrudniliśmy sobie cieszenia się wolnością. Przypomnijmy znów Józefa Tischnera: „Jeśli nie zdołam porozumieć się z drugim, popadnę w wieczne »oko za oko, ząb za ząb« i moja pozorna sprawiedliwość może się okazać owocem mojego okrucieństwa”.

→ Korzystałem z następujących książek: Hannah Arendt, „Kondycja ludzka”; Hannah Arendt, „Polityka jako obietnica”; Stanisław Cat-Mackiewicz, „Był bal”; Wiesław Gumuła, „Teoria osobliwości społecznych. Zaskakująca transformacja w Polsce”; Adam Mickiewicz, „Prelekcje paryskie”; Czesław Miłosz, „Druga przestrzeń”; Piotr Nowak, „Podpis księcia”; Jan Jakub Rousseau, „Uwagi nad rządem Polski i projektowaną jego reformą”; Jan Sowa, „Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą”; Józef Tischner, „Etyka solidarności”.

→ **TADEUSZ SŁAWEK** jest poetą, tłumaczem, eseistą, filozofem i literaturoznawcą. Był rektorem Uniwersytetu Śląskiego.



Richard Demarco z uczniami Duns Scotus Academy na schodach swojej galerii w Edynburgu, 1967 r.

Poniżej: na pokładzie „Marques”, okrętu którym podróżowali uczestnicy Edinburg Arts, 1979 r.

Bywają ludzie-instytucje. Osoby, które na swoich czasach odkrywają szczególny ślad. Do nich zapewne należy Richard Demarco, szkocki artysta i... Trudno jednym słowem określić pełnione przez niego role: organizował wystawy, pokazy teatralne, dyskusje, wykłady. Był i nadal pozostaje niebanalnym popularyzatorem kultury. Już na zawsze będzie się kojarzył z Edynburgiem i tamtejszym festiwałem, szczególnie miejscem na kulturalnej mapie powojennej Europy. Jego zorganizowanie było „swoistym aktem dziękczynienia za to, że jednak ocaliliśmy, że nastał czas pokoju” – mówił przed laty „Tygodnikowi”. W stolicy Szkocji przez kolejne dekady można było zobaczyć to, co najbardziej aktualne w teatrze i sztukach wizualnych. Więcej, Edynburg stał się miejscem, które łączyło obie

części kontynentu na długo przed upadkiem muru berlińskiego. Przede wszystkim za sprawą Demarco. Richard Demarco zawsze przestrzegał przed komercjalizacją sztuki. W swym sprzeciwie wobec jej ekonomizacji jest stały, podobnie jak we wspieraniu nowych roczników artystów. Nie jest też – inaczej niż wielu krytyków czy galerników – przywiązany do sztuki swojego pokolenia. Zorganizowany w Edynburgu w 1995 r. pokaz artystów z obłożonego Sarajewa był szczególnym wydarzeniem. Demarco wciąż angażuje się w kolejne przedsięwzięcia. W latach 90. tworzy Demarco European Art Foundation, w latach 1993–2000 wykłada na londyńskim Kingston University. Przed trzema laty skończył 80 lat. I nadal organizuje wystawy, podróżuje...

PIOTR KOSIEWSKI

Sztuka jako lekarstwo

W drugiej dekadzie Trzeciego Milenium narody Europy muszą współpracować. Szczególny nacisk należy położyć na kulturowy dialog angielsko-polski, który stanowił dla mnie inspirację od początku mojej pracy jako promotora sztuki.

RICHARD DEMARCO

Pierwszy Międzynarodowy Festiwal w Edynburgu został zorganizowany zaledwie dwa lata po II wojnie światowej. Jego głównym celem była pomoc w gojeniu wojennych ran poprzez wykorzystanie sztuki jako leczniczego balsamu. Miałem ogromne szczęście brać udział we wszystkich 67 edycjach tego Festiwalu. W pierwszych trzech edycjach Festiwalu, w latach 1947, 1948 i 1949, uczestniczyłem jeszcze jako uczeń. Tam właśnie odebrałem najlepszą możliwą edukację w zakresie wszystkich rodzajów sztuki.

W latach 1949-53 studiowałem w Wyższej Szkole Sztuk Pięknych w Edynburgu (Edinburgh College of Art). Wystawy prezentowane na Festiwalu w Edynburgu stały się dopełnieniem i niewątpliwym wzbogaceniem mojej edukacji, w szczególności wystawy ukazujące geniusz Rembrandta, Velasqueza, El Greca, Goyi, Degasa czy Renoira.

W kolejnych latach, od 1954 do 1956 r., byłem żołnierzem i jako wojskowy uczyłem w Akademii Armii

Królewskiej (The Royal Army Education Corps). Po powrocie do życia w cywilu zostałem zatrudniony jako nauczyciel sztuki w Akademii Duns-Scotus, katolickiej szkole dla chłopców w wieku od 5 do 18 lat. Wielu z moich ówczesnych uczniów stanowili Polacy, synowie polskich żołnierzy, tych którzy poślubili swoje szkockie narzeczone jeszcze w czasie wojny lub po jej zakończeniu, i zamieszkali w Szkocji.

W czasie mojej pracy zawodowej nauczyciela podjąłem decyzję, że spróbuję życia prawdziwego artysty jako akwarelista, a jednocześnie zaangażowałem się w stworzenie Klubu The Traverse Theatre Club (Teatr Belki Poprzecznej). Było to przede wszystkim miejsce spotkań dla wszystkich, którzy chcieli doświadczyć festiwalowej atmosfery przez cały rok.

W tym roku (2013) przypada 50. rocznica dnia, kiedy Traverse po raz pierwszy otworzył drzwi dla swoich członków, a było to dokładnie drugiego stycznia 1963 r. Nie był to tylko teatr, ale również pierwsza szkocka prywatna galeria sztuki poświęcona prezentowaniu programu międzynarodowych wystaw. Traverse dysponował także zapleczem w postaci restauracji i baru, a w samym klubie odbywały się często wykłady i koncerty. Klub był mocno związany z Księgarnią Jima Haynesa (Jim Haynes' Paperback Bookshop, pierwszą w Wielkiej Brytanii) i z festiwałem operowym Johna Caldera (John Calder's Opera Festiwal w jego domu w Ledlanet).

W roku 1966 stworzona została Galeria Demarco jako powiększona wersja klubu Traverse.

Od samego początku zarówno klub Traverse Theatre, jak i Galeria wystawiały prace polskich artystów i dramatopisarzy. Jednak dopiero w czasach Galerii Demarco miałem możliwość bezpośredniego zaangażowania w pre-

zentację polskiej współczesnej sztuki we współpracy z polskim rządem.

W latach 1966–1992 byłem dyrektorem Galerii Demarco oraz dyrektorem wystaw związanych ze sztuką współczesną na Oficjalnym Festiwalu w Edynburgu. Moje stanowisko umożliwiło mi podjęcie współpracy z Ryszardem Stanisławskim, dyrektorem Muzeum Sztuki w Łodzi, Wiesławem Borowskim, dyrektorem warszawskiej Galerii Foksal, i Tadeuszem Kantorem, który w tamtych



latach pełnił funkcję dyrektora w Teatrze Cricot 2. Miałem również możliwość prezentowania artystów pochodzących z Łódzkiej Szkoły Filmowej oraz tych, którzy tworzyli środowisko Wrocławskiej Szkoły Artystów Konceptualnych. Do tej grupy zaliczali się tak wybitni twórcy jak Zbigniew Makarewicz, Barbara Kosłowska, Zdzisław Jurkiewicz, Wanda Gołkowska i Maria Michałowska. Miałem niesamowite szczęście doświadczyć ich ducha awangardy wspólnie z przedstawicielami teatru eksperymentalnego stworzonego we Wrocławiu: Jerzym Grotowskim i Jarosławem Fretem, dyrektorem Teatru Zar. To oni napelnili mnie nadzieją, że pomimo koszmaru zimnej wojny, polska kultura ma przed sobą przyszłość. Oni również upewnili mnie w przekonaniu, że bez Polski Europa nie będzie w stanie konkurować w dziedzinie sztuki ze światowym centrum, jakim był Nowy Jork.

Ci polscy artyści z czasów zimnej wojny przywołali w mojej pamięci

ciągle żywe wspomnienia umundurowanych polskich żołnierzy, których widziałem w Edynburgu, a którzy byli żywym świadectwem Europy pogrążonej w chaosie wojny. Byłem pod ogromnym wrażeniem ich pełnej godności obecności, kiedy jako chórzysta widziałem ich na niedzielnej Mszy w moim parafialnym kościele.

W zeszłym miesiącu byłem w Brukseli na spotkaniu z Martinem Schulzem, przewodniczącym Parlamentu Europejskiego, gdzie w czasie ceremonii odznaczono mnie Medalem Parlamentu Europejskiego, przyznając mi Europejską Nagrodę Obywatelską 2013 – European Citizen of the Year 2013. Dlatego czuję moralny obowiązek ponownie moje wysiłki zainspirowane przez twórców Festiwalu w Edynburgu, aby ponownie użyć języka sztuki jako leczniczego balsamu.

Wydaje mi się to oczywiste, że w drugiej dekadzie Trzeciego Milenium narody Europy muszą współpracować, i że szczególnie nacisk powinienem położyć na kulturowy dialog angielsko-polski, który stanowił dla mnie inspirację od początku mojej pracy jako promotora sztuki. Dodatkowym bodźcem do działania jest fakt, że moi przyjaciele z polskiego świata kultury i sztuki od zawsze byli bardzo pomocni w okresie tych wielu lat, kiedy organizowałem wyjazdy artystów, nauczycieli akademickich i studentów z Edynburga do miast takich jak Wrocław, Warszawa, Łódź, Poznań, Lublin czy Kraków, nawet w czasie, gdy Polska musiała znosić upokorzenie stanu wojennego.

W 2007 r. profesorowie Zbigniew Makarewicz i Zdzisław Jurkiewicz z wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych nadali mi honorowy tytuł doktora ASP. Ceremonia odbyła się w Auli Leopoldina Uniwersytetu Wrocławskiego, co umożliwiło mi przedstawienie znaczącej części tego, co jest

znane jako Archiwum Fundacji Sztuki Europejskiej Demarco (The Demarco European Art Foundation's Archive), w galerii wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych.

To pamiętne dla mnie wydarzenie przywodzi mi na myśl kolejną wystawę, która będzie prezentowana w listopadzie podczas II Międzynarodowego Festiwalu Historycznego Wiek XX. Anamneses we Wrocławiu, a która będzie oparta na kolejnych dziełach pochodzących z Archiwum Fundacji Demarco. Jest ona również wynikiem wieloletniej współpracy z moimi dobrymi przyjaciółmi Krzysztofem Noworytą i Markiem Mutorem.

Ta wystawa i towarzyszący jej festiwal, z udziałem europejskich historyków, ma z pewnością znaczący wkład w okres przygotowania prowadzącego do przejścia roli, jaką Wrocław będzie odgrywał w 2016 r. jako Europejska Stolica Kultury. Podkreśli ona również znaczenie zaangażowania Fundacji Sztuki Europejskiej Demarco w Teatr Arka, założony i prowadzony we Wrocławiu przez Renatę Jasińską. Miałem przyjemność spotkać panią Renatę i członków jej zespołu w Brukseli, ponieważ Teatr Arka również został laureatem prestiżowej Europejskiej Nagrody Obywatelskiej 2013. Jednym z celów tej wystawy jest również podkreślenie roli edukacyjnego i kulturowego projektu ROOM 13, który zdobył wysokie uznanie samego sir Nicholasa Seroty, dyrektora galerii Tate. Sir Serota postrzega ten projekt jako najbardziej udany i inspirujący eksperyment w edukacji na poziomie podstawowym. Projekt ROOM 13 jest dowodem na to, co Joseph Beuys zawsze wyrażał jako niezaprzeczną prawdę, że „Każdy jest artystą”, jeżeli może skorzystać z atutu, jaki daje twórcza forma edukacji w dziedzinie sztuki. Na całym świecie jest już 80 wersji projektu ROOM 13. Mam wielką nadzieję, że stanie się to również udziałem Wrocławia. ◆

TŁUMACZENIE:
DARIUSZ BRONISZEWSKI
BLTC BUSINESS LANGUAGE TRAINING CENTER



W zamęcie ideologicznym – **przekonuje Timothy Snyder** – w sporze prawicy z lewicą, w sporze kolektywizmu z indywidualizmem warto pamiętać, że państwo liberalne i demokratyczne w Europie i w Ameryce powinno czuć odpowiedzialność za społeczeństwo.

Timothy Snyder
na Festiwalu Conrada,
Kraków,
25 października 2013 r.



MICHAŁ RAMUSIŃSKI

Historyk zaangażowany

Timothy Snyder to historyk zza Oceanu, który uczy nas historii Europy, naszej Europy, okaleczonej i skrwawionej. To człowiek z Nowego Świata, który – aby zrozumieć otaczającą go rzeczywistość – zaczął badać Stary Świat.

JACEK STAWISKI

Amerikanin z Ohio wyruszył w drugą stronę przez Atlantyk i odnalazł Stary Świat, ale nie skojarzył go tylko z typowym amerykańskim pojmowaniem Europy, do której zaliczyć można Paryż i Francję, Rzym i Włochy, Londyn i Wielką Brytanię, Irlandię, okazjonalnie piękną Grecję czy Hiszpanię. W Starym Świecie szukał ziem, krajów i ludzi, o których nierzadko zapomniano, a których losy są przecież kluczowe dla zrozumienia najnowszych dziejów, nie tylko Europy, ale i Ameryki, a może i świata.

Amerykański historyk urodzony w Ohio, a nie historyk z Europy, Europy Środkowej czy Europy Wschodniej w Ameryce. Fenomen Snydera polega m.in. na tym, że jako człowiek z Nowego Świata daje nam lekcję na

temat dziejów Europy, tę Europę coraz lepiej rozumiejąc i coraz trafniej opisując, ale jednocześnie pozostaje historykiem stamtąd, z USA. Objaśnia europejskie dzieje społeczeństwu amerykańskiemu.

Zawód: historyk

Zawód historyka Snyder rozumie bardzo tradycyjnie, linearnie. Nie wdaje się w osobliwe eksperymenty badawcze. Píše o historii w sposób edukacyjny, wyjaśniając najprostsze zdarzenia, potem przechodząc do syntezy. Nie ma w jego pracach śladów mody, jest reprezentacja dziejów. Stawia sobie przy tym pytania o etyczny wymiar historii i odpowiada jasno: „ten etyczny wymiar historii polega na przypominaniu, że pewne rzeczy faktycznie się wydarzyły, że zbrodnie i cierpienia były prawdziwe, ludzie przez nie przeszli lub stracili życie w ten, a nie inny sposób”.

Ale przypominanie o przeszłych zdarzeniach to nie wszystko. Opisując je w „Skrwawionych ziemiach”, Snyder podjął próbę uczłowieczenia 14 milionów ofiar. Chciał je wyrwać z sileda anonimowych statystyk. Timothy Snyder nie pozwala „zestawieniom” wędrczyć się na trwałe do historiografii. Kilkanaście milionów to dla niego kilkanaście milionów razy jeden. Czyli każda śmierć to człowiek. Zamordowany przez stalinowski Związek Radziecki lub narodowosocjalistyczną Trzecią Rzeszę.

Snyder daje też jasny sygnał: nie ma żadnego historycznego usprawiedliwienia dla państw i systemów, które popełniły straszliwe mordy. Państwa, systemy oraz politycy, czyli ich przywódcy i twórcy, nie podlegają prawom normalnej historiografii. Wyjaśnianie (czytaj: usprawiedliwianie) ich czynów jest niedopuszczalne.

Poglądy Snydera na istotę zawodu historyka i zadania historii znalazły doskonały wyraz w rozmowie z wybitnym, zmarłym niedawno historykiem Tonym Judtem. Badacze przeszłości wchodzą do lasu, przekonuje w niej Snyder. Powie ktoś: jakże prosty, może nawet zbyt prosty opis skomplikowanego świata. Snyder kontynuuje: historycy znaczą pewną część drzew, nie wszystkie, ale znacząc już choćby część, rysują szlak. I ten szlak pozwala potem przechodzić ze zrozumieniem przez resztę gęstwiny.

Jest jeszcze jedna fundamentalna kwestia: w jakiej relacji względem pamięci pozostaje historia? Można niemal instynktownie odpowiedzieć, że czytamy historyczne narracje, by pielęgnować pamięć. Ale Snyder, choć dostrzega i docenia bliski związek pamięci i historii, ostatecznie stawia na ich rozdział. Jego zdaniem pamięć wyrażamy w pierwszej osobie: „pamiętam bądź pamiętam”. A historię opowiadamy za pośrednictwem osoby drugiej lub trzeciej. Historyk może zacząć swe badania i dociekania od pamięci, ale jego zadaniem jest przejść na stronę ogólnej panoramy, w której jednostkowa wiedza będzie jedynie częścią całości.

Warto odnieść tę tezę do polskich i zagranicznych debat o polityce historycznej i o polityce pamięci. Czy w tym kontekście i z tej perspektywy polityka historyczna nie jest przypadkiem błędem w opisie? Tony Judt dopowiada, że pamięć i historia to dwie nienawidzące się siostry przyrodnie – przywiązane do wspólnego dziedzictwa.

Mój wiek XX

„Rozważania o wieku XX” Snydera i Judta to rozmowa dwóch badaczy, którzy spierają się o ideowe i ideolo-

giczne podłoże wydarzeń ubiegłego stulecia. To próba wyciągnięcia fundamentalnych wniosków z dwudziestowiecznego doświadczenia. Snyder stawia Judtowi pytania o wiek XX, a ten odpowiada, zapośredniczając narrację we własnych przeżyciach. Na naszych oczach konstruuje swój życiorys. Jego wychowanie, rodzinne środowisko, kraj pochodzenia, poglądy, podróże, miłości i inne doświadczenia to mikroskop, przez który zobaczyć można powojenne losy Europy i Ameryki. Odbudowa świata z wojennych ruin, społeczna przebudowa zachodnioeuropejskich społeczeństw, fascynacja odrodzonym państwem żydowskim i późniejsze rozczarowanie nim czy wreszcie odkrycie nieznanego przeciętnemu zachodniemu Europejczykowi doświadczenia środkowo- i wschodnioeuropejskiego poprzez kontakt z Czechosłowacją i polskimi opozycjonistami.

Opowieść jest poprzedzona refleksjami Judta i Snydera o ideowym zamęcie przedwojennej Europy, która zrodziła totalitaryzm faszystowski, nazistowski i sowiecki. W tym dialogu Snyder indaguje, dzieli się refleksjami, polemizuje. Wchodzi w rolę nie tylko zaangażowanego historyka, ale i zaangażowanego krytyka polityki amerykańskiej za prezydentury George'a W. Busha. Rozmowa przyjaźniół to nie tylko rozważania o XX wieku – tak brzmi polski tytuł książki – ale także zaproszenie do przemyślenia istoty dwudziestowiecznego doświadczenia. Bo tak niemal dosłownie przetłumaczyć można tytuł „Thinking the Twentieth Century”.

Przemyśleć coś oznacza w tym przypadku zaproszenie do wyciągania wniosków. Kiedy pytałem Timothy'ego Snydera, co chciał przekazać w rozmowie z Judtem, odpowiedział: w zamęcie ideologicznym, w sporze prawicy z lewicą, w sporze kolektywizmu z indywidualizmem warto pamiętać, że

państwo liberalne i demokratyczne w Europie i w Ameryce powinno czuć odpowiedzialność za społeczeństwo i nigdy nie może wycofać się z wpływu na edukację, rozwój społeczeństwa, utrzymanie służby zdrowia itd. Czyli państwo nie powinno abdykować z roli twórczego kreatora społeczeństwa obywatelskiego.

To istotny głos w bieżącej dyskusji o roli państwa, o granicach jego możliwości, o kosztach państwa opiekuńczego, o przyszłości społecznego eumodelu.

Odpowiedzialne państwo, wspierające obywatelskie społeczeństwo, to wypadkowa dwudziestowiecznego zamętu. Minione stulecie podniosło rangę organizmu państwowego, ale przynajmniej w dwóch przypadkach organizm ten stał się budowniczym zła i zwrócił się przeciwko społeczeństwu. Nazizm i komunizm były systemami wspierającymi się na potężnych strukturach państwowych, ale służyły wyniszczeniu społeczeństwa. Tkanka społeczna została niemal wypalona. Po doświadczeniu totalitarnym wiemy, że system demokratyczny, aby trwać, musi mieć oparcie w obywatelskiej sile państwa.

Troska o demokrację i obywatelskość jest ważna także dlatego, że – wbrew teozom Fukuyamy – historia się nie skończyła. Bez zrozumienia sensu historycznej ciągłości system demokratyczny nie będzie funkcjonował. ♦

→ JACEK STAWISKI jest historykiem i dziennikarzem, specjalistą od stosunków polsko-żydowskich, szefem programu „Polska i świat” w TVN oraz współprowadzącym program „Horyzont”.



Strajk w Stoczni
Szczecińskiej,
sierpień 1988 r.

Kinole opadły

Jaki może być pożytek z powrotu do wydarzeń sprzed ćwierć wieku? Czy można je analizować na chłodno, jeśli przeżywało się przy okazji głębokie emocje – które i dziś powracają echem? Na pewno warto spróbować.

JAROSŁAW FLIS

Na debatę Wałęsa–Miodowicz patrzyłem jako dwudziestolatek zaangażowany w sprawę całkowicie jednoznacznie. Nastolatki stanu wojennego nie miały wobec minionego ustroju cienia wątpliwości. Wychowani na piosenkach Kaczmarskiego, niepewność odczuwaliśmy tylko co do tego, jak długo to jeszcze potrwa. Perspektywę przyjmowało się jednak raczej odległą. Obawy co do przyszłości – jeśli już – dotyczyły techniki. Mało kto się spodziewał, że wszystko to skończy się pokojowo. Jednocześnie odczuwało się, że reżim słabnie.

Z tamtej jesieni pamiętam jeszcze jeden – wcześniejszy niż debata – obrazek. Jako student socjologii brałem udział w obozie naukowym poświęconym kulturze żydowskiej w świadomości ludności Podkarpacia. Przeprowadzaliśmy wywiady ze starszymi ludźmi – moim rozmówcą był przedwojenny kapral z Rymanowa-Zdroju. Był bardzo dumny z tego, że przechował w czasie wojny człowieka, który później w Izraelu został wysokiej rangi oficerem, zastępcą Moszego Dajana. Przy okazji opowiadał, jak był szykanowany przez komunistyczne władze: „Oni mi mówią, że ja pańskiej Polsce służył. A ja im na to: tą waszą bolszewicką Polskę też kiedyś szlag trafi! Ha! Teraz kinole opadły!”. Tego, co było oczywiste dla emeryta z Rymanowa, nie dało się już ukryć.

Bo faktycznie jesień 1988 r. była okresem, w którym władza zaczęła tracić jakąkolwiek pewność siebie – pewność, której jeszcze nie zdążyła

przejąć opozycja. W tej grze debata Wałęsa–Miodowicz była punktem kluczowym. Doszło do niej właśnie z racji tej traconej pewności i rozpaczliwych prób przejęcia przez władzę inicjatywy. Najwyraźniej chciano wykorzystać moment, gdy sytuacja jest nowa również dla drugiej strony. Wszystko jednak obróciło się przeciw takim zamiarom.

Galopem w wąwóz wielkiej polityki

Historyczną debatę można oceniać dzisiaj z perspektywy ćwierć wieku, z bagażem wszystkich tych doświadczeń. Z wiedzą na temat ciągu dalszego. Przede wszystkim z wykorzystaniem tego, co po latach praktykowania demokracji wiemy na temat roli debat telewizyjnych. Debata jest kwintesencją rywalizacji politycznej – szczególnie taka, w której kandydaci mierzą się jeden na jeden.

Po obejrzeniu tamtej debaty raz jeszcze, już z doświadczeniem wszystkich późniejszych, z całą wiedzą wtedy przecież niedostępną, można stwierdzić, co złożyło się na jej przełomowy charakter. I jak bardzo jej przebieg wpasowuje się w dobrze już dziś znane schematy. Jak bardzo Wałęsa – czy to świadomie, czy intuicyjnie – podążał za tym wszystkim, co wskazuje kierunek zwycięstwa.

Każda taka debata ma zróżnicowane grono odbiorców. W standardowej sytuacji, kiedy dyskusja poprzedza demokratyczne wybory, kluczem

jest takie skonstruowanie przekazu, by osiągnąć cele na różnych polach. Charakter takiego spotkania wiąże się w pierwszej kolejności z wymianą merytorycznych argumentów. Jest ono adresowane do tych, którzy są jeszcze niezdecydowani, a równocześnie interesują się polityką, są świadomi tego, co się w niej dzieje, i przywiązują wagę do racjonalnych argumentów.

Dla świadomych, wahających się odbiorców Wałęsa miał konkretne argumenty. Pojawiły się już na początku, a później były jeszcze wielokrotnie powtarzane. Na pierwszy ogień poszły odwołania do zmieniających się okoliczności geopolitycznych – do pierestrojki. Bardzo zgrabne było odniesienie do – co by dużo nie mówić – ostatecznej porażki „karnawału Solidarności” 1980-81. Obrazowe stwierdzenie, że Breżniew żył o dwa lata za długo, z jednej strony odwoływało się do tego uzasadnienia stanu wojennego, które mogło mieć największe znaczenie dla wahających się obywateli. Uzasadnienia, które nigdy nie było punktem widzenia podziemnej opozycji. Lecz jednocześnie wskazywało, że to uzasadnienie nie jest już dłużej w mocy. Wybijało argument tym, którzy w obawie przed interwencją ze Wschodu akceptowali wszelkie ograniczenia reżimu.

Drugi argument to odwołanie do tak bliskiego sercu przytłaczającej większości Polaków poglądu, że to, co dzieje się na Zachodzie, jest wzorcem sprawdzonym i jedynym godnym naśladowania. Wałęsa zupełnie otwarcie wyrażał też przekonanie, że dyskusja

nie może dotyczyć tego, czy wprowadzić pluralizm, lecz jak.

Sam „pluralizm” na pierwszy rzut oka nie był może najszcześniejszym hasłem – nie tylko ze względu na kłopoty z jego wymową. Był to program minimum – ale właśnie dlatego był do przełknięcia dla drugiej strony. Nie było w nim dramatyzmu, nie dało się go wykrzyczeć. To nie była „wolność”, która chwyciłaby za serce zwolenników, lecz z pewnością umocniłaby stanowisko obrońców starego ustroju. Przeciwno takiemu postulatowi trudniej było znaleźć kontrargumenty, trudniej skojarzyć go z anarchią czy destabilizacją – etatowymi straszakami władzy.

Te argumenty, serwowane na chłodno, spokojnie, wynikające z kalkulacji i odwołujące się do wyobrażeń, do tego, co już wiadomo, nie były jeszcze wszystkim, co składało się na sukces Wałęsy.

Pióra miast armat państw skrzyżują szyki

Druga grupa odbiorców debaty to ci niezdecydowani, którzy niespecjalnie są zainteresowani polityką. Takie osoby najczęściej zwracają uwagę na cechy charakteru, na osobowości poszczególnych dyskutantów. Z takiego punktu widzenia Wałęsa po nie najlepszym początku rozkręcił się, pokazując z jednej strony zdecydowanie, a z drugiej strony świadomość ograniczeń. Był zaprzeczeniem stereotypów, które wykorzystywała władza. Był opanowany i rzeczowy, jednocześnie nie tra-

Debata telewizyjna
Alfred Miodowicz –
– Lech Wałęsa;
warszawskie studio TVP 1,
30 listopada 1988 r.



cać całej swojej specyfiki, która tak bardzo odróżniała go od ludzi ówczesnej władzy. Sugerował spotkania ekspertów i nie budował wrażeń, że chciałby wszystko samemu rozstrzygać. Przeciwnie – widać było po nim świadomość stania na czele grupy osób, których zdolności potrafi wykorzystać. Nie było w tym wszystkim agresji czy wojowniczości, co wcale nie znaczy, że zadeklarowani zwolennicy mieli powód, by czuć zawód.

Zadeklarowani zwolennicy stron oglądają debatę nie dlatego, że mają wątpliwości, co o danej sprawie sądzić i która strona ma rację. Dla nich debata służy nie tyle utwierdzeniu się w swoich przekonaniach, ile naładowaniu akumulatorów. Chodzi o to, by kibicować swojemu zawodnikowi. Od niego zaś oczekuje się, że zgniecie oponenta. Z jednej strony chodzi o górowanie nad nim psychicznie, z drugiej – o użycie takich argumentów, które najwyraźniej podkreślają różnicę pomiędzy stronami. Są źródłem własnego poczucia tożsamości, ale i przewagi.

Zwolennikom Wałęsy debata dawała poczucie satysfakcji głównie dlatego, że była przeprowadzona z pewnością. Zręczność przejawiała się w inicjatywie, ale też w całym szeregu drugoplanowych nawiązań i przytyków. Nie stanowiły one głównych tez ani nie były przedstawiane wśród spazmów oburzenia, ale pojawiały się między wierszami jako coś absolutnie oczywistego i bezdyskusyjnego. Przykładem może być pytanie „Nie wiemy, ile idzie na ZOMO” – to nie tylko poruszenie tematu tabu, lecz i swobodne przypomnienie zniekształconej nazwy.

Ważną rolę w argumentacji pełniło pojęcie stalinizmu jako określenie na szczególnie złe cechy sytuacji tu i teraz. Nawiasem mówiąc, po przemianach takie przywołania zniknęły ze słownika tego nurtu opozycji, który najbardziej utożsamiał się z Okrągłym Stołem. Nastąpiło wtedy wyraźne oddzielenie czasów generała Jaruzelskiego od czasów stalinowskich. Wałęsa w 1988 r. takich rozróżnień nie robił.

Satysfakcja zadeklarowanych zwolenników opozycji brała się też stąd, że podchodzili do tej debaty z największą obawą. Kilkuletnia nieobecność Wałęsy w oficjalnej przestrzeni publicznej budziła niepokój. Nie było wcale oczywiste, czy zachowanie Wałęsy nie będzie podążało za tymi wszystkimi wyobrażeniami, które chciała z nim skójczyć władza. Takie obawy się nie potwierdziły. Dodatkowo Wałę-

sa udało się znaleźć miksturę, która nie powiększyła obaw drugiej strony, a zadowoliliła nawet osoby wyrażające przekonanie, że z komunistami nie należy rozmawiać, tylko do nich strzelać. Najradykałniejsi zwolennicy uczestników debaty są w stanie wiele wybaczyć zawodnikowi po swojej stronie, również przekaz adresowany do wahających się wyborców, nie tak radykalny, jak by chcieli. Pod jednym wszak warunkiem: jeśli wygra, jeśli będą mieć poczucie, że przejął inicjatywę, że to druga strona została zapełdzona do narożnika.

W mrowisku lękiem karmionych koterii

Po tej debacie nikt nie miał wątpliwości, kto zwyciężył. Z pewnością pomogła w tym słabość Miodowicza, który nie przygotował się do tego starcia. Być może z jego punktu widzenia sytuacja była beznadziejna. Faktem jest jednak, że nie był w stanie powiedzieć nic, co jego oponenti uznaliby za groźny argument.

Miodowicz już na starcie mówił zbyt długo, przez kilkanaście minut, ale z jego przemowy niewiele wynikało. Nie miał jasnego pomysłu, co powiedzieć, a jedyne, co się wyraźnie powtarzało i dało wyłowić, to przekonanie, że powinien być w jednym zakładzie jeden związek. To oczywiście pod żadnym względem nie brzmiało przekonująco i zostało przez Wałęsę całkiem zgrabnie sparowane. Podobnie wybite zostały przez Wałęsę argumenty o upolitycznieniu, kiedy zwrócił uwagę na członkostwo w PZPR aktywu OPZZ. Słabość Miodowicza brała się najwyraźniej z przekonania, że przewaga moralna należy do drugiej strony, że wykorzystywane wcześniej uzasadnienia władzy straciły już

znaczenie. Zaprowadzenie spokoju po prostu się nie udało, a sytuacja gospodarcza pogarsza się, mimo że legalnej Solidarności nie ma. I wreszcie, że straszak w postaci interwencji ze Wschodu w obliczu pieriestrojki przestaje na kimkolwiek robić wrażenie. Stąd nawet przywoływanie hasła „precz z komuną” czy „bij Żyda” było robione bez przekonania, bez konsekwencji i raczej w atmosferze chaosu.

Porażką okazała się nawet sprawa drugoplanowa – ubiór i społeczna przynależność. Miodowicz wystąpił bez krawata, starał się podkreślać wspólnotę doświadczeń z Wałęsą. Jednocześnie mówił językiem oficjalnym, pokazując swój związek z władzą. Wałęsa w krawacie prezentował się bardziej formalnie i poważnie, lecz jednocześnie nawet sam sposób mówienia sprawiał, że był postacią z innej niż oficjalna rzeczywistości.

Na żadnym z trzech kluczowych pól debaty Miodowicz nie miał niczego do zaoferowania. Merytorycznie nie przedstawił żadnych argumentów, które by wskazywały na jakąkolwiek nadzieję na zmianę sytuacji gospodarczej. Powtarzanie, że trzeba powoli wspólnymi siłami rozwiązywać problemy, przy oczywistym założeniu, że można tylko kontynuować to, co się robiło wcześniej, nie było w stanie nikogo przekonać. Narastający kryzys domagał się zdecydowanej, radykalnej zmiany. Pod względem charakterologicznym był on bez wątpienia bardzo daleko od determinacji, spokoju i narastającej pewności siebie Wałęsy. A i najzagorzalsi zwolennicy minionego reżimu nie mogli być z niego zadowoleni. Te argumenty, które brzmiałyby miło w ich uszach, wypowiedziane były z licznymi zastrzeżeniami. Z łatwością były zbijane przez dobrze przygotowanego przeciwnika,

podczas gdy sam Miodowicz nie był w stanie podważyć kluczowych argumentów Wałęsy – zwłaszcza że wiele z nich było rzucanych mimochodem, jako oczywistości, w sposób, który bardzo utrudnia polemikę.

Uszy nastawić na szeptów oddechy

Tymczasem samo dopuszczenie do takiej debaty było przejawem słabości władzy, i to takim, który tylko słabość pogłębia. To dokładnie tak jak z odwrotem na wojnie, który podlega swoistemu paradoksowi: jeśli sytuacja jest tak zła, że trzeba zarządzić odwrót, to odwrót tylko ją pogarsza. Cofające się wojsko łatwo idzie w rozsypkę. Jedyne jego szansą jest przyływ wiary w przygotowany wcześniej plan kontrofensywy. Tymczasem przejście inicjatywy w żadnym sensie się nie udało.

Czwarta grupa odbiorców każdej debaty to media i komentatorzy – wszyscy ci, którzy sprawiają, że debata jest analizowana, omawiana, wyciągane i odtwarzane są jej poszczególne fragmenty.

Pod tym względem porażka Miodowicza – zarówno samego strategicznego zamiaru wciągnięcia Wałęsy w debatę, jak i jego wykonania – nie pozostawiała złudzeń. Nie bardzo było nawet jak zrobić dobrą minę do złej gry. Przede wszystkim zostało przełamane tabu: Wałęsa przestał być osobą, która jest niewarta uwagi ze względu na swą marginalizację, stał się bohaterem programu w najlepszym czasie antenowym, przy kolosalnej widowni. Osobą, z którą w ewidentny sposób władza musi się liczyć, zarówno ze względu na jej osobiste cechy, jak i na zaplecze, które za nią stoi. I właśnie ta czwarta grupa odbiorców wydaje się być tą, która stanowiła gwóźdź do trumny dla całej strategii marginalizacji i zagadania Wałęsy oraz Solidarności jesienią 1988 r. Kinole opadły do reszty.

Wydaje się, że od tej debaty siły reżimu zaczęły zmieniać swoją strategię. Dotychczasową pozycję – formalnie regulowaną dominację – postanowiły zamienić na zabezpieczone mniej lub bardziej oficjalnie przywileje i przyzwolenia. Problem postawiony przez Wałęsę – „nie czy, ale jak” – został przyjęty, ale i przeformułowany. Demokracja miała wrócić, lecz stawką w grze było niedopuszczenie do rozliczenia i rewanzu.

Ci, co przeżyli, muszą walczyć dalej

Ta wojna została wygrana, lecz przecież tamten podział pozostał kluczową osią politycznego sporu wolnej już Rzeczypospolitej na co najmniej 15 lat. Wiele było jeszcze zwrotów akcji, po których nosy każdej z ówczesnych stron to się podnosiły, to znów opadały. Istotną rolę odgrywały w tym kolejne debaty. Wiele z nich miało rzeczywiste znaczenie dla przebiegu wydarzeń politycznych w Polsce – by wspomnieć tylko debatę Wałęsy z Kwaśniewskim w 1995 r., Kwaśniewskiego z Kaczyńskim i Kaczyńskiego z Tuskiem w 2007 r. Każda z nich przebiegała w innych okolicznościach i w grze o inną stawkę. Jednak na każdej z nich zaciążyło to samo, co odegrało kluczową rolę w 1988 r. Za każdym razem okazywało się, że największym zagrożeniem dla uczestników debaty jest lekceważenie przeciwnika. Oczekiwanie, że będzie podążał za naszymi stereotypami na jego temat, że wpisze się w te stereotypy i będzie je potwierdzał.

Tymczasem, jak się wydaje, najważniejszą sztuką w debacie jest zaskoczenie przeciwnika i zbicie go z tropu. Nie zawsze środki, które temu służą, są godne pochwały, tak jak celowe rozdrażnienie Wałęsy przez Kwaśniewskiego poprzedzające debatę w 1995 r. czy zachowanie zwolenników Tuska w studiu w 2007 r. Jednak nawet tego rodzaju zabiegi są zawsze próbą, z którą muszą się zmierzyć pretendenci do przywództwa. I właśnie umiejętność przewidzenia tego, na jakim polu przeciwnik chce nas pokonać, i zneutralizowanie jego ataku jest ostatecznym potwierdzeniem pozycji lidera. Tę próbę jesienią 1988 r. Wałęsa bez wątpienia wygrał. Nie były to mozo Himalaje profesjonalizmu, a bardzo słaby Miodowicz stanowił tutaj wygodne tło. Jednak słabość przeciwnika nie powinna odbierać satysfakcji ze zwycięstwa. Było ono zwycięstwem nie samego tylko Wałęsy, ale i tych, którzy na tę chwilę czekali siedem długich lat, a którym Wałęsa – i chwala mu za to – podziękował na samym wstępie.

● Śródtytuły pochodzą z piosenki Jacka Kaczmarskiego „Somosierra”.

Samo dopuszczenie do debaty Wałęsa–Miodowicz było przejawem słabości władzy, i to takim, który tylko słabość pogłębia. To dokładnie tak jak z odwrotem na wojnie, który podlega swoistemu paradoksowi: jeśli sytuacja jest tak zła, że trzeba zarządzić odwrót, to odwrót tylko ją pogarsza.



Alexanderplatz,
Berlin Wschodni,
4 listopada 1989 r.
Największy
protest
w historii NRD
– na wezwanie
wschodnio-
berlińskich
aktorów
i opozycyjnego
ruchu Nowe
Forum (Neues
Forum) przyszło
ponad pół
milionu ludzi.

Po prawej pisarze:
Christa Wolf
i Stefan Heym.



Enerdowska droga ku wolności

Podczas gdy opozycja w Polsce walczyła o prawa socjalne dla obywateli i zapewnienie im dostępu do podstawowych dóbr, wielu wschodniemieckich opozycjonistów nawoływało do ograniczania konsumpcjonizmu.

EHRHART NEUBERT

Głównym postulatem politycznym ruchów opozycyjnych krajów Europy Środkowo-Wschodniej była wolność. Walczono o prawa i godność człowieka oraz o życie w prawdzie, w przeciwieństwie do pozorów tworzonych przez aparat partyjno-państwowy. Reagowała aktywnie na ciągłe kryzysy systemu komunistycznego, i to ich rodzaj determinował tematy, które z czasem stawały się konkretnymi postulatami politycznymi. Nie istniał spór programowy, gdyż system komunistyczny nie zakładał w ogóle polemiki wokół różnych koncepcji politycznych, wypracowywanych w utrwalonych demokracjach przez poszczególne partie.

Dopiero rok 1989 pozwolił na zmianę tego paradygmatu. Wówczas to opozycjoniści musieli stworzyć i rozwinąć koncepcje programowe dotyczące nie tylko funkcjonowania

państwa, ale i zmian społecznych, obejmujących wszystkie dziedziny polityki. Jako że ruchy opozycyjne zgromadziły w swoich szeregach ludzi o różnych światopoglądach, w momencie gdy należało opracować konkretne rozwiązania, niebazujące już na sprzeciwie wobec dyktatury, szybko doszło do pluralizacji sceny politycznej. Do roku 1989 kwestie strategiczne dominowały jednak nad rozwiązaniami programowymi.

Pomimo jednak, iż sprzeciw wobec dyktatury dotyczył zawsze sprawy fundamentalnej – walki o wolność – działalność ruchów opozycyjnych w krajach bloku wschodniego różniły takie czynniki jak bieżąca sytuacja polityczna lub ekonomiczna czy odmienna tradycja ideowa.

Etyka społeczna kontra dyktatura

Opozycja w NRD wyróżniała się również swoim profilem. Począwszy od lat 70., w procesie kształtowania się życia publicznego dominującą rolę w enerdowskiej opozycji odgrywały takie kwestie jak pokój, ochrona środowiska oraz sprawiedliwość społeczna na świecie. Tematy te, podejmowane w symbolicznej, często wręcz biblijnej stylistyce, leżały u podstaw działań opozycjonistów i budowania struktur. Tworzone były więc „koła”, „grupy” i „dekady” pokoju, organizowano warsztaty dla pokoju, odmawiano modlitwy o pokój.

Z czasem motywy wywodzące się z ruchu pacyfistycznego i ekologicznego przenoszone były na kwestie praw człowieka i demokratyzacji. Oczywiście można zadać uzasadnione pytanie, czy sprawy etyki społecznej mogą być utożsamiane z celami politycznymi, gdyż zazwyczaj stanowią bazę dla wszelkiego rodzaju utopii, przeciwstawianych przez apolitycznych „poprawicieli świata” wszystkim

i wszystkiemu. Jednak kwestie podnoszone przez opozycję w czasach rządów Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED), jeśli nawet oparte były na ideach etyki społecznej, odnosiły się zawsze do podstawowych obszarów legitymacji państwa komunistycznego oraz wykazywały słabość systemu politycznego, wspartego na ideologicznie fałszywych założeniach. I choćby przez to nabierały już charakteru programowo-politycznego, podobnie jak samo roszczenie do prawa udziału w życiu publicznym podważało złudę jedności propagowanej przez władze komunistyczne. Idea jedności służyła natomiast władzom komunistycznym dla uzasadnienia permanentnej konieczności obrony pokojowego socjalizmu przed agresywnym kapitalizmem.

Ekspansywna polityka zagraniczna i bezprecedensowa militarystyka społeczeństwa służyły bardziej dyscyplinie i podtrzymywaniu nienawiści klasowej niż rzeczywistym potrzebom bezpieczeństwa. Finansowanie tej polityki spowodowało zaś postępującą stagnację gospodarczą i spadek potencjału innowacyjnego. W tej sytuacji cele związane z ochroną środowiska nie były możliwe do pogodzenia z interesem gospodarczym.

Tak więc pacyfistyczne ruchy opozycyjne mogły rozwijać retorykę polityczną, upatrującą przyczyn zagrożenia dla pokoju i kryzysu ekologicznego w deficytach demokracji i wolności oraz braku poszanowania

praw człowieka. Komuniści poczuli się sprowokowani. Energia zaangażowana w system prześladowań była niewspółmierna wobec środków stosowanych przez pacyfistyczną opozycję, nieprzygotowaną do zderzenia z okrutnym aparatem represji organów bezpieczeństwa. W ten sposób zasady etyki społecznej znalazły się bezpośrednio w strategii programu politycznego, skierowanego przeciwko dyktaturze. Prawo do wolności i demokracji stanowiły zawsze jego tło, choć dla opozycji enerdowskiej w połowie lat 70. i następnie od połowy lat 80., kwestie praw człowieka, a we wczesnych latach 80. sprawy pokoju, odgrywały w politycznym dyskursie pierwszoplanową rolę.

Na tle innych demoludów

Specyfika enerdowskiej opozycji – jej ukierunkowanie na etykę społeczną – jedynie częściowo może być uznana za słabość. Zestawienie z polityczną agendą w innych państwach Europy Środkowo-Wschodniej ukazuje wiele analogii. Również w Czechosłowacji działał ruch sprzeciwiający się militarystyce społeczeństwa, natomiast w Polsce powstał w roku 1983, kojarzony z Solidarnością, Ruch „Wolność i Pokój”, który utrzymywał kontakty z ruchami pacyfistycznymi NRD.

W podobny sposób rozwijały się w innych krajach ruchy ekologiczne

krytykujące wyniszczającą politykę uprzemysłowienia. Pewne podobieństwo w sposobie upolitycznienia tych zagadnień widoczne było w NRD i na Węgrzech, jakkolwiek swoboda legalnego działania była na Węgrzech nieco większa.

Inaczej przebiegał jednak enerdowski dyskurs na temat polityki gospodarczej i polityki społecznej, w szczególności wokół złej strategii dystrybucji towarów i dóbr. Podczas gdy opozycja w Polsce walczyła o prawa socjalne dla obywateli i zapewnienie im dostępu do podstawowych dóbr, wielu wschodniemieckich opozycjonistów nawoływało do ograniczania konsumpcjonizmu. W tym miejscu należy uwzględnić różnice gospodarcze między Polską a NRD. Retoryka ograniczenia konsumpcji na rzecz ochrony środowiska nie miałaby po prostu w Polsce racji bytu.

Jeden z często przytaczanych argumentów, które miałyby udowodnić słabość programu enerdowskiej opozycji, wynikał z obecnej w wielu ugrupowaniach (jeszcze do jesieni 1989 r.) socjalistycznej semantyki. Większość opozycjonistów w innych krajach już wiele lat wcześniej porzuciła ten sposób narracji. W NRD natomiast utrzymał się on tak długo nie tylko dlatego, że był zakorzeniony od dawna w tradycji opozycyjnej, ale również ze względu na wpływ idei etyki społecznej na protestantyzm, który uznawany był za alternatywę dla realnego socjalizmu.

W latach 80. opozycjoniści w NRD nie utożsamiali używanego w pozytywnym kontekście pojęcia „socjalizm” z rządami partii komunistycznej. Używali go w sposób nieprecyzyjny, nie kwestionując samej idei socjalizmu. Paradoxem było uznawanie ich przez organy represji za „elementy antysocjalistyczne”.

Nawet jednak wyrażone w tej socjalistycznej semantyce postulaty polityczne stały się dla opozycji celem,

Energia zaangażowana w system prześladowań była niewspółmierna wobec środków stosowanych przez pacyfistyczną opozycję, nieprzygotowaną do zderzenia z okrutnym aparatem represji organów bezpieczeństwa NRD.



KAROLINA SEKULA DLA TP



Wartości dla demokracji

O działalności Fundacji Konrada Adenauera po roku 1989

dla którego jesienią 1989 r. przeszła do ofensywy, aby w końcu też przejąć władzę. Wiązało się to już w pełni z odrzuceniem socjalistycznej, utopijnej i romantycznej wizji polityki. W przypadku niektórych opozycjonistów proces ten trwał jednakże bardzo długo lub nie powiódł się w ogóle.

Schemat działań wielu ruchów opozycyjnych w różnych krajach Europy Środkowo-Wschodniej wyglądał podobnie. Do ważkich początkowo tematów społecznych dochodziły stopniowo coraz to nowe tematy polityczne, np. w krajach bałtyckich ruchy ekologiczne przeobraziły się w narodowowyzwoleńcze. Dalsze przeobrażenia następowały już po przejściu władzy. W Polsce i Czechosłowacji formacje opozycyjne w krótkim czasie zatraciły swoje pierwotne założenia i bardzo szybko się zróżnicowały. O ile opozycja w tych krajach w latach wcześniejszych domagała się przyspieszenia reform gospodarczych, o tyle na przełomie lat 1989/90 okazało się, że nie dysponowała gotowym programem dla rozpoczynającej się transformacji. Również pod tym względem opozycja enerderska szła tą samą drogą... ♦

● Artykuł przygotowany w oparciu o tekst autorstwa dr. Ehrharta Neuberta z publikacji „Oppositions- und Freiheitsbewegungen im früheren Ostblock” wydanej na zlecenie Konrad-Adenauer-Stiftung e.V. przez Verlag Herder pod redakcją Manfreda Agethena i Güntera Buchstaba.

→ DR EHRHART NEUBERT (ur. 1940) jest teologiem i pastorem ewangelickim. W czasach NRD był członkiem różnych organizacji opozycyjnych, m.in. jednym z założycieli ruchu Przełom Demokratyczny. Były kierownik Wydziału Nauki i Badań w Urzędzie ds. Akt Służby Bezpieczeństwa b. NRD.

Wolność, sprawiedliwość i solidarność są wartościami, którymi w swojej pracy kieruje się Fundacja Konrada Adenauera. Duchowa spuścizna jej patrona, pierwszego niemieckiego kanclerza i współtwórcy CDU, Konrada Adenauera (1876–1967), pozostaje dla Fundacji zadaniem i zobowiązaniem. Jego nazwisko jest symbolem odbudowy demokratycznych Niemiec, oparcia polityki zagranicznej na transatlantycznej wspólnocie wartości, wizji zjednoczonej Europy i polityce państwa w duchu społecznej gospodarki rynkowej. Połączenie tradycji społeczno-chrześcijańskiej, konserwatywnej i liberalnej stanowi ideową podstawę działalności Fundacji w Niemczech, a od ponad 50 lat także na całym świecie. Dzięki pracy 70 biur i projektom prowadzonym w ponad 120 krajach Fundacja wspiera rozwój demokracji, państwa prawa i społecznej gospodarki rynkowej. Angażuje się również w dialog w polityce wewnętrznej i międzynarodowej oraz porozumienie między kulturami i religiami.

NOWE POLA DZIAŁANIA PO ROKU 1989

Punktem zwrotnym dla działalności Fundacji Konrada Adenauera stał się upadek muru berlińskiego 9 listopada 1989 r. i następujący po nim rozpad NRD oraz całej strefy wpływowo imperium sowieckiego w Europie Środkowo-Wschodniej. Od tamtej pory kraje Europy Środkowo-Wschodniej i Południowo-Wschodniej dołączyły do grupy państw, w których głównym celem pracy Fundacji są: popularyzacja wartości liberalnej demokracji, porządku państwowego, opartego na poszanowaniu praw człowieka, zasadach subsydiarności i partnerstwa. Fundacja Adenauera utrzymywała już wcześniej szerokie kontakty w krajach bloku wschodniego, ale ich ograniczeniem były działania organów infiltracji stworzonych przez rządy tych państw. Otwarcie pierwszego przedstawicielstwa Fundacji w Polsce w przeddzień upadku muru berlińskiego stanowiło początek tworzenia w kolejnych latach dalszych placówek zagranicznych Fundacji, które do chwili obecnej z sukcesem budują platformę przyjaźni i zrozumienia pomiędzy RFN i nowymi państwami członkowskimi Unii Europejskiej. Doświadczenia z działalności w Europie Środkowo-Wschodniej i Południowo-Wschodniej pozwoliły na wypracowanie dodatkowych istotnych kierunków w strategii Fundacji Konrada

Adenauera, obowiązujących obecnie, nie tylko w działalności przedstawicielstw zagranicznych, ale będących celem dla całej Fundacji.

- Objęto one:
- doprowadzenie do zbliżenia krajów Europy Wschodniej do struktur europejskich i atlantyckich oraz wspieranie strategii przedakcesyjnych tych krajów;
 - wspieranie procesu demokratyzacji i zmian ustrojowych w Federacji Rosyjskiej i na Ukrainie;
 - intensyfikowanie dialogu politycznego z elitami rządzącymi;
 - rozbudowa działań w regionie Europy Południowo-Wschodniej (tzw. Pakt Stabilności);
 - połączenie istniejących i nowo powstających struktur, służących współpracy regionalnej w Europie;
 - działanie w zakresie wspierania demokracji, świadomości ekonomicznej, dialogu politycznego i społeczno-politycznego.

FUNDACJA KONRADA ADENAUERA W POLSCE

Fundacja Konrada Adenauera, jako pierwsza z niemieckich fundacji politycznych, otworzyła swoje biuro w Warszawie już 10 listopada 1989 r., dwa miesiące po utworzeniu rządu Tadeusza Mazowieckiego. Otwarcie pierwszego przedstawicielstwa Fundacji Adenauera w krajach byłego bloku wschodniego właśnie w Polsce było wyrazem uznania dla wieloletniej wolnościowej walki Polaków, która ostatecznie doprowadziła do obalenia dyktatury komunistycznej i zakończenia podziału Europy, w tym także Niemiec. Możliwe to było dzięki wcześniejszym intensywnym kontaktom, zainicjowanym przez przewodniczącego Fundacji, Bruno Hecka, z przedstawicielami opozycji demokratycznej, przede wszystkim za pośrednictwem Kościoła katolickiego. Stworzyło to sprzyjający klimat do dobrej współpracy i otwarcia przedstawicielstwa Fundacji w Warszawie.

CELE

Obecnie Fundacja Konrada Adenauera w Polsce wspiera przede wszystkim budowę społeczeństwa obywatelskiego, ponadpaństwowy dialog międzypartyjny,

sprawnie działający system społeczny i gospodarczy, kontynuację procesu integracji europejskiej i dbałość o dobre stosunki Polski i Niemiec w ramach zjednoczonej Europy. Ważnym aspektem działalności w Polsce jest dialog z perspektywy chrześcijańskiej demokracji na temat najważniejszych wartości w społeczeństwie i roli Kościoła, polityki wschodniej UE i polityki bezpieczeństwa, rozwoju społecznej gospodarki rynkowej, efektywnej administracji państwowej i roli elit politycznych. Zajmujemy się również zagadnieniami związanymi ze wspólną historią Polski i Niemiec.

WSPÓŁPRACA Z PARTNERAMI

Nasza działalność w Polsce od samego początku polega na edukacji politycznej, czyli organizacji seminariów, konferencji i debat, które Fundacja organizuje sama lub we współpracy z partnerami z całej Polski. Współpraca z polskimi organizacjami pozarządowymi opiera się na zasadach subsydiarności i partnerstwa. Do naszej pracy włączamy również osobistości ze świata polityki, biznesu, Kościoła i nauki. Uzupełnieniem projektów Fundacji Konrada Adenauera w Polsce są stypendia, programy studyjne i informacyjne w Niemczech.

DLA ODPOWIEDZIALNEGO ROZWOJU

Tworząc forum dla dialogu politycznego, Fundacja Adenauera chce popierać merytoryczną współpracę między różnymi grupami społecznymi, regionami i partnerami globalnymi. Wymiana doświadczeń z Niemcami jest w tym przypadku szczególnie istotna. Jako partnerzy możemy współtworzyć świat, w którym każdy kraj ma możliwość wolnego i odpowiedzialnego rozwoju. ♦

● Tekst przygotowany na podstawie materiałów z publikacji „Die Konrad-Adenauer-Stiftung – Eine Chronik in Berichten und Interviews mit Zeitzeugen” wydanej przez Konrad-Adenauer-Stiftung e.V. pod redakcją Güntera Beaugranda.



Lipsk, 9 października 1989 r.
– miesiąc przed upadkiem muru.
Aram Radomski wraz z Siegbertem
Scheffkem dokumentował tę pierwszą
demonstrację w NRD.

Kamerzysta rewolucji

24 lata temu Siegbert Scheffke ruszył z posad bryłę świata.

JOACHIM TREKNER

Jego nagrania obiegły świat. Jako jedyny sfilmował – z ukrycia, urwawszy się wcześniej inwigilującym go agentom Stasi – to, co 9 października 1989 r. stało się w Lipsku: 70 tysięcy ludzi na ulicach i bezradne władze, które nie odważyły się użyć siły.

Jeśli ktoś wątpi w tezę, że jednostka wpływa na historię, Siegbert Scheffke jest jej potwierdzeniem: gdy jego film przeszmuglowano na Zachód i gdy emitowała go zachodniemiecka telewizja, kolejni obywatele NRD – wiedząc o wydarzeniach w kraju czerpiący nie z partyjnych mediów, ale z zachodniej telewizji – postanowili wziąć przykład z mieszkańców Lipska. Wkrótce na ulicach miast NRD demonstrowały setki tysięcy, a może nawet, w skali kraju – miliony ludzi. W samym tylko Lipsku – ćwierć miliona.

Dziś historycy są przekonani, że lipski 9 października był rozstrzygającym dniem dla dalszego przebiegu „pokojoywej rewolucji” we wschodnich Niemczech. Nie tylko jako przykład do naśladowania. Także dlatego, że był to chyba ostatni moment na siłowe zduszenie protestów. Władze były przygotowane – jednostkom milicji i wojska wydano już ostrą amunicję – ale się nie zdecydowały. Później, gdy

demonstracje rozlały się na całą NRD, na skuteczne rozwiązanie siłowe było za późno.

„To my jesteśmy narodem!”

Rankiem w poniedziałek, 9 października 1989 r., 30-letni Siegbert Scheffke opuścił swe niewielkie mieszkanie w berlińskiej undergroundowej dzielnicy Prenzlauer Berg przez okno. Wiedział, że jest pod stałą obserwacją Stasi. Wiedział też, że tego dnia musi dotrzeć do Lipska: czuł, że to, co się tam zdarzy wieczorem, będzie ważne. Od początku września, w każdy poniedziałek, po nabożeństwie o pokój w kościele św. Mikołaja, na lipskie ulice wychodziły demonstracje: najpierw kilkaset, potem kilka tysięcy ludzi. Z każdym poniedziałkiem więcej.

Scheffke musiał dotrzeć do Lipska. Dlatego opuścił mieszkanie przez okno, wdrapał się na dach swej kamienicy, aby skacząc po kolejnych dachach, urwać się szpiclom. Dotarł do samochodu przyjaciela i współpracownika Arama Radomskiego. Ruszyli do Lipska tak szybko, jak tylko pozwalał trabant. Jadąc wyboistą, betonową autostradą – pamiętającą czasy III Rzeszy – mijali kolumny wojskowych ciężarówek. Także Lipsk przypominał twierdząc: w uliczkach biegnących do centrum rozlokowały się potężne siły milicji; widać było też liczne grupy krzepkich mężczyzn trzymających się razem: esbeków po cywilnemu.

Scheffke, uzbrojony w kamerę wideo, zainstalował się na wieży kościoła. Stąd miał doskonały widok na planty, czyli tzw. Ring, obiegający Stare Miasto: tędy mieli iść demonstranci, tradycyjną już trasą wzdłuż Ringu. I stąd Scheffke sfilmował przebieg demon-

stracji: 70 tysięcy ludzi krążących przez kilka godzin wokół Starego Miasta i powtarzających hasło, które przejdzie do legendy: „Wir sind das Volk!”. „To my jesteśmy narodem!”.

Kilka godzin później Scheffke spotkał się w umówionym uprzednio miejscu (był to jeden z lipskich hoteli) z dziennikarzem zachodniemieckiego tygodnika „Der Spiegel” i przekazał mu kasety. Reporter natychmiast ruszył w drogę, przekroczył granicę Berlina Zachodniego i przekazał nagranie odbiorcom: zachodnioblińskiej telewizji publicznej. Następnego dnia w wieczornych wiadomościach ARD – do dziś najważniejszym programie informacyjnym w niemieckiej telewizji – miliony widzów w obu państwach niemieckich mogły obejrzeć początek końca komunistycznego reżimu.

Bo teraz ruszyła lawina. W kolejnych miastach, miasteczkach, a nawet na wsi demonstrowali obywatele NRD. A ton ciągle nadawał Lipsk, gdzie kilka tygodni później – już po tym, jak 9 listopada władze NRD otworzyły granice, a mur w Berlinie przestał być śmierniczym narzędziem – ćwierć miliona demonstrantów zaczęło skandować nowe

hasło: „Wir sind ein Volk!”. „Jesteśmy jednym narodem!”. A Siegbert Scheffke, który już nie musiał uciekać przed Stasi (esbecy mieli teraz inne problemy: jednym z głównych żądań demonstrantów stała się także likwidacja tajnej policji), co poniedziałek wdrapywał się na swój posterunek na kościelnej wieży, aby zachodniej telewizji dostarczyć świeży materiał filmowy.

W ten sposób Scheffke tworzył historię. Bo jednego możemy być pewni: po 9 października wydarzenia na pewno nie potoczyłyby się tak szybko, gdyby za pośrednictwem zachodniej telewizji obywatele NRD nie dali się porwać przykładowi Lipska.

Reporterzy w konspiracji

Lipsk nazwano wtedy „Heldenstadt”, „Miastem Bohaterów”. A gdy jego rola wyszła na jaw, Scheffkego nazwano „kamerzystą rewolucji”. Jak czuje się dziś, gdy jego nazwisko jest znów przywoływane? – Byłem raczej rewolucjonistą niż reporterem – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem”. – To było coś nie-

Scheffke stał się żywym dowodem, że jednostka może wpływać na historię.

Bo nawet jeśli nie sposób dowieść tego empirycznie, możemy być pewni: po 9 października wydarzenia w Niemczech wschodnich na pewno nie potoczyłyby się tak szybko, gdyby za pośrednictwem zachodniej telewizji obywatele NRD nie dali się porwać sfilmowanemu przezeń pochodowi w Lipsku.

zwykłego. Jako jedyni robiliśmy wtedy nagrania dla telewizji. Oczywiście, NRD-owska telewizja miała lepszy sprzęt i kamerzystów, ale oni nic nie nagrywali.

Wtedy, 20 lat temu, Scheffke szybko doszedł do przekonania, że państwo NRD-owskie nie przetrzyma Jesieni Ludów. – Właściwie to już wtedy nasunęła mi się taka myśl – wspomina. – Bo jeśli w tamten poniedziałek, 9 października, demonstruje 70 tysięcy ludzi, a w tydzień później już trzy razy tyle, to widać, że system długo nie pociągnie.

Rewolucjonistą, a wcześniej opozycjonistą, Scheffke nie został od razu. Życie tego wyrośniętego syna murarza z Eberswalde pod Berlinem zaczęło się typowo, wedle NRD-owskiego schematu: matura, praca (jako robotnik budowlany), potem studia (w Cottbus, budownictwo). Około roku 1986 trafił do środowiska alternatywnego, skupionego wokół Zionskirche (ewangelickiego Kościoła Syjonu) w Berlinie Wschodnim, które zajmowało się ekologią i krytykowało NRD-owski militarizm (występujący pod płaszczykiem „walki o pokój”). Środowisko przekształcało się w grupę już stricte opozycyjną, a Scheffke angażował się coraz bardziej – dokumentując, najpierw aparatem fotograficznym, a potem kamerą wideo, prawdziwe oblicze NRD.

Skąd wzięli kamerę? Aby to wyjaśnić, trzeba do tej opowieści wprowadzić postać Rolanda Jahn [reportaż o nim ukazał się w „TP” nr 34/2005 – red.]. Ten legendarny opozycjonista rodem z Jeny, zniemawidzony przez władze, został siłą wydalony z NRD i osiadł w Berlinie Zachodnim. Tu został współpracownikiem, a potem redaktorem telewizyjnego magazynu „Kontrasty”, który dla kanału ARD przygotowywał reportaże z NRD i innych krajów komunistycznych; redakcja magazynu mieściła się w Berlinie Zachodnim. W 1987 r. Jahn – który znał Scheffkego – zaproponował szefowi „Kontrastów”, by na rachunek ARD kupić kamerę wideo, która zostanie przezycona przez granicę i trafi do „zaufanego człowieka” w Berlinie Wschodnim. Ten zaś będzie nagrywał potajemnie materiały, jakich nigdy nie byłoby w stanie sfilmować korespondenci zachodniemieccy akredytowani w NRD. Nagrane kasety miały być następnie szmuglowane do Berlina Zachodniego – w tym celu Jahn zorganizował całą siatkę łączników.

Siegbert Schefke dokumentuje
podupadające miasta NRD.
1989 r.



ROBERT HAVEMANN-GESellschaft TARAN RADOMSKI

Odwaga zrodzona z rozpacz

Dzisiaj brzmi to prosto. Tymczasem było to przedsięwzięcie ryzykowne, a jego uczestnicy działający na terenie NRD – i pracujący w konspiracji filmowcy amatorzy oraz łącznicy – narażali się, w razie wpadki, na wieloletnie więzienie.

Wpadki jednak nie było. Stworzone przez Jahna przedsięwzięcie, do którego dopuszczono wąską grupę zaufanych osób, funkcjonowało niezłe. A jego mózgiem na terenie NRD stał się Siegbert Schefke, dokumentujący potajemnie na taśmach wideo nie tylko ekologiczne grzechy NRD-owskiego państwa czy degradację zabytków, ale także działalność grup neonazistowskich (których oficjalnie w NRD nie było). A także – działalność rodzącej się opozycji.

Tak powstało kilkadziesiąt nagrań, mających wartość nie tylko dziennikarską, ale przede wszystkim będących politycznymi „bombami”: emitowane następnie w „Kontrastach”, a potem również w innych audycjach ARD – także w głównych programach informacyjnych – były sensacją. Ujawniały to, co funkcjonariusze NRD-owskiego państwa chcieli ukryć nie tylko przed światem, ale także przed własnymi obywatelami. A że większość tychże obywateli codziennie wieczorem włączała zachodnią telewizję (tylko w niektórych regionach NRD nie dało się jej oglądać, np. w Dreźnie, położonym w głębokiej dolinie Łaby) władze i Stasi dostawały szału.

– Wszyscy mieliśmy na pieńku z tym państwem – tak Schefke tłumaczy dziś swoją ówczesną motywację. – Można chyba powiedzieć, że nasza odwaga rodziła się z rozpacz i bezsilności. Byliśmy dorosłymi ludźmi, wiedzieliśmy, co robimy. Zmuszaliśmy rządzących, żeby spojrzeli w lustro. Nasze nagrania były tym lustrem.

Byli inwigilowani, ale Stasi nie udało się rozpracować ich siatki. Gdy po otwarciu archiwów Schefke oglądał swoją „teczkę”, stwierdził, że Stasi nadała mu kryptonim „Szatan”, a w 1989 r. był niemal pod stałą obserwacją. Tego ostatniego był zresztą świadom już wtedy – dlatego gdy miał do wykonania jakiegoś zadanie, najpierw musiał zgubić „ogon”.

Na pytanie, jak radził sobie ze świadomością, że w każdej chwili może

trafić na lata do więzienia, odpowiada: – Kiedyś podczas przesłuchania oficer Stasi powiedział mi, że ma tu w szufladzie wystawiony na mnie paszport, z wizą uprawniającą do opuszczenia kraju, i jeśli zechcę, za pół godziny mogę być na Zachodzie. Wtedy pojąłem, że mimo wszystko mam nad nimi przewagę, że oni boją się mnie bardziej niż ja ich.

Schefke miał rację: historia miała wkrótce dowiedzieć, że jednym z największych zagrożeń dla systemu totalitarnego jest jawność. W ten sposób część zachodnich mediów przyczyniła się do sukcesu Jesieni Ludów, bo pomogła złamać monopol władz NRD na informację.



Po zjednoczeniu Niemiec Schefke najpierw został reporterem regionalnej stacji telewizyjnej w byłej NRD Mitteldeutscher Rundfunk (MDR), a potem postanowił zająć się biznesem. Konkretnie: nieruchomościami. Wykazał tu spory talent, zarobił duże pieniądze; dziś jest człowiekiem zamożnym. Poza tym chciał nadgonić to, czego nie mógł robić w NRD. Jego pasją stały się podróże po świecie; szczególnie spodobały mu się Stany Zjednoczone.

Zapytany dziś, co sądzi o rozpozszechnionej w tzw. wschodnich landach nostalgii za NRD, Schefke długo się zastanawia: – Byłem już w prawie 50 krajach świata, właśnie wracam z żoną i dziećmi z Ameryki, moja 12-letnia córka zna cztery języki. Nie tęsknię do niczego, co było w NRD. Mamy wolność, wolne wybory, demokrację. Nic, ale to nic nie było wtedy lepsze. NRD to było przestępcze państwo, które „zamurowało” własnych obywateli.

20 lat po tym, jak jego nagrania tworzyły historię, Schefke wkrótce opuści Niemcy na stałe. Razem z rodziną chce zamieszkać w Stanach, na Florydzie. – Bo ludzie są tam cholernie sympatyczni, bo mamy tam dom nad morzem, a słońce świeci tam 320 dni w roku – mówi.

Czy to będzie strata dla Niemiec? Bez wątpliwości. ◆

PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH PIĘCIAK

● PS. Ówczesnym szefem magazynu „Kontraste” był autor tego tekstu, dziś korespondent „Tygodnika Powszechnego” w Berlinie.

Z kamerą za żelazną kurtyną

JOACHIM TRENKNER:
W sumie to proste: gdy jesienią 1989 r. tworzyła się historia, byliśmy tam, na miejscu, gdzie to się działo.

WOJCIECH PIĘCIAK: Jak zaczęła się Twoja dziennikarska „przygoda” z Europą Wschodnią?

JOACHIM TRENKNER: Wyrastałem w komunistycznej NRD i dlatego w jakiejś mierze przynależałem do Europy Wschodniej nie tylko geograficznie, lecz zdecydowanie też politycznie. System polityczny, który po wojnie zapanował nad Europą Wschodnią, był mi więc dobrze znany. Jak wielu innych uciekłem z NRD, w 1959 r., potem przez Berlin Zachodni trafiłem do Nowego Jorku, zostałem dziennikarzem. Tam po raz pierwszy spotkałem ludzi z innych krajów Europy Wschodniej, z niektórymi połączyła mnie przyjaźń. To byli Polacy, polscy Żydzi, którzy przeżyli Holokaust i jako tzw. dipisi, *displaced persons*, dotarli do USA. Oni obudzili moje zainteresowanie wschodnią częścią Europy, zwłaszcza Polską. Oczywiście, gdyby wtedy, w latach 60. XX wieku, ktoś powiedział mi, że już dekadę później będę jeździć wzdłuż i wszerz po Europie Wschodniej jako reporter zachodniej telewizji, albo że pod koniec mojej dziennikarskiej kariery będę pisać dla polskiej gazety, pewnie uznałbym go za szalonego.

Jak trafiłeś do telewizyjnego programu „Kontraste”? Co to był za program?

Pracę w redakcji „Kontraste” zaproponował mi ówczesny redaktor naczelny zachodniobermberskiej stacji telewizyjnej Sender Freies Berlin (SFB), należącej do pierwszego programu telewizji publicznej ARD. Chciał on, by magazyn „Kontraste”, utworzony w 1968 r., informował głównie o Europie Wschodniej, a więc o tym obszarze, który od 1945 r. dla Niemców z Zachodu pozostawał *terra incognita*. Była to więc, dziennikarsko, praca pionierska, na początku dość niełatwa, w apogeum „zimnej wojny”, gdyż władze za „żelazną kurtyną” patrzyły z wielką podejrzliwością na każdego dziennikarza z Zachodu.

Ale mieliśmy też ważną „akuszerkę” i sojuszniczkę: nową *Ostpolitik* kanclerza Brandta. Ona otwierała nam

wiele drzwi, zwłaszcza w Polsce, potem też w ZSRR. W Polsce stawialiśmy pierwsze kroki bardzo ostrożnie, świadomi tego, co Niemcy uczynili Polakom podczas wojny, świadomi faktu, że Polska była pierwszą ofiarą nazistowskich Niemiec. Dlatego, przyjeżdżając z kamerą do PRL na początku lat 70., podejmowaliśmy najpierw „miękkie” tematy, jak życie kulturalne, konkurs imienia Chopina czy Festiwal Winiawskiego. Szybko zauważyliśmy, że władze, od których musieliśmy uzyskiwać akceptację dla realizowanych tematów, pozwalały na trochę więcej niż w ZSRR czy NRD. Mogliśmy np. zrobić reportaż na tak drażliwy temat jak przestępczość młodzieżowa w socjalizmie. Nie mieliśmy też problemów, gdy robiliśmy materiał o kłopotach zaopatrzeniowych w PRL; w NRD czy ZSRR byłoby to nie do pomyślenia. Punktem kulminacyjnym naszej pracy w Polsce był oczywiście rok 1980 i Solidarność.

Jednak zainteresowanie Europą Wschodnią wśród ludzi na Zachodzie, także w RFN, było wówczas chyba raczej umiarkowane?

Mieliśmy „sojusznika”, na którym można było polegać: powracające cyklicznie kryzysy systemu komunistycznego. Gdy w styczniu 1968 r. po raz pierwszy trafiliśmy na antenę, zapowiadała się Praska Wiosna i próba zbudowania tam „socjalizmu z ludzką twarzą”, zakończona inwazją Układu Warszawskiego. Od połowy lat 70. tematem zaczęły stawać się coraz częściej ruchy protestu, np. w NRD znaczącym wydarzeniem było wydalenie barda Wolfa Biermanna w 1976 r. i jego skutki. Rok 1980, Solidarność i stan wojenny zwróciły uwagę zwłaszcza na Polskę. W latach 80. sporo uwagi poświęciliśmy też ruchom opozycyjnym w NRD, aż do upadku muru berlińskiego w 1989 r.

Większość mieszkańców NRD mogła oglądać zachodnią telewizję, w tym Wasz program, który stał się w NRD bardzo popularny. I znienawidzony przez władze. Dlaczego?

Dla ludzi z NRD staliśmy się ważni chyba po prostu dlatego, że mówiliśmy prawdę o ich życiu. Enerdowska telewizja opowiadała o świecie nieistniejącym, to była czysta propaganda. A do tego nuda. Mówiąc o strajkach w Polsce, enerdowska telewizja mówiła o „kontrewolucji” opłacanej przez Zachód. My mówiliśmy prawdę i dawaliśmy głos takim ludziom jak Lech Wałęsa czy zmarły niedawno Tadeusz Mazowiecki. Ale był też jeszcze jeden szczególnie powód, dla którego „Kontraste” stały się w latach 80. dla ludzi z NRD – jak wynikało z relacji z latu muru – programem, którego starano się nie przegapić: koncentrowaliśmy się na życiu →



GRAŻYNA MAKARA
ROBERT-HAVEMANN-GESellschaft/ARON RADOŃSKI

→ w Niemczech wschodnich. A dokładniej na tych problemach, które były kompletnie przemilczane w enerderskiej telewizji – jak zanieczyszczenie środowiska, łamanie praw człowieka i wiele, wiele innych.

W 1984 r. zostałeś szefem redakcji „Kontraste”. W następnych latach udało się Wam zbudować w NRD swego rodzaju siatkę ludzi, którzy dostarczali potajemnie nakręcone materiały filmowe. Jak to było możliwe?

Przede wszystkim dzięki ludziom. Po pierwsze, szefem SFB został Jürgen Engert, który podobnie jak ja spędził młodość w komunistycznych Niemczech i w latach 50. uciekł na Zachód. Po drugie – i przede wszystkim – do naszej redakcji trafiło dwóch młodych kolegów, którzy mieli pomysł, jak można trochę namieszać w NRD, dziennikarsko, przy pomocy metod zupełnie niezwykłych. Byli to Peter Wensierski i Roland Jahn. Wensierski przyszedł z Ewangelickiej Agencji Prasowej EPD, gdzie sporo pisał o NRD i już jako młody dziennikarz stał się znany dzięki swym książkom. Z kolei Jahn nie miał doświadczenia dziennikarskiego, ale miał inne doświadczenia: był liderem środowiska opozycyjnego w Jenie, siedział w enerderskim więzieniu i został wydalony z tamtego kraju na Zachód, zresztą wbrew swej woli. Obaj utworzyli niezwykle efektywny tandem. W redakcji „Kontraste” Wensierski był dziennikarską głową tego tandemu, a Jahn organizatorem.

Wcześniej wyglądało to tak, że jeśli chcieliśmy nakręcić w NRD jakiś materiał, musieliśmy się zgłosić do urzędów w Berlinie Wschodnim. Jeśli wydały one zgodę, ekipa mogła jechać i kręcić, ale cały czas pod kontrolą ludzi, którzy oficjalnie mieli pomagać, a z reguły byli współpracownikami tajnej policji Stasi. Nie mogły to być więc tematy niewrażliwe, a swoboda poruszania się była ograniczona. Za sprawą Wensierskiego i Jahna sytuacja zmieniła się radykalnie: stworzyli oni w NRD tajną siatkę ludzi o opozycyjnych poglądach, którzy mieli dość odwagi i fantazji, by wymykać się uwadze wszechobecnej Stasi i kręcić materiały filmowe, na koniec nawet całe reportaże. Dzięki pomocy kolejnych ludzi dobrej woli kasety wideo były szmuglowane przez granicę do Berlina Zachodniego, do naszej redakcji, gdzie na podstawie nagranych materiałów Wensierski i Jahn przygotowywali reportaże, emitowane potem na antenie.

Sposób, w jaki kasety docierały do Berlina Zachodniego, to osobna historia. Pierwszego przetrzutu podjęła się posłanka Zielonych do Bundestagu, Petra Kelly. Wensierski i Jahn dobrze ją znali i gdy miała pojechać oficjalnie do Berlina Wschodniego, poprosili ją o pomoc. Kelly miała spotkanie z Erichem Honeckerem, pierwszym sekretarzem partii komunistycznej, a potem odwiedziła też kilku dysydentów, którzy dali jej nagraną kasety. Przewiozła ją przez granicę. Później Wensierski i Jahn zbudowali cały system logistyczny, zapewniający dostawy ze Wschodu na Zachód; wtajemniczonych było w to niewiele osób. Dziś wiemy, że była to trafna taktyka.

Jakie były tematy tych potajemnych nagrań?

Zanieczyszczenie środowiska przez przemysł, degradacja wschodnioniemieckich miast, działania ruchów opozycyjnych, raz nawet enerderscy neonaziści. Nagrania dokonywano amatorską kamerą wideo, kupioną



Lipsk, 9 października 1989 r. – miesiąc przed upadkiem muru.
Na górze po lewej: Joachim Trenkner



Joachim Trenkner: Ludzie z zespołu „Kontraste”

nadal są czynni. Siegbert Schefke jest znanym kamerzystą w telewizji ARD, Peter Wensierski dziennikarzem tygodnika „Der Spiegel”, a Roland Jahn szefem „niemieckiego IPN”. Ja jestem korespondentem „Tygodnika Powszechnego”. Najwyraźniej wszyscy jesteśmy, jak to się mówi z niemiecka, „Überzeugungstäter”: to, co robimy, robimy z przekonania.

w NRD w sieci Intershop [odpowiednik peerelowskich Pewexów, gdzie towary można było kupić za zachodnią walutę – red.], za pieniądze z naszego budżetu.

A umożliwili to wszystko dwaj ludzie związani z opozycją: Siegbert Schefke i Aron Radomski. Obaj byli filmowcami amatorami, ale muszę powiedzieć, że z kamerą pracowali po mistrzowsku. Byli niezwykle odważni, gotowi na ryzyko, a przy tym pomysłowi – udawało im się wykiwać Stasi. To właśnie im należą się szczególne słowa uznania. Oni byli też cichymi bohaterami pokojowej rewolucji jesienią 1989 r.

Skoro o tym mówimy: właśnie październik 1989 r. stał się punktem kulminacyjnym nie tylko enerderskiej rewolucji, ale też Waszej pracy dziennikarskiej. Można bez przesady powiedzieć, że nakręcone przez Was wtedy obrazy tworzyły historię. Jak do tego doszło?

W sumie to proste: gdy tworzyła się historia, byliśmy na miejscu, gdzie to się działo. Na początku października 1989 r. Schefke nagrywał potajemnie wielkie demonstracje w Lipsku, nagrania szybko trafiały do nas i zaraz na antenę, nie tylko naszego programu, ale też najważniejszych audycji informacyjnych w Niemczech i Europie, a tą drogą także do mieszkańców NRD, którzy zobaczyli, co dzieje się w Lipsku, i sami zaczęli wychodzić na ulice w swoich miastach.

Czy wiadomo dziś coś więcej o działaniach Stasi wobec Waszej redakcji?

Oczywiście „Kontraste” były na celowniku Stasi, zwłaszcza odkąd zaczęliśmy puszczać materiały nagrane w NRD bez zezwolenia. Ale nie rozbili naszej siatki. Na ile dziś wiadomo, nie udało im się też infiltrować naszej redakcji, tj. nie mieliśmy wśród nas żadnego konfidenta. Na marginesie: ich operacja, której celem były „Kontraste”, nosiła kryptonim „Wodopój”.

Wieczorem 9 listopada 1989 r., gdy nagle upadł mur berliński, byłeś w Warszawie, w ekipie dziennikarzy towarzyszących kanclerzowi Kohlowi w jego podróży do Polski. Jak przeżywałeś ten moment?

No cóż, dla dziennikarza to oczywiście dramat: kiedy nie jesteś na miejscu w takim momencie, zwłaszcza że to miejsce to twoje własne miasto... Konsekwencją tego była bezsenna noc i ogromny rachunek za taksówkę. Po prostu wsiałem w Warszawie do taksówki i ruszyłem w drogę do Berlina. Ale przynajmniej miałem poczucie, że w Berlinie działa dobrze funkcjonująca redakcja, zwłaszcza Jahn i Wensierski, który zresztą – jako jedyny w naszej redakcji – dość wcześnie zaczął twierdzić, że mur musi upaść.

Dziś, prawie ćwierć wieku później, ludzie z naszego ówczesnego zespołu nadal są czynni. Siegbert Schefke jest znanym kamerzystą w telewizji ARD, Peter Wensierski dziennikarzem tygodnika „Der Spiegel” i autorem wielu materiałów, które trafiały na okładkę, a Roland Jahn szefem „niemieckiego IPN”. Zaś ja jestem korespondentem „Tygodnika Powszechnego”. Najwyraźniej wszyscy jesteśmy, jak to się mówi z niemiecka, *Überzeugungstäter*: to, co robimy, robimy z przekonania. ♦

ROZMAWIAŁ WOJCIECH PIĘCIAK

→ **JOACHIM TRENKNER** urodził się w 1935 r. w Turynii. W latach 60., po ucieczce z NRD na Zachód, wyjechał do USA, gdzie zaczął pracę dziennikarską jako reporter w tygodniku „Newsweek”. Po powrocie do RFN był dziennikarzem zachodniobrzeńskiej telewizji Sender Freies Berlin, w latach 90. zastępując redaktora naczelnego. Od 1997 r. stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym” jako berliński korespondent. W Polsce ukazały się jego dwie książki: „Naród z przeszłością. Eseje o Niemczech” (2004) i wspomnienia „Niemieckie lustro” (2011; zapis wywiadu rzeki przeprowadzonego przez Paulinę Gulińską-Jurgiel).

Mieszkańcy Berlina Zachodniego w pobliżu Potsdamer Platz obserwują żołnierzy straży granicznej z Berlina Wschodniego, wybijających przejście w murze. 11 listopada 1989 r.



/GERARD MALE / APP PHOTO / EAST NEWS

Wyzwanie wolności – Europa po roku 1989

Wydaje się, że przełom 1989 r. pozostał niedoceniony. Z punktu widzenia potrzeb współczesnej Europy niezbędna jest dzisiaj debata na temat znaczenia tamtej rewolucji dla Europy.

ROBERT KOSTRO,
TOMASZ WIŚCICKI

Wiemy z historii, że żadne imperium nie trwa wiecznie, jednak jeszcze w latach 80. nic nie wskazywało, że koniec sowieckiej dominacji jest tak blisko. Aż do lat 70. XX w. trwała stopniowa ekspansja bloku sowieckiego. Przełom lat 70. i 80. to dwa zupełnie różne, ale równie znaczące fakty. Z jednej strony, sowiecka interwencja w Afganistanie przekształcała się w niekończącą się, wyniszczającą wojnę. Z drugiej strony, pokojowy, antykomunistyczny bunt polskiego społeczeństwa, jakim była Solidarność lat 1980-81, nie dał się zdławić przez stan wojenny, a kryzys komunizmu w Polsce przeszedł w stan permanentny. Jednak w innych krajach bloku sowieckiego systemowi przeciwstawiały się jedynie niewielkie grupy szlachetnych ludzi, bez szans – wydawałoby się – na zmianę sytuacji.

Wybór demokracji

Jeśli nawet w latach 80. w środowiskach opozycji dyskutowano o ja-

kiej formie liberalizacji systemu, to przeważnie przyjmując za pewnik, że Związek Sowiecki lub Rosja będzie trwale dominować w naszej części Europy. Tego rodzaju przekonanie znajdziemy u Jacka Kuronia, Stefana Kisielewskiego, Aleksandra Halla i u wielu innych opozycyjnych działaczy oraz publicystów.

Okazało się jednak, że niezwykłą potęgą komunizmu rozsypała się błyskawicznie: od rozmów Okrągłego Stołu w Polsce i początków liberalizacji na Węgrzech wiosną 1989 r. do rozpadu ZSRS upłynęły niespełna trzy lata. Choć w rękach rządzących reżimów pozostawały ogromne, wydawałoby się, zasoby, to jednak w kolejnych krajach w decydującej chwili ich użycie okazywało się niemożliwe. Już pod koniec 1989 r. w większości krajów bloku sowieckiego komunizm przestał istnieć, a kolejne dwa lata zajął jego demontaż w samym ZSRS.

Gdy tylko narody naszej części Europy mogły zacząć decydować o sobie, wybrały demokrację. Niezależnie od tego, że jakość tej demokracji nie zawsze zadawała mieszkańcom tej części Europy, to jednak samego kierunku przemian nie kwestionowały żadne poważne siły. Nie było jednak jasności, w jaki sposób zostanie określony międzynarodowy ład na kontynencie. Pokojowy rozwój wydarzeń wcale nie był oczywisty. W byłej Jugosławii oraz Albanii wraz z rozpadem komunistycznych struktur – bardziej zresztą rodzimego chowu niż importowanych – nastąpiła seria wojen domowych, krwawych i okrutnych jak zawsze, gdy za broń chwytają przeciwko sobie sąsiedzi. Okazało się, że zadawnione konflikty komunizm tylko przytłumił.

Rok 1989 umożliwił także zjednoczenie Niemiec w 1990 r. Powojenny podział państwa niemieckiego był jedną z zasadniczych konsekwencji przegranej przez Niemcy wojny oraz powojennego podziału Europy na dwa

bloki. Ponowne powstanie potężnego, zjednoczonego państwa niemieckiego budziło niemałe obawy, szczególnie w Polsce i w Czechach, ale również w Wielkiej Brytanii i Francji.

Powrót do Europy... przyszłości

W kwietniu 1989 r. Václav Havel na spotkaniu z przedstawicielami Polski i Węgier zadał ważne pytanie, dotyczące przyszłości kontynentu. „Zadanie, przed którym stoją dziś Polacy, Węgrzy, Czesi i Słowacy, nazywamy roboczo »powrotem do Europy« (...). Jeśli więc chcemy »wrócić do Europy«, to musimy wrócić do całkiem innej niż ta, w której do niedawna żyliśmy. Czyli: myślenie o powrocie do Europy oznacza dla nas jednocześnie myślenie o całej Europie, o Europie przyszłości”.

Havel okazał się szczęśliwym prorokiem. W latach 90. państwa Europy Środkowej i Wschodniej, które odzyskały swoją suwerenność, nie pogrzyły się w sporach granicznych, konfliktach dotyczących mniejszości, nie przyjęły autorytarnych modeli władzy. Dość szybko zbudowały demokratyczny ład i konsekwentnie obrały kurs na integrację ze strukturami europejskimi i euroatlantyckimi. Zarówno Unia Europejska, jak i NATO oferowały atrakcyjny model, dowiodły swęj wartości w czasach zimnowojennej konfrontacji. Dlatego konsekwencją oczywistego wyboru demokracji przez wyzwalające się z opresji kraje Europy Środkowo-Wschodniej stał się także wybór przez nie drogi do struktur europejskich i atlantyckich. To z kolei – wraz z nowymi zjawiskami we współczesnej Europie i w świecie – wprowadziło UE i NATO na nowe, nieznane wcześniej drogi i postawiło je przed nieznanymi wcześniej problemami.

Rok 1989 oznaczał likwidację najbardziej bolesnych i długotrwałych konsekwencji II wojny światowej. Stał się równocześnie punktem wyjścia do uformowania się nowego modelu współpracy na terenie kontynentu europejskiego, którego najważniejszymi cechami są głęboka integracja ekonomiczna, swobodny przepływ ludzi i towarów, współpraca w dziedzinie bezpieczeństwa i spraw zagranicznych, a wreszcie powstanie wspólnej waluty.

Pomimo rozmaitych różnic interesów i konfliktów, które ujawniają się ze szczególną siłą w dobie kryzysu, współpraca w Europie stała się precedensowym przedsięwzięciem, zrealizowanym z ogromnymi sukcesami w postaci pokojowych relacji oraz zmniejszenia różnic rozwojowych pomiędzy krajami europejskimi.

Warto dziś zadać sobie pytanie, czy proces ponownego zjednoczenia się kontynentu i rozszerzenia struktur zachodnich był jednokierunkowy, czy też mamy dzisiaj do czynienia z nową jakością, w której narody Europy Środkowo-Wschodniej stały się równoprawnymi aktorami przemian kontynentu.

Niedoceniony rok 1989

Gdy patrzymy z dzisiejszej perspektywy, warto zadać sobie pytanie, czy proces ponownego zjednoczenia się kontynentu i rozszerzenia struktur zachodnich był jednokierunkowy, czy też mamy dzisiaj do czynienia z nową jakością, w której narody Europy Środkowo-Wschodniej stały się równoprawnymi aktorami przemian zachodzących na kontynencie. Jaki jest ich udział w przemianach i na ile proces ten przebiegał jednotorowo – od zachodniej do wschodniej części kontynentu, a na ile proces wymiany był obustronny?

Wydaje się, że z punktu widzenia potrzeb współczesnej Europy niezbędna jest debata na temat znaczenia rewolucji 1989 r. dla Europy. Warto zadać sobie pytanie, czy rok 1989 można uznać za moment fundacyjny współczesnej Europy i jakie miejsce powinien zająć ten historyczny moment w świadomości Europejczyków. Wydaje się, że pozostał on w jakiejś mierze niedoceniony. Dopiero napływ siły roboczej z nowych państw po 2004 r. sprawił, że obecność nowych państw w Europie została w szerszym wymiarze dostrzeżona.

Warto też zadać sobie pytanie, na ile Europa przyjęła i przetrwała intelektualnie doświadczenie 1989 r. i wcześniejszej konfrontacji z totalitaryzmem. Czy istnieje wspólna pamięć kontynentu albo choćby jej ślady? Można również postawić pytanie, czy doświadczenie Solidarności oraz ruchów opozycyjnych i obywatelskich Nowej Europy inspirowało rozwój aktywności obywatelskiej w Europie.

→ **ROBERT KOSTRO** jest historykiem, publicystą. Dyrektorem Muzeum Historii Polski. Działał w opozycyjnym Ruchu Młodej Polski. Pełnił m.in. funkcje dyrektora gabinetu politycznego ministra kultury, wicedyrektora Instytutu Adama Mickiewicza, doradcy Grupy Unii na rzecz Europy Narodów w Parlamencie Europejskim.

→ **TOMASZ WIŚCICKI** jest historykiem, publicystą. Współautor biografii ks. Jerzego Popiełuszki. Pracuje w Muzeum Historii Polski.

PIĘKNY ROK 1989

- 6 LUTEGO** rokowania Okrągłego Stołu – w Polsce
- LUTY** Sowieckie wojska opuszczają Afganistan.
- 4 CZERWCA** pierwsze wolne (w 35%) wybory – w Polsce
- 24 SIERPNI**a pierwszy niekomunistyczny premier – w Polsce
- 11 WRZEŚNIA** Węgrzy otwierają granicę z Austrią
- 9 LISTOPADA** koniec Berliner Mauer. Koniec podziału Niemiec
- 17 LISTOPADA** aksamitna rewolucja w Pradze
- GRUDZIEŃ** spokojna zmiana w Bułgarii i krwawa w Rumunii
- 29 GRUDZIEŃ** pierwszy niekomunistyczny prezydent – w Czechosłowacji

Plakaty z Václavem Havlem na ulicach Pragi. Aksamitna rewolucja w Czechosłowacji, jesień 1989 r.



PETER TURNLEY/CORBIS

Tak upadał komunizm

Gdy w połowie stycznia 1989 r. po raz kolejny aresztowano Václava Havla, trudno było przypuszczać, że już w grudniu ten sam człowiek zostanie wybrany na prezydenta – i to w znakomitej większości głosami przedstawicieli reżimu, który doprowadził do jego aresztowania. Wątpliwe, by wymyślił to nawet sam Havel, w końcu wybitny przedstawiciel teatru absurdu...

PAWEŁ UKIELSKI

Zaczęło się w Polsce. To hasło, lansowane u nas od kilku lat, dobrze oddaje nie tylko sytuację z 1989 r., ale również proces upadku komunizmu w jego dłuższej perspektywie. Wśród czynników prowadzących do Jesieni Narodów nie sposób wszakże pominąć roli Jana Pawła II oraz powstania wielomilionowego ruchu Solidarności. Nawet po społecznej traumie stanu wojennego oraz postępującej wraz z gospodarczą stagnacją apatii Polaków rola opozycji i Kościoła katolickiego była nieporównywalna z innymi krajami sowieckiego „imperium zewnętrznego”.

Z drugiej strony kryzys gospodarczy pod koniec lat 80. osiągnął tak katastrofalne rozmiary, że ekipa gen. Jaruzelskiego uznała za konieczne rozpoczęcie rozmów z opozycją.

W ten sposób w 1989 r. Polska mogła stać się naturalnym pionierem przemian – jako pierwsza rozpoczęła rokowania Okrągłego Stołu (6 lutego), to tutaj przeprowadzono pierwsze częściowo wolne wybory (4 czerwca), tu wreszcie wyłoniono pierwszego niekomunistycznego premiera w Układzie Warszawskim, którym został Tadeusz Mazowiecki (24 sierpnia).

Węgrzy łączą Niemców

Gdy premier Mazowiecki wygłaszał swoje exposé w Sejmie, przemiany były już zaawansowane na Węgrzech. Okres „gulaszowego komunizmu” Jánoša Kádára – względnie dobrobytu serwowanego obywatelom w zamian za bierną akceptację systemu – dobiegał końca wraz z życiem swojego leciwego protektora. W drugiej połowie lat 80. poczęła powstawać zorganizowana opozycja, która 13 czerwca 1989 r. doprowadziła do rozpoczęcia węgierskiego Okrągłego Stołu.

Trzy dni później w Budapeszcie odbyła się ceremonia ponownego pochówku Imrego Nagya – premiera Węgier w trakcie antykomunistycznego powstania w 1956 roku, straconego z woli Kádára dwa lata później.

Wielosettysięczna manifestacja oraz przemówienie młodego, charyzmatycznego polityka Viktora Orbána, w którym zażądał wycofania wojsk sowieckich z Węgier, stanowiły przełom. Wkrótce zakończone zostały obrady Okrągłego Stołu (choć w cieniu konfliktu między głównymi ugrupowaniami opozycyjnymi), partia komunistyczna przedzierzgnęła się w socjaldemokratyczną, a 25 listopada 1989 r. w ogólnonarodowym

referendum Węgrzy masowo poparli przemiany.

Wypadki na Węgrzech miały bezpośredni wpływ na sytuację w NRD, gdzie reżim Ericha Honeckera jeszcze w lutym 1989 r. zastrzelił próbującego sforsować mur berliński Chrisa Gueffroya. Rozluźnienie kontroli granicznej między Węgrami i Austrią spowodowało masowy napływ Niemców ze Wschodu, którzy mieli nadzieję na przedostanie się w ten sposób do RFN.

11 września Węgrzy podjęli kluczową decyzję – otworzyli granicę z Austrią, pozwalając dziesiątkom tysięcy uciekinierów z NRD zrealizować ich marzenia. Masowy odpływ ludzi, którzy musieli do kraju docelowego docierać okrężną drogą, spowodował nie tylko klęskę wizerunkową reżimu Honeckera, ale także wyjątkowo silny nacisk społeczny na otwarcie granic bezpośrednich między państwami niemieckimi.

Tak też się stało – w efekcie coraz bardziej masowych demonstracji, ale również nieco przez przypadek: wskutek pomyłki Güntera Schabowskiego oraz decyzji Hansa Jägera, oficera Stasi, 9 listopada 1989 r. granica wyznaczana przez mur berliński została otwarta. Upadek muru ze względu na swoją medialną atrakcyjność stał się symbolem całego upadku komunizmu.

Po upadku muru

Mimo nasilających się demonstracji mogło się wydawać, że system w Czechosłowacji – bardzo konserwatywny od czasu stłumienia Praskiej Wiosny przez wojska Układu Warszawskiego – może wytrwać jeszcze długo.

Wystarczyła jednak manifestacja zorganizowana przez studentów 17 listopada 1989 r., by wydarzenia wymknęły się rządzącym spod kontroli. Na skutek czystek w partii po Praskiej Wiośnie komuniści nie mieli w swoim gronie podobnego do Polski

czy Węgier „skrzydła reformatorskiego”, co spowodowało niezwykle szybką implozję systemu. Nieco ponad miesiąc po rozpoczęciu aksamitnej rewolucji, 29 grudnia 1989 r., przywódca opozycji Václav Havel został wybrany na prezydenta.

Jeszcze zanim rozpoczęły się przemiany nad Dunajem i Wełtawą, 10 listopada 1989 r. inny z „twardogłowych” przywódców, Todor Žiwkowi, utracił stanowisko sekretarza generalnego KC Bułgarskiej Partii Komunistycznej. Nie oznaczało to automatycznie upadku komunizmu w Bułgarii – jego miejsce zajął młodszy działacz komunistyczny Petyr Mladenow.

Dopiero 7 grudnia powstał Związek Sił Demokratycznych – pierwsza partia opozycyjna w Bułgarii, zaś w 1990 r. przeprowadzono rozmowy Okrągłego Stołu (podczas których przyjęto ordynację wyborczą), aresztowano Žiwkowię oraz przeprowadzono wolne wybory (10 i 17 czerwca). Te jednak wygrała partia postkomunistyczna, zdobywając ponad połowę głosów, co powoduje, że poszukiwanie symbolicznej daty upadku komunizmu w Bułgarii wciąż pozostaje zadaniem karkołomnym.

Podobnego problemu nie ma w przypadku Rumunii – znamy nie tylko datę, ale wręcz dokładną godzinę upadku komunizmu. 22 grudnia o godzinie 12.06 helikopter z Nicolae i Eleną Ceaușescu wystartował z dachu budynku KC partii i ten właśnie moment jest powszechnie uznawany za koniec komunizmu w Rumunii. Rewolucja rozpoczęła się tydzień wcześniej w Timișoarze, gdzie wierni stanęli w obronie pastora László Tökésa, którego władze chciały zmusić do opuszczenia parafii. Wkrótce okazało się, że sytuacja wymknęła się spod kontroli, a próba zwołania wiecu poparcia przez Ceaușescu zakończyła się dla niego katastrofą i koniecznością salwowania się ucieczką. Trzy dni później po farsie procesu został on wraz z żoną rozstrzelany. Rumunia była jedynym krajem zrzucającym okowy

komunizmu w 1989 r., w którym płynęła krew – rewolucja kosztowała życie niemal tysiąca osób.

Koniec dwubiegunowego świata

Rok 1989 był momentem przełomowym nie tylko dla Europy Środkowej i Wschodniej, ale również dla całego świata. Wrzask ostatecznym upadkiem komunizmu w europejskich krajach „demokracji ludowej” rozpadł się dwubiegunowy układ geopolityczny świata. Niektórzy badacze uważają wręcz (nie bez racji), że wraz z Jesienią Narodów możemy mówić o końcu wieku XX – stulecia totalitaryzmów.

Jesień Narodów niosła ze sobą wielką falę euforii i nadziei o skali ogólnoświatowej. Nie przypadkiem w 1989 r. Francis Fukuyama ogłosił jeden z najgłośniejszych esejów XX wieku, wieszcząc „koniec historii”. Amerykański politolog twierdził, że wraz z porażką ideologiczną komunizmu (a wcześniej faszyzmu) świat osiągnął „końcowy punkt ideologicznej ewolucji ludzkości i uniwersalizację zachodniej liberalnej demokracji jako ostatecznej formy rządu”. Już wkrótce miało się jednak okazać, jak bardzo się mylił.

➔ **PAWEŁ UKIELSKI** jest doktorem politologii, adiunktem w Instytucie Studiów Politycznych PAN, współautorem książki „1989 – Jesień Narodów”. Zastępca dyrektora Muzeum Powstania Warszawskiego ds. merytorycznych.



Za rządów Parka Chung-hee każda próba bardziej radykalnego upomnienia się o prawa pracownicze groziła oskarżeniem o komunistyczne sympatie, co prowadziło do izb przesłuchań Koreańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej, która bardziej przypominała KGB niż swoją amerykańską imienniczkę.



KIM CHON-KILU/AP/EAST NEWS

Stan wojenny po śmierci prezydenta Parka Chung-hee. Korea Południowa, Seul, 27 października 1979 r.

W cieniu modernizacji

Niewiele osób wie, jakie były kulisy koreańskiego cudu gospodarczego. Jeszcze mniej zdaje sobie sprawę, że w cieniu modernizacji trwały zmagania o liberalną demokrację w stylu zachodnim.

MICHAŁ KOPCZYŃSKI

Zakończona w 1953 r. wojny Korea Południowa wyszła ogromnie zniszczona. Odbudowa – pod rządami prezydenta Li Syng-mana (1948-53) – przebiegała powoli. Rozruchy studenckie w kwietniu 1960 r., które wybuchły w reakcji na sfałszowanie wyborów prezydenckich, położyły kres I Republice.

Nowy, wybrany przez parlament gabinet Czang Myunga już w maju 1961 r. obaliło wojsko pod wodzą gen. Parka Chung-hee – pod hasłem sanacji stosunków wewnętrznych, walki z korupcją, a przede wszystkim – modernizacji gospodarki.

Nowocześnie, ale jak?

Park (od 1963 r. prezydent) chciał wzmocnić państwo, by mogło stawić czoło uzbrojonej po zęby komunistycznej Korei Północnej. Już w 1961 r. doszło do porozumienia między rządem a biznesem. Władza wyznaczała cele, przydzielała preferencyjne kredyty (banki znacjonalizowano) i ulgi podatkowe. Państwo ingerowało tylko w niektóre gałęzie gospodarki, inne po-

zostawiając grze rynkowej. Sprzyjało to powstawaniu wielkich konglomeratów – tzw. czebolii.

Rynek wewnętrzny był zbyt mały, a ludność zbyt uboga, by modernizacja ograniczyła się do produkcji „antyimportowej”. Dochód na głowę mieszkańca w 1961 r. wynosił zaledwie 90 dolarów – podobnie jak w Nigerii. Jedynym wyjściem było otwarcie się – śladem Japonii – na rynek światowy.

Pozyskanie kapitału wymagało jednak ryzykownych decyzji. Jedną z nich było zaangażowanie w wojnę w Wietnamie. O ile antykomunistyczne społeczeństwo przyjęło to ze zrozumieniem, o tyle normalizację stosunków z byłym okupantem, Japonią, uznano za upokarzającą. Ale jedno i drugie przyniosło wymierne korzyści: pomoc amerykańska sięgnęła miliarda dolarów, kolejne pół miliarda pochodziło z Japonii.

W latach 1961-69 dochód na głowę mieszkańca rósł średnio o 11 proc. rocznie, w następnej dekadzie średnio o 22 proc. W latach 50. eksportowano głównie surowce, w latach 60. peruki i tekstylia, a w latach 80. i 90. – statki, elektronikę i samochody.

Ciemna strona modernizacji

Podporządkowane rządowi związki zawodowe można było łatwo zdelegalizować. Każda próba bardziej radykalnego upomnienia się o prawa pracownicze groziła oskarżeniem o komunistyczne sympatie, co prowadziło do izb przesłuchań Koreańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej, która bardziej przypominała KGB niż swoją amerykańską imienniczkę. Strajki – formalnie zakazane – były rzadkie i stanowiły wyraz desperacji.

Jeszcze dziś czas pracy w Korei należy do najdłuższych w świecie, ale w roku 1983 wynosił aż 56 godzin tygodniowo. W listopadzie 1970 r. krawiec i działacz związkowy Jeon Taeil dokonał samospalenia w Seulu, krzycząc: „nie jesteście maszynami”. Ofiara Taeila nie przyniosła natychmiastowego skutku, przełom lat 60.

i 70. był bowiem dla Korei krytyczny. Zbliżenie USA z Chinami i powtarzające się zbrojne prowokacje Korei Północnej budziły obawy o bezpieczeństwo państwa.

W 1971 r. Park wygrał wybory, ale przewaga nad konkurentem, Kim Dae-jungiem, była niewielka. W 1972 r. prezydent wprowadził stan wojenny i rozwiązał parlament, a następnie przygotował nową „Konstytucję Odnowy”, przewidującą nieograniczoną liczbę siedmioletnich kadencji prezydenckich, wybór głowy państwa przez zgromadzenie elektorów, prawo mianowania jednej trzeciej składu parlamentu przez głowę państwa oraz możliwość rządzenia za pomocą dekretów.

Chaeya, czyli opozycja

Powstała w ten sposób IV Republika nie cieszyła się sympatią, choć konstytucję poparło 91 proc. głosujących. Pogwałcenie zasad demokracji wywołało protesty opozycji pozaparlamentarnej, którą już w latach 60. tworzyli intelektualiści, duchowni niemal wszystkich wyznań i studenci.

W czerwcu 1964 r. w demonstracjach w Seulu na tle rokowań z Japonią wzięło udział przynajmniej 10 tys. studentów. Kolejnymi okazjami do protestów były poprawka do konstytucji z 1969 r., umożliwiająca Parkowi ubieganie się o trzecią kadencję, oraz „Konstytucja Odnowy”. Przed rokiem 1980 licznie przeżywały protesty *non violence*, a istotną w nich rolę odgrywały Kościoły. Później coraz częściej dochodziło do demonstracji ulicznych i starć z policją.

Władze odpowiadały aresztowaniami, bo dekret prezydenta z 1975 r. zezwalał na areszt bez nakazu sądowniego. Inwigilowano też aktywistów opozycji, pozbawiano ich pracy lub relegowano ze szkół, czasowo zamykano uczelnie. W 1975 r. w procesie 23 oskarżonych o próbę założenia komunistycznej Ludowej Partii Rewolucyjnej 8 z nich skazano na śmierć, wyroki wykonano, a ciała nie wydano rodzinom, zapewne dlatego, by nie wy-

szła na jaw tortury. Powołana w 2002 r. przez demokratyczny już rząd „komisja prawdy” dowiodła, że oskarżenia sfabrykowano.

Śmierć dyktatora i V Republika

Mimo represji, protesty miały coraz szerszy zasięg. W sierpniu 1979 r. opinię publiczną poruszyło brutalne rozbiecie przez policję protestu robotnic bankrutującej fabryki peruk. W październiku doszło do demonstracji w Masan i Pusan. Inicjatorami byli studenci, ale poparli ich mieszkańcy. Prezydent Park gotów był użyć siły, ale – w niewyjaśnionych w pełni okolicznościach – został zastrzelony przez szefa Koreańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej.

W grudniu 1979 r. zamach stanu wyniósł do władzy generała Chun Doo-hwana. „Seulska Wiosna”, jak określa się serię protestów przeciw nowej dyktaturze, osiągnęła apogeum w połowie maja 1980 r., gdy przed dworcem kolejowym protestowało 100 tys. studentów. Do konfrontacji nie doszło, studenci zdecydowali się przerwać protest. Wprowadzenie w maju stanu wojennego w Kwangu wywołało protest studentów, do którego dołączyli mieszkańcy. Brutalna akcja wojska z użyciem broni doprowadziła do eskalacji walk z demonstrantami uzbrojonymi w zabraną policji broń, co przerodziło się w regularne, trwające tydzień, oblężenie miasta. Zginęło ponad 150 osób, 20 uznano za zaginione. Dwa miesiące później Chun Doo-hwan wybrany został na prezydenta przez zgromadzenie elektorów i proklamował V Republikę.

Aresztowanie ponad 60 tys. osób i ich przymusowa „reedukacja” tylko na krótki czas zahamowały protesty. Począwszy od 1984 r., demonstracje znów się nasilały, a Chun złagodził represje, by nie zaszkodzić rozwojowi gospodarczemu, który osiągnął zawrotne tempo w związku z gwałtownym wzrostem koreańskiego eksportu.

Na początku 1987 r. przedłożono rządowi podpisaną przez 10 mln oby-

wateli petycję z żądaniem przywrócenia demokracji. W czerwcu doszło do demonstracji co najmniej 1,5 mln ludzi w 33 miastach. Demokratyzacji nie dało się już zatrzymać, tym bardziej że w wyborach parlamentarnych zwyciężyła opozycja. Ogłoszono amnestię dla więźniów politycznych, zniesiono cenzurę i 1673 ustawy ograniczające wolności obywatelskie, przywrócono autonomię akademicką, zniesiono ograniczenia swobody podróży. Korea gotowa była na otwarcie igrzysk olimpijskich w Seulu w 1988 r.

Sprawiedliwość i pamięć

Chun Doo-hwan jeszcze w 1988 r. stanął przed komisją parlamentarną badającą okoliczności masakry w Kwangu. Jego wina była niewątpliwa. Chun publicznie się ukorzył i na znak pokuty spędził dwa lata w klasztorze buddyjskim. Mimo to w 1995 r. wraz z Roh Tae-woo stanął przed sądem oskarżony o zamach stanu i krwawe represje oraz o korupcję. Wyrok śmierci dla Chuna złagodzony na dożywocie, a Roh Tae-woo skazano na 25 lat więzienia. W 1997 r. prezydent Kim Jung-sam na wniosek prezydenta elekta Kim Dae-junga – niegdyś skazanego przez reżim Chona na śmierć – obu amnestionował. Ale amnestia nie dotyczyła części wyroku mówiącej o zwrocie zagarniętych w efekcie korupcji – bagatela – po blisko 200 mln dolarów.

Inaczej potoczyła się historia pamięci po prezydencie Parku. Krytykowany za rządów Chuna, który chciał się w ten sposób odróżnić od poprzednika i byłego protektora, w początku lat 90. raczej dzielił Koreańczyków. Dopiero azjatycki kryzys z 1997 r. i ponad 6-procentowy spadek dochodu narodowego spowodowały wzrost sentymentu do ojca „cudu nad rzeką Han”. Dziś trzy czwarte Koreańczyków wskazuje Parka jako najwybitniejszego prezydenta Korei.

Obecna prezydent Korei, pani Park Geun-hye, jest córką Parka Chung-hee. Trudno orzec, czy społeczna pamięć o ojcu pomogła jej wygrać ubiegłoroczne wybory prezydenckie. ♦

→ MICHAŁ KOPCZYŃSKI jest historykiem, profesorem w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się historią gospodarczą. Pracuje także w Muzeum Historii Polski.



Kadry z filmów:
„Good Bye Lenin!” (po lewej)
oraz „Ucieczka z kina »Wolność«”
i „Kurka Riaba” (po prawej)



Żelazna kurtyna przed obiektywem

Przez ostatnie dwadzieścia cztery lata europejscy filmowcy niezbyt chętnie zajmowali się upadkiem komunizmu i przemianami demokratycznymi.

DOROTA SZKODZIŃSKA

Dwadzieścia cztery lata czekała polska publiczność, by móc obejrzeć przemiany demokratyczne 1989 r. w popularnym kinowym filmie. Jednak nawet w najnowszym obrazie Andrzeja Wajdy o Lechu Wałęsie obrady Okrągłego Stołu są przedstawione dość pobieżnie. Europa Środkowo-Wschodnia wciąż czeka na wysokobudżetową produkcję poświęconą wydarzeniom tamtego czasu.

– Gdy tylko upadł komunizm, dość powszechnie spodziewano się wysypu filmów dokumentujących przemiany – mówi profesor Andrzej Werner, krytyk filmowy. – Tęgo wysypu jednak nie było, bo transformacja odcisnęła swoje piętno na kinematografii. Publiczność odwróciła się od problemów, które wcześniej przyciągały jej uwagę. Z jednej strony gwałtowne zmiany kulturowe wpłynęły na zmianę upodobań publiczności, z drugiej zaś wolny rynek zmusił branżę do tworzenia filmów skrojonych pod gusta publiczności – tłumaczy Werner.

Na początku lat 90. tematem przemian jako jeden z nielicznych zajął się Wojciech Marczewski. W „Ucieczce z kina »Wolność«” pokazał upadek

moralny peerelowski cenzor, który nie może się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Ale inni twórcy nie poszli śladem Marczewskiego. Starszemu pokoleniu reżyserów trudno było w nowych, nieprzyjaznych warunkach nawiązać dialog z publicznością, a debiutanci nie mieli ochoty brać na warsztat historii najnowszej. Pustkę starali się wypełnić dokumentaliscy i to głównie oni zajmowali się przełomem 1989 r. W 1990 r. wybory do Sejmu kontraktowego pokazał w swoim filmie „Wybory 1989 – koniec komunizmu” Paweł Kędzierski, a Andrzej Fidyk w „Ostatkach” utrwalił ostatnie chwile PZPR.

Polska kinematografia nie wyróżniała się pod tym względem na tle innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Niewiele powstało filmów fabularnych na temat przemian i ich społecznych skutków, choć gdy już powstawały, okazywały się dziełami wybitnymi.

Wyjątki fabularne i dokumentalne

Na Węgrzech na przekór zachwytom nad możliwościami, które daje wolny rynek, poszedł István Szabó. Jego „Kochana Emmo, droga Böbe” to historia o dwóch nauczycielkach rosyjskiego, które po 1989 r. tracą uczniów i muszą dorabiać sprzątając – albo podrywając cudzoziemców.

Jeszcze dalej w krytyce nowych porządków poszła grupa reżyserów rosyjskich, którzy zajęli się bolesnymi dla zwykłych Rosjan pierwszymi latami demokracji. W 1994 r. Andriej Konczalowski w swojej „Kurce Riabie” pokazał, jak wyglądała pierestrojka i jej skutki z perspektywy byłych kolchozników, którzy nie potrafili odnaleźć się w nowych czasach. Wszeghogarniająca korupcja, chaos i szerzący się bandytyzm wzbudzają w nich nostalgię za komunizmem.

Jednak te dwa filmy to wyjątki. Również w Europie Środkowo-Wschodniej i w Rosji twórcy filmów fabularnych

oddawali pola dokumentalistom. Na początku lat 90. w Rumunii szerokim echem odbił się film „Za złotymi drzwiami. Prywatne życie Nicolae Ceaușescu”. Rumuni po raz pierwszy mieli okazję zobaczyć codzienność dyktatora, który spędzał czas na podróżach między pałacami i willami. Film oparty jest wyłącznie na materiałach nakręconych przez rumuńskie służby specjalne na prywatny użytek dyktatora i jego rodziny. Dokumentaliscy zajmowali się jednak nie tylko historią. W 1994 r. serbski reżyser Željimir Žilnik postanowił sprawdzić, jak jego rodacy zareagowaliby na powrót Josipa Broz-Tity. Sobowtór dyktatora, którego Žilnik wysłał na ulice Belgradu, nasłuchiwał się obelg od niejednego przechodnia, ale spotkał się również z wyrazami sympatii. Filmowcy z byłej Jugosławii nieraz powracali do tematu tęsknoty za komunizmem, zwłaszcza za marszałkiem Tito. W 1999 r. popularność zdobyła chorwacka komedia „Duch marszałka Tito”, w której grupa byłych podkomendnych przejmuje władzę w miasteczku i urządza życie według starych, jugosłowiańskich zasad.

W filmach o przemianach demokratycznych bałkańscy filmowcy często poruszali również wątek silnych tożsamości narodowych, których komunistom nigdy nie udało się zniszczyć i które w 1989 r. odżyły ze zdwojoną siłą. W 2006 r. konflikty etniczne, które wybuchły wraz z upadkiem komunizmu, w lekki sposób przedstawiła bułgarska dokumentalistka Adela Peeva. W jej filmie „Czyja to

piosenka?” Bułgarzy, Macedończycy, Bośniacy, Albańczycy i Serbowie śpiewają się o to, z którego kraju pochodzi znana w regionie melodia.

Czesi i Niemcy – na czele

Jak do tej pory jednak najbardziej popularne filmy o przemianach 1989 r. i ich głównych bohaterach powstały w Niemczech i w Czechach. – Czesi mieli o tyle lepszą sytuację od większości innych narodów Europy Środkowo-Wschodniej, że mogli się odwołać do czechosłowackiej nowej fali – mówi profesor Werner. – Był to nurt głęboko wrośnięty w czeską i słowacką kulturę, którego poetyka dobrze nadawała się do ilustrowania bieżących przemian. Zajęło się więc nimi kilku młodych czeskich twórców – dodaje. Jednak największym sukcesem czeskich filmowców okazały się nie filmy fabularne, ale dokument „Obywatel Havel”. Havel pozwolił filmowcom na to, na co rzadko pozwalają politycy jego kalibru. Reżyser Pavel Koutecký przez trzynaście lat towarzyszył czeskiemu opozycjonście i prezydentowi z kamerą. Udało mu się uchwycić, jak Havel prowadzi swój naród do wolności i demokracji.

W kategorii kinowych przebojów na temat przemian 1989 r. Czesi musieli ustąpić miejsca Niemcom i filmowi „Good Bye Lenin!”. Z zabawnych perypetii rodziny zatajającej przed schorowaną matką wiadomość o upadku

murów berlińskiego śmiali się widzowie na całym świecie. Reżyser Wolfgang Becker umiejętnie wykorzystał potencjał komizmu tkwiący w kontrastach między starymi a nowymi realiami. W Niemczech powstał również jeden z najciekawszych dokumentów o przełomie. „Lipsk jesienią” to film nakręcony przez dwunastu dokumentalistów z enerdownskiej wytwórni DEFA, którzy w październiku i listopadzie 1989 r. wyszli na ulice, by rejestrować nasilające się wówczas gwałtownie demonstracje. Materiał, który nagrali, wkrótce stał się jednym z najlepszych dokumentów o okresie bezpośrednio poprzedzającym upadek muru. Na temat samego upadku powstały dziesiątki filmów, ale tylko jeden z nich niemiecscy krytycy niemal jednogłośnie okrzyknęli arcydziełem: poetycki dokument „Mur” znanego malarza i reżysera Jürgena Böttchera.

Polskie dokumenty na temat transformacji ustrojowej nie zdobyły dotychczas uznania szerokiej publiczności. Wielokrotnie nagradzany „Królik po berlińsku” wciąż jest wyjątkiem, a filmy takie jak „Stół bez kantów” Piotra Bikonta czy „Solidarność. Jak zerwaliśmy żelazną kurtynę” Krystyny Mokrosińskiej pozostały obrazami niszowymi. Dlaczego 1989 rokiem tak niechętnie zajmują się twórcy filmów fabularnych? Czy przyczyną jest wciąż żywy spór o ocenę Okrągłego Stołu i transformacji? Niekoniecznie. – Kino jest sprzężone z innymi dziedzinami sztuki, szczególnie z literaturą – mówi profesor Werner. – Przez ostatnie lata twórcy odwracali się od problematyki historycznej i filmowcy po prostu wpasowali się w ten trend. Ostatnio powstaje jednak więcej filmów o czasach PRL, więc być może przyjdzie czas również na 1989 r. ◆

Polska kinematografia nie wyróżniała się na tle innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Niewiele powstało filmów fabularnych na temat przemian 1989 r., choć gdy już powstawały, okazywały się dziełami wybitnymi.

→ DOROTA SZKODZIŃSKA jest kulturoznawczynią, zajmuje się historią obyczajów, pracuje w Muzeum Historii Polski jako p.o. kierownika Działu Badawczego i koordynator programu Google Cultural Institute.



Strony internetowe
karta.org.pl
oraz wielojęzyczna
europeana1989.eu

Historia publiczna

Dzisiaj możemy odkrywać przeszłość, wykorzystując internet jako przestrzeń gromadzenia wiedzy i dyskusji o historii dziejącej się na marginesie wielkich wydarzeń, a więc pomijanej w podręcznikach i niezauważanej przez media.

MARCIN WILKOWSKI

Dla wielu polskich instytucji i organizacji pozarządowych umieszczanie w internecie swoich zbiorów to naturalne rozwinięcie misji. Tylko na stronach archiwum fotografii Ośrodka KARTA znajduje się 190 tys. zdjęć dokumentujących dwudziestowieczną historię Polski, w tym ponad 1,3 tys. dotyczących przełomu 1989 r.

Narodowe Archiwum Cyfrowe udostępnia 110 tys. fotografii, dodatkowo inicjując dyskusje na ich temat na Facebooku. Wśród ponad miliona obiektów dostępnych w wyszukiwarce polskiej Federacji Bibliotek Cyfrowych można znaleźć zdjęcia, plakaty, ulotki i dokumenty związane z politycznym przełomem końca lat 80. Muzeum Historii Polski upowszechnia wiedzę o roli Solidarności w upadku żelaznej kurtyny w ramach globalnej inicjatywy Google Cultural Institute.

Internet umożliwia też rozwój wielu inicjatyw, których treścią jest najnow-

szą historią Polski, a modelem działania wspólna i wolontariacka praca online. Jej efektem jest nie tylko dotarcie do zasobów prywatnych i lokalnych, które pozostają poza zasięgiem centralnych instytucji dziedzictwa. To także pewna forma historycznej emancypacji.

Archiwum dziełem wszystkich

W czerwcu 2013 r. w Poznaniu, Gdańsku i Warszawie odbyły się dwudniowe akcje, których celem było zebranie pamiętek dotyczących przełomu 1989 r. Organizatorom zależało głównie na dotarciu do zbiorów prywatnych, opisujących zmiany społeczne i życie codzienne.

Przynieszone zdjęcia, dokumenty i rzeczy codziennego użytku były na miejscu skanowane lub fotografowane, a następnie publikowane na stronie www.europeana1989.eu. W ten sposób starano się zainicjować ogólnopolskie, oddolne archiwum, opowiadające o rzeczywistości końca lat 80. w Polsce z nowej, niepolitycznej perspektywy.

W anglosaskiej literaturze uprawianie historii, gromadzenie źródeł i nauczanie o przeszłości poza murami lub na granicach instytucji naukowych czy profesjonalnych muzeów i archiwów określa się mianem historii publicznej (*public history*).

Jerome de Groot w książce „Consuming History: Historians and Heritage in Contemporary Popular Culture” podkreśla, że historia publiczna upodmiatawia tych, którzy do tej pory mogli być jedynie przedmiotem historycznego badania. Dziś społeczności lokalne własnymi siłami mogą odkrywać i interpretować własną przeszłość, wykorzystując internet jako przestrzeń gromadzenia wiedzy i dyskusji o historii, dziejącej się często na marginesie wielkich wydarzeń politycznych i militarnych, a więc pomijanej w podręcznikach i niezauważanej przez główne media.

W ramach prowadzonego przez Ośrodek KARTA programu Cyfrowe

Archiwa Tradycji Lokalnej (CATL) w całej Polsce przy bibliotekach gminnych w małych miejscowościach powstało ponad sto archiwów społecznych. W serwisie archiwa.org, zbierającym zdigitalizowane zbiory, znajduje się dziś blisko 14 tys. obiektów.

Chociaż archiwa te nie mogłyby funkcjonować bez internetu (udostępnianie to naturalna część ich misji), to gromadzenie dokumentów, zdjęć i relacji odbywa się poza siecią. Poprawne opisanie zbiorów wymaga rozmowy, czasem nawet dyskusji w szerszym gronie. Sama cyfryzacja i udostępnianie jest tu tylko jednym z elementów szerszego procesu, w którym historia lokalna i rodzinna staje się czymś wciąż aktualnym i ważnym.

Integracja zbiorów

Jednym z ważnych problemów związanych z udostępnianiem online zbiorów historycznych jest ich integracja. Oczywiście na podstawowym poziomie zapewniać ją może wyszukiwarka Google, indeksująca wszystkie zasoby, do których mają dostęp jej roboty, i wyświetlająca je w ramach jednego interfejsu.

To jednak za mało, dlatego w profesjonalnych projektach archiwistyki cyfrowej dużą wagę przykładają do bezpośredniej komunikacji między różnymi projektami na poziomie metadanych. Przykładowo, polskie biblioteki i archiwa zrzeszone w Federacji Bibliotek Cyfrowych za pomocą protokołu OAI-PMH (Open Archives Initiative – Protocol for Metadata Harvesting) eksportują swoje metadane do Europeana, co pozwala im wyświetlać zbiory w tym największym europejskim repozytorium, udostępniającym dziś ponad 29 mln obiektów z ponad 2,2 tys. instytucji.

Co jednak, kiedy zróżnicowanie form udostępniania zbiorów w sieci jest tak duże, że nie pozwala na łatwą techniczną integrację poszczególnych projektów? Rozwijany wspólnie przez Kancelarię Senatu i Kancelarię Prezydenta RP portal Archiwa Przełomu

1989-91 to właśnie próba „ręcznego” scalenia rozproszonych kolekcji oraz zapewnienia wsparcia w ich wykorzystywaniu.

W programie biorą aktualnie udział 53 instytucje, w tym regionalne archiwa państwowe, archiwa prowadzone przez organizacje pozarządowe oraz uczelnie. Dostęp do informacji o wszystkich zebranych kolekcjach jest możliwy dzięki interaktywnej mapie. Część zbiorów publikowana jest online. Podobne przedsięwzięcie realizuje także Ośrodek KARTA, ale wyłącznie w odniesieniu do archiwów społecznych i bez ograniczenia chronologicznego do lat 1989-91. Wyszukiwarka polskich archiwów społecznych wraz z informacją o ich zbiorach dostępna jest na stronie archiwa.org.

Nie tylko dostęp

Wiele dziś mówi się o cyfryzacji, wciąż za mało uwagi poświęcając działaniom zmierzającym do lepszego wykorzystania zbiorów historycznych także poza kręgiem naukowym.

Dobrym przykładem wzmocnienia ich edukacyjnego potencjału jest niemiecki projekt *Gedächtnis der Nation* (Pamięć Narodu), w którym publikowane są krótkie fragmenty wywiadów historii mówionej.

Portal jedynie agreguje filmy udostępniane bezpośrednio już na YouTube, co zwiększa ich zasięg i pozwala ograniczyć koszty. Za pomocą specjalnie przygotowanej osi czasu można przeglądać relacje opisujące wybrane epizody najnowszej historii Niemiec. Szczególnym elementem tej inicjatywy jest także podróżująca po kraju ciężarówka wyposażona w studio nagrań, gromadząca relacje od świadków historii miesz-

kających w kolejnych odwiedzanych miejscowościach.

Dostępność skanerów i rozwiązań umożliwiających publikowanie zbiorów historycznych w internecie pozwalają dziś w łatwy sposób zainicjować własny cyfrowy program archiwalny, oparty na zbiorach rodzinnych i lokalnych.

Szukając wsparcia w zakresie organizacji archiwum i gromadzenia zbiorów, skorzystać można z opublikowanego przez Ośrodek KARTA bezpłatnego podręcznika do archiwistyki społecznej, a rozwijane przez amerykańskie Centrum Historii i Nowych Mediów (Center for History and New Media) darmowe oprogramowanie Omeka to efektywne narzędzie do stworzenia profesjonalnego repozytorium. Przykładem wdrożenia Omeki jest zresztą interesujący projekt „Making the History of 1989. The Fall of Communism in Eastern Europe”. To dobra inspiracja przy konstruowaniu edukacyjnej strony o najnowszej historii. Materiały źródłowe są tam obudowane krótkimi analizami historycznymi, wywiadami ze świadkami historii i badaczami pochodzącymi z krajów Europy Środkowej i Wschodniej oraz gotowymi do wykorzystania scenariuszami lekcji.

→ MARCIN WILKOWSKI jest twórcą portalu Historia i Media (<http://historia-media.org>) poświęconego problemom historii oraz dziedzictwa w kulturze cyfrowej. Autor książki „Wprowadzenie do historii cyfrowej”. W Fundacji Nowoczesna Polska koordynuje prace Koalicji Otwartej Edukacji (KOED).



Na stulecie odzyskania niepodległości – Muzeum Historii Polski

Rozmowa z dyrektorem Robertem Kostrą

MAREK STREMECKI: W Polsce jest wiele muzeów historycznych. Powstają nowe, jak choćby Muzeum II Wojny Światowej. Potrzebne jest Muzeum Historii Polski?

ROBERT KOSTRĄ: Po siedmiu latach funkcjonowania Muzeum jestem coraz bardziej przekonany, że tak. Istnieje wiele muzeów i instytucji, które pokazują jakieś elementy historii, jednak nie ma jednego miejsca, w którym wyrwki wiedzy łączą się w całość. Gdzie można dzisiaj poznać nasze bogate tradycje parlamentarne? Gdzie poznać lepiej wspólną historię Polski i sąsiednich narodów, które kiedyś zamieszkiwały tę samą Rzeczpospolitą?

Polska nie ma tak wspaniałych kolekcji muzealnych jak Francja, Wielka Brytania czy Hiszpania. Jednak posiadamy fascynującą historię, która dotyczy nie tylko samej Polski, ale całej Europy Środkowo-Wschodniej, a w wielu momentach – jak bitwa pod Wiedniem i Bitwa Warszawska, II wojna światowa, działalność Jana Pawła II czy Solidarność – nasza historia stawała się ważną dla Europy i świata. Mamy długą i ciekawą historię parlamentaryzmu, fascynujący jest dorobek unii z Litwą i pokojowego współżycia narodów i wyznań w epoce nowożytnej.

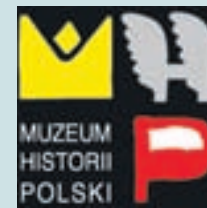
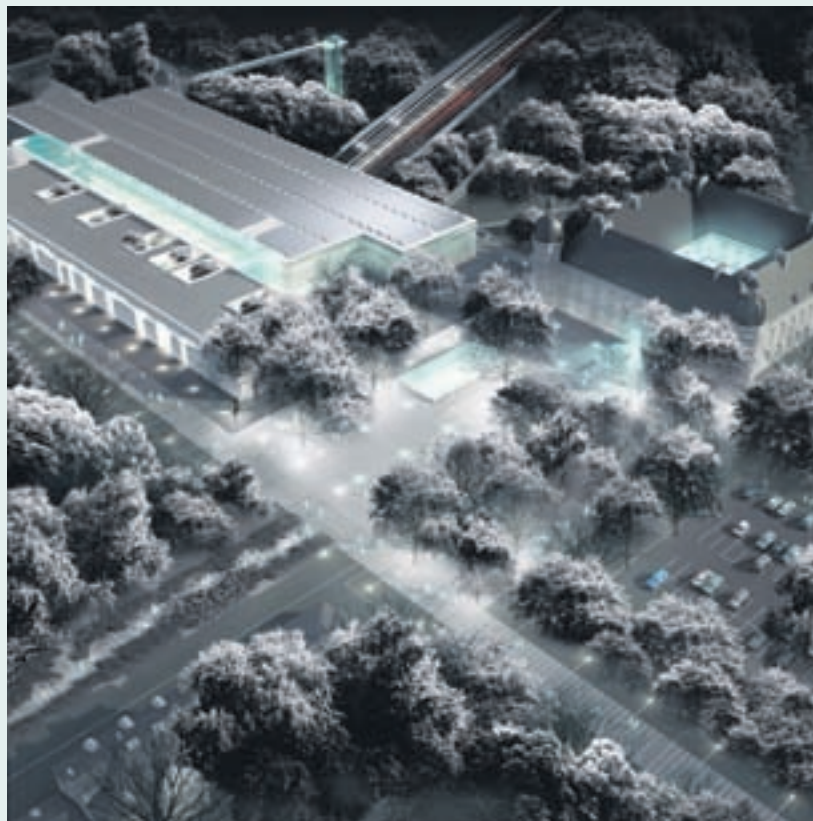
Muzeum wykorzysta najnowocześniejsze rozwiązania wystawiennicze. Zorganizowane przez nas w wynajętych miejscach wystawy pokazują, w którym kierunku idzie nasze myślenie o wystawiennictwie. I chyba nie idzie nam to najgorzej, skoro za zeszłoroczną wystawę na temat wielokulturowości i wieloreligijności w I RP otrzymaliśmy największe wyróżnienie muzealne – nagrodę Sybillę.

Dlaczego przez tyle lat nie udało się stworzyć miejsca, w którym prezentowane byłyby stałe ekspozycje?

Mówiąc nieco żartobliwie, powstał albo rok za późno, albo rok za wcześnie.

Gdyby Muzeum powstało kilka, kilkanaście miesięcy wcześniej, udałooby nam się skorzystać ze środków finansowych poprzedniej tzw. perspektywy unijnej albo uzyskać gwarancje finansowe zasobnego wówczas budżetu państwa. Gdyby Muzeum powstało rok później, stałoby się być może priorytetową inwestycją nowego rządu i miałoby silniejsze wsparcie. Nie chciałbym tutaj za bardzo narzekać, bo politycy różnych partii uczynili dla Muzeum wiele, ale też mam poczucie, że można było dokonać więcej.

W 2009 r. rozstrzygnięto międzynarodowy konkurs architektoniczny na gmach Muzeum, który stanie w Warszawie blisko Zamku Ujazdowskiego, nad Trasą Łazienkowską, według koncepcji Bohdana Paczowskiego. Mamy również za sobą rozstrzygnięty konkurs na plastyczny kształt wystawy stałej i opracowany scenariusz stworzony przez historyków i muzealników. Jednak w obecnej sytuacji budżetowej inwestycja, która ma być



Wizualizacja przyszłej siedziby Muzeum Historii Polski. Koncepcja architektoniczna Bohdana Paczowskiego

wizytówką Polski na stulecie niepodległości, musi uzyskać nie tylko życzliwość, ale również solidarne wsparcie rządu, prezydenta i całej klasy politycznej.

Jakie wyzwania wiążą się z budową obiektu? Skąd wziąć tak dużo pieniędzy?

Dotąd ministrowie kultury planowali sfinansowanie budowy ze środków europejskich. Jednak może się to okazać trudniejsze, niż dotąd sądziliśmy. Nowa perspektywa unijna jest znacznie mniej korzystna, jeśli chodzi o możliwość wykorzystania środków do tworzenia nowych placówek kultury. Uważam jednak, że Muzeum jest zbyt ważnym przedsięwzięciem, żeby stało się zakładnikiem zewnętrznego finansowania. Trzeba poważnie pomyśleć o opłaceniu jego budowy z budżetu.

Potrzebne są środki porównywalne do tych, które zainwestowane zostały przez państwo w kilka innych obiektów, jak choćby Muzeum Historii Żydów Polskich czy Muzeum II Wojny Światowej. Nie widzę powodu, dla

którego Muzeum Historii Polski miałyby być w tej sprawie gorzej potraktowane.

Muzeum Historii Polski myśli już o 2018 r. i o setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości...

Wybudowanie muzeum opowiadającego o historii polskiego państwa i narodu byłoby zwieńczeniem jubileuszowej rocznicy odzyskania niepodległości. Dlatego przede wszystkim chciałbym, żeby budynek był gotowy w 2018 r. Zbieramy wiele przychylnych opinii na ten temat. Popierają nas wybitni historycy, naukowcy, ludzie kultury, zwykli obywatele. Odwiedzają licznie nasze wystawy, biorą udział w muzealnych imprezach. Podczas tegorocznego Święta Niepodległości – mimo wielu innych atrakcji tego dnia w całej Warszawie – w grze przestrzennej organizowanej przez MHP wzięło udział ponad 5 tys. ludzi. To oni opowiadają się za tym Muzeum.

Rozmawiał Marek Stremecki

Muzeum Historii Polski

NAJWAŻNIEJSZE DATY

- 2 maja 2006 – powołanie Muzeum przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego.
- 11 listopada 2008 – otwarcie wystawy o II RP „Dwudziestolecie. Oblicza nowoczesności” w Zamku Królewskim w Warszawie. Wystawę zwiedziło około 55 tys. osób.
- 11 listopada 2009 – otwarcie wystawy „Wojenne rozstania” – poświęconej dramatycznym losom siedmiu rodzin podczas II wojny światowej. Wystawa czynna była w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie.
- 6 grudnia 2009 – rozstrzygnięcie międzynarodowego konkursu architektonicznego na projekt stałej siedziby Muzeum Historii Polski pod patronatem ministra kultury i dziedzictwa narodowego Bogdana Paczowskiego. Spośród ponad 300 prac z całego świata jury najwyższej oceniło pracę warszawiaka z urodzenia Bohdana Paczowskiego z luksemburskiej pracowni Paczowski et Fritsch Architects.
- 15 sierpnia 2010 – otwarcie wystawy w ramach 90. rocznicy Bitwy

Warszawskiej pt. „Osiemnasta... bitwa, która zmieniła losy świata”. Ekspozycja została pokazana w pawilonie tymczasowym przed Pałacem Kultury.

- 15 marca 2011 – powstanie Stowarzyszenia Przyjaciół Muzeum Historii Polski.
- 21 października 2011 – interaktywna wystawa „Droga do niepodległości. 1945–2004. Komunizm. Solidarność. Unia Europejska” prezentowana w Brukseli w ramach polskiej prezydencji w UE.
- 6 grudnia 2011 – rozstrzygnięcie konkursu na koncepcję plastyczno-przestrzenną wystawy stałej MHP. Zwyciężyli twórcy z zespołu WWA/Platige Image, m.in. Tomasz Bagiński, autor nominowanego do Oscara filmu animowanego „Katedra”, i Boris Kudlička, scenograf, współtwórca polskiego pawilonu Expo w Szanghaju.
- 2 maja 2012 – otwarcie wystawy „Pod wspólnym niebem” na temat I RP i jej bogactwa kulturowego prezentowanej w Zamku Królewskim w Warszawie.
- 10 października 2012 – Muzeum Historii Polski jako jedna z dwóch placówek w Polsce zostało zaproszone

do międzynarodowego programu Google Cultural Institute. W jego ramach MHP do tej pory zrealizowało e-wystawy: „Jan Karski. Bohater ludzkości”, „Solidarność i upadek żelaznej kurtyny”, „Rozdzieleni przez historię” i „Andrzej Bobkowski. Rider on the Storm”.

- 21 stycznia 2013 – inauguracja wystawy edukacyjnej „1863. Gra o niepodległość” w BUW, pozwalającej uczestnikom wykonywać atrakcyjne zadania przybliżające realia i wiedzę o ziemiach polskich epoki powstania styczniowego.
- 17 maja 2013 – nagroda „Sybilla 2012” ministra kultury i dziedzictwa narodowego za wystawę „Pod wspólnym niebem” za najlepszą ekspozycję historyczną w 2012 roku w Polsce.

MUZEUM HISTORII POLSKI W INTERNECIE

- ▶ www.muzhp.pl
- ▶ www.dzieje.pl
- ▶ www.wystawy.muzhp.pl
- ▶ www.edukacja.muzhp.pl
- ▶ www.polishhistory.pl
- ▶ www.jankarski.org



- 1** **Biuro festiwalowe – Kino Nowe Horyzonty**
ul. Kazimierza Wielkiego 19a–21, I piętro,
czynne w dniach 24–27 listopada 2013 r.
w godz. 10.00–21.00
- 2** **Debaty, spotkania, pokazy filmów**
– **Kino Nowe Horyzonty**
ul. Kazimierza Wielkiego 19a–21,
I piętro, sala kinowa nr 5
- 3** **Kawiarnia festiwalowa – Klub „Konspira”**
pl. Solny 11, czynna w dniach 24–27 listopada 2013 r.
w godz. 10.00–19.00
- 4** **Aula Instytutu Historycznego Uniwersytetu**
Wrocławskiego ■ ul. Szewska 49
- 5** **CaféTHEA** ■ Przejście Żelaznicze 4

ORGANIZATORZY:



WSPÓŁORGANIZATORZY:



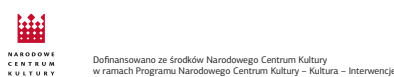
PARTNER STRATEGICZNY:



PARTNERZY:



DOFINANSOWANIE:



WIEK XX. ANAMNESES

II MIĘDZYNARODOWY
FESTIWAL HISTORYCZNY
WROCLAW 24–27.11.2013



'89
KORZENIE WOLNOŚCI

WWW.ANAMNESES.PL

24–27 listopada

WYSTAWY

- „Richard Demarco - obywatel Europy. Przez Żelazną Kurtynę ku nowej Europie” / **Kino Nowe Horyzonty/**
- „Jesień narodów” / **Kino Nowe Horyzonty/**
- „Paryska »Kultura«. Dom i ludzie” / **CaféTHEA/**

24 listopada (NIEDZIELA)

- 13.00–14.30 /Kino Nowe Horyzonty/**
„Przez żelazną kurtynę”
spotkanie z **Richardem Demarco**
moderator: **Zbigniew Makarewicz**
- 15.00–15.30 /Kino Nowe Horyzonty/**
Wernisaż wystawy „Richard Demarco - obywatel Europy. Przez Żelazną Kurtynę ku nowej Europie”
- 16.00–17.30 /Kino Nowe Horyzonty/**
„Rozmowy o wieku XX”
spotkanie z **Timothym Snyderem**
moderator: **Jacek Stawiski**
- 18.00–20.00 /Kino Nowe Horyzonty/**
Debata „Korzenie wolności”
Mikołaj Ivanov, Timothy Snyder, Andrzej Paczkowski, Jakub Tyszkiewicz
moderator: **Jacek Stawiski**
- 20.15 /Kino Nowe Horyzonty/**
„Media w służbie wolności”
Spotkanie z zespołem redakcyjnym programu „Kontrasty”
Siegbert Schefke, Joachim Trenkner, Peter Wensierski
moderator: **Marek Zajęc**

25 listopada (PONIEDZIAŁEK)

- 10.00–11.00 /Konspira/**
„Droga do Meikle Seggie – poszukiwanie duchowych korzeni współczesnej Europy”
spotkanie z **Richardem Demarco**
moderator: **Marek Mutor**
(tylko dla posiadaczy Złotej Karty Anamneses)
- 12.15–13.45 /aula IH UW/**
„Transformacja w Korei w latach 80.”
wykład **Ikjong Joo**
- 14.30–15.30 /CaféTHEA/**
Wernisaż wystawy „Paryska »Kultura«. Dom i ludzie” połączony z pokazami filmów
Przeгляд filmów o paryskiej „Kulturze”:
■ „Kultura paryska”, reż. Agnieszka Holland, Andrzej Wolski, 1985
■ „Redaktor”, reż. Ignacy Szczepański, 1994
■ „Ostatnia rozmowa”, reż. Ignacy Szczepański, 2004
■ „Dziś uznany za najwybitniejszego”, reż. Ignacy Szczepański, 2006
■ „Dom Kultury”, reż. Tomasz Łabędź, 2013
■ Film instruktażowy z Archiwum IPN dotyczący paryskiej „Kultury”, 1975
- 16.00–17.30 /Konspira/**
„Jak pisać o ludziach Solidarności?”
dyskusja panelowa
Krzysztof Grzelczyk, Małgorzata Wanke-Jakubowska, Maria Wanke-Jerie, Antoni Wójtowicz
moderator: **Katarzyna Kaczorowska**
- 18.00–20.00 /Kino Nowe Horyzonty/**
Debata „Wyzwanie wolności – Europa po 1989 r.”
Walter Hütter, Aleksander Smolar, Rimvydas Valatka
moderator: **Robert Kostro**
- 20.15 /Kino Nowe Horyzonty/**
Film „Komunizm – historia pewnego złudzenia. Upadek”, reż. Peter Glotz, Christian Weisenborn, 2006

26 listopada (WTOREK)

- 12.15–13.45 /Konspira/**
„Korzenie wolności”. Paryska »Kultura«
wobec zmian w Polsce w 1989 r.”
dyskusja panelowa
Marek Zieliński, Marek Kornat, Wojciech Sikora
moderator: **Małgorzata Ptasieńska**
- 18.00–20.00 /Kino Nowe Horyzonty/**
Debata „Nie ma wolności bez Solidarności”
Ryszard Bugaj, Władysław Frasyniuk, Basil Kerski, Dominika Kozłowska,
moderator: **Jan Skórzyński**
- 20.15 /Kino Nowe Horyzonty/**
„W 25. rocznicę debaty telewizyjnej Miodowicz-Wałęsa”
prezentacja dokumentalnego zapisu debaty i dyskusja panelowa
Jarosław Flis, Henryk Wujec
moderator: **Piotr Mucharski**

27 listopada (ŚRODA)

- 15.00–16.30 /Konspira/**
„Kuba wobec dekompozycji systemu komunistycznego w państwach Europy Środkowo-Wschodniej po 1989 r.”
wykład **Krzysztofa Siwka**
- 17.00–19.00 /Kino Nowe Horyzonty/**
Debata „Aż zobaczyli, ilu ich...”
Leszek Budrewicz, Ákos Engelmayer, Petr Pospíchal
moderatorzy: **Łukasz Kamiński, Michał Przeperski**
- 20.00 /Kino Nowe Horyzonty/**
„Inne spojrzenie”
spotkanie z **Kornelem Morawieckim**
moderator: **Rafał Bubnicki**

Aktualny program na:
WWW.ANAMNESES.PL



DANIEL MROZ/ FORUM



Walka klas w epoce konsumpcji

Idealem najchętniej akceptowanym dziś przez obywateli jest zrównoważony rozwój z poszanowaniem praw człowieka oraz – coraz wrażliwszego na jego „wybryki” – środowiska.

SŁAWOMIR MAGALA

Solidarność była ruchem społecznym, który – metodą prób i błędów oraz w ogniu walki politycznej ze słabnącym socjalizmem – wyłonił własny projekt polityczny. Projekt na tyle silny, by doceniła go światowa opinia publiczna oraz by Solidarność była w stanie przetrwać represje stanu wojennego. Elita komunistyczna PRL nie zdawała sobie w pełni sprawy z tego, że – częściowo kontrolowany – podział władzy, którego symbolem były obrady Okrągłego Stołu, był *de facto* jej kapitulacją.

Czy możliwe jest podjęcie przesłania Solidarności jako projektu politycznego dziś, w 2013 r.? Czy możliwe jest stworzenie nowego projektu politycznego, który nawiązywałby do tego z lat 1980-81?

Klasy nie na zawsze

Przesłanie Solidarności zostało częściowo podjęte i z powodzeniem wykorzystane w skali kontynentu. Wezwania z uchwalonego w 1981 r.

orędzia do robotników i obywateli Europy Wschodniej zrealizowano w ciągu 10 lat; sam ZSRR przetrwał tylko o sześć lat symboliczny rok 1984. Niektóre polskie partie polityczne odwołują się do dziedzictwa Solidarności – dotyczy to też dwóch największych: Platformy Obywatelskiej oraz Prawa i Sprawiedliwości.

Z solidarnościowej legitymizacji korzystają one np. dzięki korzeniom biograficznym swoich działań w pierwszej (1980-81) i drugiej (1982-89) Solidarności. Ale korzystają także dlatego, że obiecują stać po stronie tych, którzy z procesu przemian po upadku komunistycznej gospodarki nie wyszli obronną ręką (PiS), albo po stronie tych, którzy przemiany współtworzą i czerpią z nich korzyści (PO).

Czy da się jednak dostosować do współczesnego przesłania projekt polityczny Solidarności z lat 1980-81? Czy takie hasła byłyby zdolne zmobilizować masy i wyprowadzić je na ulice? Czy można dzisiaj zmobilizować ludzi do skutecznej akcji politycznej dzięki

solidarnemu usieciowieniu/„usiecionej” solidarności?

Jeśli pierwsza Solidarność była ruchem klasowym, to współczesny przekład jej ówczesnych postulatów zakłada umiejętność rozpoznania walczących przeciwko sobie klas. Wbrew pozorom nie jest to łatwe. Klasy nie są dane raz na zawsze, nie ma też trwałego kryterium typu „własność środków produkcji”, bo zarówno produkcja ideologicznych złudzeń w środkach masowego przekazu, jak i silne wojsko też bywają podstawami panowania klasowego.

Zawiódł też kapitalizm

Dlaczego trudno dziś precyzyjnie określić klasy, których walka przesądza o społecznym kształcie świata? Po pierwsze dlatego, że uwzględnienie istotnych determinant klasowości wymaga odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób rozciągnięcie dominacji zachodniego kapitalizmu na cały świat – potocznie określane mianem „globalizacji” – zmieniło skład klas społecznych, rekrutację do ich politycznych reprezentacji i przebieg lokalnych walk klasowych. Niekoniecznie szybko i niekoniecznie na korzyść klas niższych. Wykwalifikowany biały robotnik przemysłowy w USA niekoniecznie musi czuć klasową solidarność z meksykańskim emigrantem zatrudnionym w agrobiznesie, a polski robotnik – z zatrudnianym obok niego okresowym emigrantem z Ukrainy.

Po drugie, odpowiedź na to pytanie zależy od tego, jak rozumiemy zmianę krajowego kontekstu walk klasowych

po upadku socjalizmu. Dopóki system trwał, właśnie nomenklaturze dawał monopol na władzę polityczną, regulację poziomu konsumpcji oraz homogenizację ideologicznego przesłania mediów.

Tymczasem z punktu widzenia teorii walki klas jako źródła dynamiki przemian społecznych można dziś stwierdzić, że nie tylko komunistom nie udało się wyzwolić klasy robotniczej. Także demokratycznym władzom państw kapitalistycznych nie udało się zapewnić klasie robotniczej awansu do klasy średniej, która na przełomie XX i XXI w. znacznie się skurczyła i spauperyzowała.

Człowiek, istota społeczna

Spokojny sen przedstawicieli klas panujących bierze się przede wszystkim z przekonania (moim zdaniem nader wątpliwego i popularnego tylko dzięki ideologicznej modzie na neoliberalizm), że procesy indywidualizacji są nieodwracalne, a w konsekwencji wszelkie próby podejmowania działań zbiorowych skazane są na niepowodzenie w starciu z „systemem”. Innymi słowy: z mechanizmami, które powodują, że edukacja sentymentalna prowadzi nas do zdobywania dyplomów uczuciowej dojrzałości. Uczymy się, jak nabyć wprawę we wzbudzaniu i wyrażaniu uczuć, walczymy o tron biegłego władcy własnych autentycznych uczuć.

Udało się nas tak uspołecnić, byśmy wybierali na poważne stanowiska polityków, którzy otwarcie głoszą, iż spo-



DANIEL PACHFORUM

Ekolog Jerzy Czerny protestuje przeciwko rozjeżdżaniu żab. Droga szybkiego ruchu Warszawa – Gdańsk, 2003 r.

Na sąsiedniej stronie: Parada Równości w Warszawie, 15 czerwca 2013 r.

leczeństwo nie istnieje, za to jednostka oraz jej rodzina najbliższa – jak najbardziej. Udało się tak nas uspołecznic, by każdy regularnie udawał się na trening w roli konsumenta, a nie obywatela (tuż po ataku na World Trade Center w Nowym Jorku prezydent Bush wezwał obywateli, by nie wypadali z roli konsumentów). Obywatel głosuje raz na parę lat, konsument ćwiczy się codziennie. Jak zmienia to świadomość klasową, jak wpływa na walkę współczesnych klas? Jak tworzy się – mimo wszystko – świadomość klasowa jednostki oceniającej siebie i ocenianej przez innych na tle jej prywatnych, samodzielnych projektów życiowych, a nie na tle związków z innymi – na przykład związków opartych na solidarności?

Zastanówmy się nad tym, jak to możliwe, że ideologia rynku oparła nasze myślenie o świecie i o związkach z innymi. Odpowiedź na to pytanie jest częściowo zawarta w intensywności socjalizacji nas wszystkich jako konsumentów, przez co odruchy i nawyki konsumenta wypierają, marginalizują nasze nawyki i odruchy obywateli (wybory co parę lat, w oparach medialnej indoktrynacji) oraz milcząco sugerują, że wolność wyboru towarów i usług na rynku jest kwintesencją demokracji, że postępując zgodnie z regułami świadomego i aktywnego, samodzielnego wybierającego klienta – już wznosimy się na wyżyny obywatelskiej świadomości, już dostosowujemy się maksymalnie do korzystania z demokracji, która najlepiej przejawia się w centrum handlowym, a nie w parlamencie (dlatego centrów handlowych jest więcej niż sejmików i parlamentów).

Przetłumacz swoje dążenia

Jest jednak rzeczą oczywistą, gdy się spojrzy na koszty funkcjonowania go-

spodarki rynkowej, że jej rozwój zależy od możliwości zawłaszczania tego, co wartościowe (ale niekoniecznie policzalne), i przekształcania w bogactwo (wyrażane poprzez pieniądze, ale nader niedoskonale).

Twórcza jednostka, ufnie i solidarnie współpracująca z innymi, by wspólnie rozwiązywać problemy, jest wartościowa sama w sobie – ale bogactwo przedsiębiorstwa, firmy, korporacji, organizacji rynkowej w dobie tzw. „cognitive capitalism” (kapitalizmu opartego na wiedzy) zależy od umiejętności przekonania jednostki, że powinna widzieć w rynkowym spieniężeniu wyników swojej twórczej pracy najwyższe powołanie, przeznaczenie, wartość samą w sobie. Dlatego współczesna polityka personalna przedsiębiorstw (zarządzanie zasobami ludzkimi), zwłaszcza tych, które nazywa się „nasyconymi wiedzą” (*knowledge-intensive*), zmierzająca do takiej socjalizacji pracownika od rekrutacji po emeryturę, by ten sam chciał być idealnie wiernym tłumaczem swoich dążeń do realizacji wartości, by zwiększały one bogactwo organizacji, dla której pracuje. Procesy profesjonalizacji prowadzą u pracownika właśnie do takiej internalizacji (pisał o tym Casper Hoedemaekers, badając procesy doskonalenia wiedzy i motywacji pracowniczej w jednym z holenderskich ministerstw).

Polityka zarządzania zasobami ludzkimi dotyczy głównie średniej kadry pracowniczej – często określanej mianem „professionals” (zawodowcy), co w gruncie rzeczy oznacza ich zakwalifikowanie do klasy średniej między „ściśłym kierownictwem” (*top management*) a pracownikami-wykonawcami („operatives”).

Zauważmy, że twórczy zawodowiec – na przykład artysta albo wynalazca – niekoniecznie musi czerpać zadowolenie z entuzjastycznej reakcji otoczenia z liczb wyrażających zysk ze sprzedanych płyt, biletów albo licencji. Wartość docenianej twórczości jest pozarynkowa; rynkowa wycena jest wtórna i dla miejsca tej twórczości w naszej kulturze – drugorzędna.

Nowa Solidarność

Czy dzieje związku zawodowego Solidarność po upadku komunizmu dadzą się wyjaśnić dzięki strategii częściowej reprivatyzacji gospodarki – i nie tylko jej? W okresie neoliberalnej dominacji ideologicznej (od upadku muru berlińskiego w 1989 r. do kryzysu finansowego 2008 r.) prywatyzacja poczyniła duże postępy. Dotyczyła ona przede wszystkim prywatyzacji wiedzy, której produkcja daje się przełożyć na monopol, patent, własność intelektualną. Prywatyzacji przestrzeni – na przykład

miejskiej (wymownym jej wyrazem są zamknięte i strzeżone osiedla), ale też wiejskiej (np. krajobrazowo atrakcyjnej). Walka lokatorów poznańskich kamienic z właścicielami wynajmującymi gangsterów do „oczyszczenia” budynków, czyli wyrzucenia lokatorów, to tylko jeden z przykładów konfliktu klasowego o reprivatyzację przestrzeni miejskiej.

Ale także prywatyzacji przeżyć, a co za tym idzie – rozdrobnienia i zróżnicowania strategii emancypacji, naszego rozwoju mierzonego kryteriami humanistycznymi i awansu społeczno-kulturalnego. Oddzielnie dla homoseksualistów, oddzielnie dla młodzieży, oddzielnie dla muzułmanów, oddzielnie dla starszych obywateli (partie 55+). Masowe protesty przeciwko podpisaniu popieranym przez rządy państw narodowych oraz UE umów o ochronie własności intelektualnej (ACTA) są przykładem czujności klas niższych, którym chciano odebrać swobodny dostęp do wielkiej wirtualnej agory, a które zaczynają rozpoznawać potencjalnych sojuszników, potencjalnych solidarnych współaktywistów. Jak się ta nowa solidarność może przejawiać?

Solidarność oznacza, że solidarnie dzieli się wiedzą i ułatwia dostęp do przeżyć estetycznych; że przestrzenie miejskie i krajobrazowe chronię przed prywatyzacją; że ćwiczyć „dzień bez samochodu”, „dzień bez logo”, „dzień bez zakupów”. Solidarność oznacza, że krytycznie spoglądamy na takie ideologicznie zabarwione pojęcia jak „kapitał kulturalny”, „kapitał społeczny”, „kapitał intelektualny (*cognitive*)”, „kapitałizm kognitywny”, „społeczeństwo oparte na wiedzy” (krytykę pojęcia kapitału kulturalnego przeprowadzał np. Jacek Tittenbrun, w nieco mniej ideologicznie jawny sposób krytykę redukcjonizmu ekonomicznego prowadzą ekonomię tacy jak Zelizer albo McCloskey, wskazując na kulturalne tło decyzji ekonomicznych).

„Solidarność oznacza, że solidarnie dzieli się wiedzą i ułatwia dostęp do przeżyć estetycznych; że przestrzenie miejskie i krajobrazowe chronię przed prywatyzacją; że ćwiczyć „dzień bez samochodu”, „dzień bez logo”, „dzień bez zakupów”.

Zielony rozwój

Nie oznacza to, że walka klas we współczesnym, znacznie bardziej zróżnicowanym społeczeństwie, musi polegać na znajdowaniu wspólnego ideologicznego mianownika, wokół którego odnajdą się wszyscy, zarówno hetero-, jak i homoseksualiści, ludzie religijni i ateści, „lewica” solidaryzująca się z dolami społecznymi i „prawica” opowiadająca się za skupianiem wokół wartości i norm.

Oznacza jednak, że największe szanse na stworzenie platformy obywatelskiej dla stopniowego wyłonienia, współtworzenia programu skutecznej walki klasowej ma program, który może znaleźć się w zasięgu możliwych opcji dla dostatecznie szerokiej sieci koalicyjnie sprzymierzonych jednostek, grup i klas. W początkach drugiej dekady XXI w. szanse takie najwyraźniej ma program stopniowo wyłaniający się z wczesnych filozofii oraz ruchów ekologicznych, który można by nazwać programem zielonego, zrównoważonego rozwoju (*sustainable growth*). Potrafi on godzić i pomaga zawierać praktyczne, pożyteczne sojusze polityczne, ekonomiczne i kulturalne. Jeśli tysiąc lat temu wszystko istniało po to, by każda jednostka mogła zbawić swoją duszę nieśmiertelną, jeśli sto lat temu wszystko toczyło się w kierunku społeczeństwa bezklasowej równości wszystkich zbratanych ludzi, to dziś, w roku 2013, wszystko wskazuje na to, że ideałem najchętniej akceptowanym przez obywateli współczesnych złożonych społeczeństw jest zrównoważony rozwój z poszanowaniem praw człowieka oraz jego (naszego) coraz mniej naturalnego, ale coraz wrażliwszego na jego (nasze) wybryki – środowiska. Solidarność w sieci połączeń, ale i w sieci coraz ciśnień zaciskającej się nad naszym przyrodniczym otoczeniem. ♦

● Tekst stanowi fragment wykładu wygłoszonego w ramach Gdańskich Wykładów Solidarności w marcu 2013 r.

→ SŁAWOMIR MAGALA jest profesorem zarządzania międzykulturowego, pracuje w Rotterdam School of Management na Uniwersytecie Erazma w Rotterdamie. Zajmuje się m.in. kontrkulturą młodzieżową w Polsce i na świecie oraz problemami tożsamości w popkulturze.



TONY CLOUGH/SXCHU



„Uobywatelnienie i podmiotowość oznaczały wolę działania i aktywność społeczną – zaangażowanie w sprawy ogółu – jako dopełnienie dobrego życia, dorosłego życia, można by powiedzieć: w pełni moralnego życia.

Solidarność po latach

Gdzie się podziela podstawowa idea Solidarności?

IRENEUSZ KRZEMIŃSKI

Co się stało z ruchem społecznym Solidarność, z jego ideami i etosem w okresie wolnej Polski, po 1989 r.? Wprawdzie odwołania do ruchu „pierwszej Solidarności” były ważnym elementem rzeczywistości publicznej i politycznej, czy to w pierwszym, burzliwym okresie transformacji, czy też później, gdy powstała koalicja AWS-u, czy zwłaszcza wtedy, gdy pojawiły się programy obchodów kolejnych, coraz bardziej uroczystych rocznic ruchu i powstania Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Ale zarówno w naukowej, socjologicznej, politologicznej i historycznej refleksji, jak i w odczuciu codziennym doświadczenie „pierwszej Solidarności” traktuje się jako wydarzenie czy nawet proces, który jeśli nawet przyniósł niezwykle owoc w postaci odzyskania wolności przez obywateli i społeczeństwo, to zarazem niespodziewanie rozplynął się w nowej rzeczywistości. Tak jakby nie odrodził się na szerszą skalę w praktycznej formie zespół wartości, jakie niosł ze sobą i o których świadczył wyzwolicielski i reformatorski ruch Solidarność. Nie znajdziemy w polskiej literaturze także w miarę spójnej, jednorodnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się stało?

Wspólne sprawy

Co się stało z tymi wzorami zachowań społecznych i rozpowszechnionymi postawami, nade wszystko mającymi wymiar obywatelski, wspólnotowy i polityczny? Gdzie się podziela

podstawowa, jak można sądzić, idea Solidarności, że prawo człowieka do aktywnej troski o swój i swych najbliższych los zakłada zarazem prawo i obowiązek pamiętania o innych i o wspólnym losie, który ma przeciw wielki wpływ na osobiste sukcesy i niepowodzenia? Ze korzystając z pełni indywidualnych praw człowieka i obywatela, nie możemy nie czuć się częścią społeczeństwa, właśnie obywatelskiej wspólnoty, za której powodzenie każdy z nas jest choćby w małym, ale niepowtarzalnym ulamku współodpowiedzialny? Co się stało z ruchem aktywnych, rozwijających dziesiątki inicjatyw obywateli, gdy znikł nękający ich wróg, a efektami wspólnych działań można by się było cieszyć do woli i swobodnie z nich korzystać? Co się wreszcie stało z tym duchem nie tylko tolerancji, ale wzajemnej życzliwości i głębokiego, na co dzień poświadczanego przekonania, że każdy człowiek, każda jednostka ma prawo zabierać głos we wspólnych sprawach i w kwestiach, które ją bolą i dotykają, a każdy głos powinien być przez innych wysłuchany bez wrogości i wykluczania tych, którzy myślą inaczej niż doraźna większość?

Nic dziwnego, że trudno znaleźć odpowiedź na tak zasadnicze pytania, i dlatego też nie dziwi, że nawet wśród naukowców panuje pogląd, że ruch Solidarność był swego rodzaju „świętem” i „społecznym karnawalem”, czymś wyjątkowym i dlatego nie można zakładać, że mógłby być kontynuowany albo mógłby stworzyć jakąś trwałą formę, przydatną w „normalnym”, demokratycznym życiu społecznym. Paradoks polega przecież na tym, że ruch Solidarność był z całą pewnością niezwykle demokratycznym przedsięwzięciem, także jako rozwijająca się organizacja związkowa.

O tym mówił już tytuł mojej książki „Solidarność. Projekt polskiej demokracji”. Zawierał podstawową tezę, przy której do dziś pozostają: ruch społeczny i związek zawodowy Solidarność, który działał w 1980-81 r. i potem w podziemiu, stworzył i usiłował praktykować swoisty, oryginalny

model demokracji. Solidarność może być zatem do dziś modelem pewnego rodzaju projektu demokratycznego ładu: czy to ogólnospołecznego, czyli państwowego, jak i właściwego instytucjom, dużym organizacjom.

Z perspektywy czasu widać, że był to model w jakimś sensie utopijny, tak też opisywali go inni autorzy. Najbliższa jest mi interpretacja Bronisława Świderskiego, zawarta w pracy „Gdańsk i Ateny”. Wyrażał on w tej książce przekonanie, że ideały, wypracowane i poddane praktyce przez ruch solidarnościowy, przypominały zgola bezpośrednią demokrację ateńską. A chociaż nie zgadzałem się wówczas z niektórymi tezami autora na temat polskiej inteligencji i tradycji demokratycznej, to ujęcie Solidarności jako ruchu z gruntu demokratycznego – a zarazem fundamentalnie obywatelskiego – niezwykle mi się podobało. Podstawowa teza Świderskiego była zbliżona do mojej zasadniczej tezy, interpretującej ruch społeczny Solidarność: był on próbą uobywatelnienia ludzi, „zwykłych Polaków”, i włączenia troski o wspólny los w myślenie o codziennym, indywidualnym powodzeniu życiowym.

Udział w decyzjach o znaczeniu ogólnospołecznym, decyzjach, które albo bezpośrednio, albo poprzez swe skutki dotyczą w końcu nas wszystkich, był najgłębszą, ideową i – rzekłbym nawet – duchową częścią identyfikacji ze społecznym działaniem. Właśnie ten element tworzył, jak sądzę, jeden z podstawowych zrębów solidarnościowej mentalności, jeśli dodamy do tego „uobywatelnienie” narodu. Udział we wspólnym losie, prawo, ale też i swego rodzaju obowiązek uczestnictwa w debacie o kierunkach działania społecznego, czyli w polityce – budowany był na jeszcze jednym, niezbywalnym elemencie solidarnościowej tożsamości. Była nim godność osoby, godność jednostki, wyrażająca się też jako podmiotowość. Słowo to robiło zawrotną karierę w 1980 i 1981 r. i było na ustach zarówno ludzi wykształconych, jak i prostych. Stanowiło też niezwykle silną broń ideową: wszak oznaczało, że

nie może być mowy o dobrym ustroju, jeśli nie gwarantuje on podstawowych praw obywatelom i nie zapewnia im godności. A godność – podmiotowość – do prawa o decydowaniu o swym i swoich bliskich losie dodawała troskę każdego obywatela o wspólne życie i los wspólny.

Nie mógł więc być dobrym ustrojem taki, który ograniczał prawo jednostek do decydowania o ich własnym losie, a w dodatku – całkowicie pozbawiał ich prawa do wypowiedzania się na temat działania władz ówczesnego państwa, partii-państwa, dodajmy, używając moim zdaniem niezwykle trafnego określenia Jana Strzeleckiego. Stąd prawo do podmiotowości stawało się bronią przeciw panującemu łaadowi peerelowskiemu. Wiązało się to integralnie z owym „uobywatelnieniem narodu”: wszak obywatele zjednoczeni wokół wartości wolności i praw obywatelskich byli narodem. Od razu należy podkreślić: narodem – częścią Europy, częścią Zachodu, narodem przeciwstawionym Wschodowi. To przeciwstawienie, które warto przypomnieć, w zestaw narodowych wartości włączało właśnie szacunek dla wolności, w którym społeczna niepodległość łączyła się integralnie z osobistą wolnością, z prawami przysługującymi jednostce. Niepodległość narodowa, państwowa i niepodległość indywidualna – to była nierozdzielna „zbitka” ideowa.

Co się stało z obywatelskością?

Uobywatelnienie i podmiotowość oznaczały wolę działania i aktywność społeczną – zaangażowanie w sprawy ogółu – jako dopełnienie dobrego życia, dorosłego życia, można by powiedzieć: w pełni moralnego życia. Ten ideał pobrzmiewa do dziś w pamięci społecznej aktywistów „pierwszej Solidarności”, co pokazują badania, jakie od 2010 r. prowadzimy, obecnie jako Centrum Badania Solidarności i Ruchów Społecznych, we współpracy z Europejskim Centrum Solidarności.

Nasz zespół badawczy zakończył kolejną fazę empirycznych badań, które objęły kilka prowincjonalnych ośrodków działania ruchu społecznego Solidarność (Białystok, Gorzów Wielkopolski–Zielona Góra, Żyrardów, Łódź, Płock, Radom, Rzeszów, Legnica–Lubin–Polkowice, Bielsko-Biała). Wyniki dotychczasowych badań na temat znaczenia „pierwszej Solidarności”, wciąż potwierdzane w kolejnych miejscowościach i miastach kraju, stanowią dowód na słuszność tezy, którą wyżej wyraziłem. Ale zarazem wcale nie dają jednoznacznej odpowiedzi na pytania, które tak dramatycznie sformułowałem poprzednio.

Co się właściwie stało z ożywionym przez Solidarność, aktywnym także w ponurych latach 80., społeczeństwem obywatelskim? Co się z nim stało, gdy otworzyła się jakże szczęśliwa dla Polaków perspektywa reformy państwa i uzyskania w błyskawicznym i niespodziewanym procesie demokratycznej kontroli nad narodowym państwem? Co więcej: przykład Polski pociągnął za sobą jeszcze bardziej niespodziewany proces załamania się komunistycznego wladztwa ZSRR nad całą Europą Wschodnią i demokratyczną przebudowę całego terytorium tak zwanych „demokracji ludowych”. „Jesień Narodów Europy Wschodniej”, jak się to często nazywa, przyniosła w 1989 r. niezwykle spełnienie ideałów, które zdawały się być odległym celem ruchu społecznego Solidarność. Pytanie, które stało się najważniejsze, dotyczyło stanu społeczeństwa obywatelskiego i jego etosu utrwalającego się błyskawicznie w praktyce politycznej.

Po pierwsze, okazało się, że Polacy wcale nie tak masowo włączyli się w proces demokratyzacji państwa i również jego narodowego wyzwalania. Wyniki pierwszych, na polu tylko demokratycznych wyborów z 4 czerwca 1989 r., ale wyborów, które otworzyły drogę do pełnej wolności i niepodległości, były wielkim zwycięstwem Solidarności – jednakże wzięło w nich udział nie więcej niż 64 proc. uprawnionych do głosowania obywateli. Dla przykładu, choćby



MICHAŁ FLUBRA / DEMOTIV / CORBIS

w Bułgarii w analogicznych wyborach w roku 1990 wzięło udział 90 proc. obywateli...

Po drugie, powstanie pierwszego, niekomunistycznego rządu w Polsce Tadeusza Mazowieckiego wcale nie oznaczało wybuchu działań społecznych. Co prawda, jak pokazują badacze amerykańscy, Jan Kubik i Grzegorz Ekiert, w ciągu pierwszych lat transformacji Polacy organizowali się przede wszystkim w protestach; protestach, które wyrażały różne postulaty i stanowiły swego rodzaju debatę publiczną, czy też wypełniały lukę w prawdziwej debacie publicznej. Prawdziwa, obywatelska debata toczyła się na ulicach, w trakcie niekończących się manifestacji i demonstracji. Jeśli nawet zgodzić się z tezą Ekierta i Kubika, że to było swoiste forum konfrontacji poglądów, jakaś arena debaty społecznej, to trudno nie zauważyć, że jednak mniej efektywna i mniej precyzyjna i subtelna, niż gdyby ten proces na społeczną skalę odbywał się jako prawdziwa, rzetelna dyskusja, jako nieskrępowana, lecz i zarazem zdyscyplinowana wymiana poglądów. Jak to właśnie było w „pierwszej Solidarności”.

Nie bez kozery używam tego określenia, jak się okazało, bardzo trafnego wedle opinii aktywistów ruchu i działaczy związku biorących udział w badaniu. NSZZ „Solidarność”, odrodzony w 1989 r., od początku nie był już tym samym związkiem, jaki zniszczyła decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego. Ani nie odbudował swojego potencjału członkowskiego, ani tego niewyrażonego nigdy do końca potencjału ideowego. Włączony był

związek bardzo żywo w proces gwałtownych, zarazem na pewno kosztownych przemian ustrojowych, by dosyć szybko stać się aktorem politycznym, nabierającym coraz bardziej jednoznacznego charakteru ideowo-politycznego. W ostatnich latach NSZZ „Solidarność” stracił znaczną liczbę członków i stał się niezwykle wyraźnie politycznie określonym graczem na scenie polityki. Mogę powiedzieć, że nawet obecni działacze, acz wywodzący się z „pierwszej Solidarności”, wyrażali i w 2010, i 2011 r. bardzo krytyczne opinie na temat „nadmiernego upolitycznienia” związku – i to niezależnie od tego, że w większości ich sympatie polityczne były po stronie partii, której związek stał się niejako „polityczną przybudówką”.

Wbrew podziałom

Kiedy dziś badamy działaczy – a więc wciąż aktywnych członków NSZZ „Solidarność” – wyłania się z tych badań obraz organizacji, która jest nade wszystko aktorem politycznym o jasno zarysowanym profilu ideowym, mającym niewiele wspólnego z ruchem lat 80. Swego rodzaju symbolicznym tego wyrazem jest słynne hasło Prawa i Sprawiedliwości w zaskakujący sposób rozrywające zasadniczą treść przesłania Solidarności i przeciwstawiające „Polskę solidarną” – „Polsce liberalnej”. A przecież „Polska liberalna” to realizacja zasadniczego wątku przekonań ludzi tworzących ruch: demokracja, dająca prawa indywidualnego działania, zgodnego z przekonaniami i interesami obywateli, zapewniająca ochronę praw

człowieka, praw osoby. Władze i działacze obecnego związku Solidarność stanęli po stronie dzielącej przeszłość hasła i po stronie jednej partii, czyli PiS-u. W ostateczny sposób w procesie politycznej konkurencji upadła możliwość czerpania z przeszłości wspólnych wzorów. Solidarność z jej ideowym przesłaniem utraciła moc generowania wzorów postępowania dla ogółu Polaków.

Doświadczenie przeszłości jest jednak – o paradoksie! – niezwykle, a nawet zaskakująco żywe. W wielu lokalnych społecznościach, zwłaszcza w 2010 i 2011 r., znaleźliśmy grupy koleżeńskie, tworzone wciąż przez dawnych aktywistów Solidarności, którzy – może niezbyt często – ale jednak nadal spotykają się ze sobą. Traktują te spotkania jako swoisty rytuał, który świadczy o znaczeniu, jakie wspólnie przypisują doświadczeniu tamtej „pierwszej Solidarności”. Co prawda jedna z rozmówczyń z miejscowości z dawnego Regionu Gdańskiego powiedziała, że mają wspólne hasło: „gruba kreska”, które rzuca się wówczas, gdy dyskusja zaczyna niebezpiecznie dotykać bieżących spraw i obecnej Solidarności. Chodzi o to, by rozmowę zatrzymać: „gdyby ją kontynuowano – zakończyła swą wypowiedź nasza rozmówczyni – nigdy więcej byśmy się nie spotkali”...

Najnowsza fala badań terenowych w roku 2012 przyniosła niemal wszędzie już świadectwa przerwania tej solidarnościowej, koleżeńkiej więzi. W wielu miastach nie można było zgromadzić na wspólnej dyskusji osób, które kiedyś odegrały ważną rolę w ruchu Solidarności. Być może intensyfi-

kacja politycznego konfliktu w Polsce w minionym roku przyczyniła się do tego, iż spotkania, które miały przywołać pamięć dawnej wspólnoty, były już dla niektórych działaczy niemożliwe.

Mimo to nasze badanie przyniosło świadectwo żywej pamięci o tym, że przeżycia związane z działaniem w ruchu Solidarności były niezwykle. Wspomnienia te są z całą pewnością wspomnieniami lirycznymi. Jeśli nawet mniej lub bardziej dramatycznie przedstawiane są konsekwencje działania, jakie ludzie ponosili po wprowadzeniu stanu wojennego, to i tak okres powstania i legalnego działania NSZZ „Solidarność” uznawany jest przez niemal wszystkich za jedno z najważniejszych i najbardziej pozytywnych doświadczeń życiowych. Jest to doświadczenie – rzecz można – pełni życia, niosące niezwykle nagradzające przeżycie społecznej wspólnoty. Liryzm tego doświadczenia nade wszystko wynika z owego fundamentalnego przeżycia poczucia wspólnoty, jej przejawów na co dzień w życiu zarówno publicznym, jak i całkiem prywatnym, osobistym. Przeżycie wspólnoty z lat 1980-81 często przenosi się jeszcze na okres bezpośrednio po wprowadzeniu stanu wojennego, co manifestowało się chęcią pomocy innym, zwłaszcza tym, których represje dotknęły bardziej.

Wydawać by się mogło, że takie wspomnienia, które ożywały w socjologicznych wywiadach, mieniąc się niezwykle emocjonalnymi, pozytywnymi barwami, zawierają wciąż duży potencjał społeczny, potencjał kulturowy. Jednakże gwałtownie nasilający się kontrast między tamtym

budującym wspomnieniem a ostrością i agresywnością wyrażania się w stosunku do tych, którzy obecnie mają inne zdanie, a więc demonstrowana siła obecnych konfliktów – stawia pod znakiem zapytania potencjał tamtego lirycznego wspomnienia. Wszystko świadczy o tym, że jednostki, tak niezwykle przywiązane do dobra zawartego we wspomnieniu, wcale, albo w bardzo minimalnym stopniu, korzystają z niego na co dzień. Płynię stąd smutny wniosek: najpiękniejsze wydarzenia w życiu Polaków tak naprawdę istnieje tylko jako wspomnienie... Być może wspomnienie pokrzepiające, ale niemające większego wpływu na obecne życie. ◆

→ IRENEUSZ KRZEMIŃSKI

jest profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, kierownikiem Centrum Badań Solidarności i Ruchów Społecznych w Instytucie Socjologii UW, a także autorem i redaktorem wielu książek, w tym m.in.: „Solidarność. Doświadczenie i pamięć” (wraz z zespołem, 2010); „Czego nas uczy Radio Maryja? Socjologia treści i recepcji rozgłośni” (2009); „Naznaczeni. Mniejszości seksualne w Polsce – raport 2008” (2009); „Wolność, równość, odmiennność. Nowe ruchy społeczne na początku XXI wieku” (2006).

● Powyższy artykuł jest fragmentem ostatniej książki „Solidarność. niespełniony projekt polskiej demokracji”, która stanowi podsumowanie badań Krzemińskiego nad polskim ruchem społecznym Solidarność.



piątek 21.VII.89. Pohór domowy zaknublowany! Ale co z tego wyjdzie? Jeneu na miemy. Czekaśka? Nastrowność? Nudność?...

Jaka solidarność przyszłości?

**Tęsknimy za
poczuciem bliskości,
przynależności
i związanego z nimi
bezpieczeństwa,
a tęsknotom tym
towarzyszy niepewność
odnośnie do kształtu
naszej przyszłości.**

JACEK KOŁTAN

Słowo „solidarność” rozbłysło w najnowszej historii Europy ze szczególną siłą kilkakrotnie. W wieku XIX stało się słowem kluczem francuskich solidarystów, poszukujących nowej formy porządku społecznego i politycznego po wielkiej rewolucji. Pochwycone przez robotników na przełomie wieków XIX i XX dało wyraz potrzebie wyzwolenia klasowego. Po II wojnie światowej stało się zasadą budowania socjaldemokratycznego porządku społecznego i ekonomicznego. Na początku lat 80. w Polsce skupiło nadzieje ludzi na uwolnienie społeczeństwa spod autorytarnego reżimu. Polska Solidarność stanowiła nie tylko ruch związkowy czy ruch wyzwolenia narodowego, ale przede wszystkim ruch uwolnienia społeczeństwa, który pozwolił obywatelom odzyskać poczucie sprawstwa. Otworzył przed nimi możliwość dostrzeżenia siebie jako rzeczywistych aktorów, od których zależy nowa organizacja życia społecznego.

Deficyt solidarności

Sytuacja w Europie Środkowo-Wschodniej zmieniła się jednak radykalnie, a słowo „solidarność” utraciło swój blask w szybkim tem-

pie. W wyniku rewolucji roku 1989 kraje tej części kontynentu nie stały się polem eksperymentalnym ani dla nowych form życia gospodarczego, ani też formuły rządów demokracji przedstawicielskiej. Ich głównym zadaniem stała się pogonią za rozwojem gospodarczym i politycznym zachodnich sąsiadów. Polityka antypolityki, którą opozycjoniści środkowoeuropejscy wyznawali w latach 70. i 80., manifestując swój dystans do autorytarnego stylu uprawiania rządów, ustąpiła miejsca postpolityce, która zdefiniowała ramy życia codziennego nie tylko mieszkańców krajów obciążonych dziedzictwem komunizmu, ale też całej Europy.

Słowo „solidarność” dołączyło do słownika terminów nadużywanych w życiu politycznym i debatach publicznych. Obciążone zostało łatwym sentymentalizmem i postromantycznym wyobrażeniem o wspólnocie budowanej wokół powszechnego porozumienia. Poziom nadużycia tego terminu jest zresztą zadziwiający: do solidarności wzywają zarówno politycy, którym projekt wspólnoty europejskiej wymyka się z rąk, jak i globalni bankierzy, którzy doprowadzając do kolejnego załamania rynków, oczekują od rządów państw narodowych solidarnej pomocy. Nadużycie terminu nie jest jednak wynikiem ekspansji więzi solidarności, ile raczej wyrazem jej wyjątkowo silnie odczuwanego deficytu. Tęsknimy za poczuciem bliskości, przynależności i związanego z nimi bezpieczeństwa, a tęsknotom tym towarzyszy niepewność odnośnie do kształtu naszej przyszłości. Czego jest to znakiem?

Nie ma już społeczeństwa, jakie znaliśmy. Nasze wyobrażenia o społecznym świecie coraz bardziej oddalają się od rzeczywistości codziennego doświadczenia. Wciąż jednak posługujemy się dotychczasowymi pojęciami tak, jakbyśmy nie dostrzegali radykalnych kulturowych konsekwencji kryzysu, który nie sprowadza się wyłącznie do wymiaru ekonomicznego. Znaleźliśmy się w sytuacji postsocjalnej. Na tę radykalną zmianę wskazuje francuski socjolog

Alain Touraine, dowodząc, jak bardzo zdeintegrowane są poszczególne segmenty systemu społecznego. Nie oznacza to oczywiście – w prostym sensie – że społeczeństwo nie istnieje, lecz że działania tradycyjnych aktorów społecznych nie przekładają się na nowe formy wspólnotowego życia, które tworzyłyby większe całości. Żyjemy w świecie, w którym obywatele pozbawieni zostali wyrazistych tożsamości politycznych, a pierwsze próby odbudowy społecznego sprawstwa obserwujemy dziś na ulicach miast.

W sidłach kryzysu

Ostatnie dekady XX wieku pokazały, jak dalekiej redefinicji uległy formy życia społecznego i politycznego, oraz otworzyły nam oczy na posttradycyjne modele życia indywidualnego i wspólnotowego. To właśnie „stawanie się”, czyli wymiar autopojetyczny, pozostaje jednym z opisowych kluczy społeczeństwa refleksyjnej modernizacji, w sensie, w jakim scharakteryzowali ją Ulrich Beck, Anthony Giddens i Scott Lash. Druga dekada nowego tysiąclecia z konsekwencjami krachu ekonomicznego stała się jednakże nie tyle kolejnym etapem na drodze rozwoju refleksyjnej nowoczesności, ile coraz bardziej radykalnym z nią zerwaniem. Nie spełniły się obietnice twórczego samozniszczenia epoki przemysłowej połączone z indywidualizacją obywateli i wzrostem społecznego samokrytycyzmu. Wzrost obywatelskiej autonomii działania, które stanowić miało przeciwnie dla tradycyjnego świata

instytucji politycznych, nie przełożył się na narodziny nowych aktorów społecznych. Emancypacja od tradycyjnych form kulturowych – świadoma bądź bezwolna – nie doprowadziła do poczucia większej obywatelskiej samokontroli i samoświadomości. Wręcz przeciwnie – znaleźliśmy się w świecie, w którym każde słowo może być kontrolowane przez instytucje polityczne.

Globalny system ekonomiczny wyemancypował się ze świata społecznego, uzyskując całkowitą niemal autonomię i uzależniając od siebie instytucje oraz aktorów społecznych na niespotykaną dotąd skalę. W wyniku kryzysu instytucje te nie uległy reorganizacji, lecz destrukcji. Nawet jeśli stwierdzenie to wydaje się w pierwszym momencie nazbyt dramatyczne, trzeba przypomnieć, że kryzys albo bezpośrednio pozbawił instytucje i aktorów społecznych legitymizacji, albo też stał się katalizatorem utraty ich prawomocności.

Nowa ekspresja

Tym pesymistycznym uwagom przeciwstawić trzeba jednak doświadczenia uliczne ostatnich lat. Jesteśmy bowiem jednocześnie świadkami nowych ekspresji solidarności w postaci ruchów mobilizacji społecznej, które przedefiniowały uznawane dotąd za oczywiste ramy kultury politycznej. Wielka fala ruchów społecznych w Afryce Północnej, europejskie mobilizacje gniewu społecznego w postaci hiszpańskiego ruchu *indignados*, protestów

ulicznych w Grecji czy fali protestów przeciw ACTA pokazują wyraźnie, jak istotny stał się postulat moralny w solidarnościowych działaniach społecznych. Jedną z ostatnich jego odsłonek to ruch społecznego protestu Occupy Wall Street, który za pomocą sloganu „99% to my” manifestował poziom niesprawiedliwości społecznej i domagał się sprawiedliwej redystrybucji dóbr. Te nowe zjawiska kumulacji zbiorowego gniewu i jego (nierzadko radykalnej) ekspresji są przykładami buntu przeciw niemocy społeczeństw wobec realnego kształtowania życia politycznego. Fakt, iż fale oburzenia społecznego znikają w tym samym tempie, w jakim się rodzą, świadczy dobitnie o tym, że znajdujemy się wciąż w miejscu, z którego nie widać jeszcze kształtu przyszłości.

„Anonymous” to jedno ze słów skupiających uwagę opinii publicznej ostatnich lat. Skrywanie twarzy przez protestujących za pomocą masek uśmiechniętego Guya Fawkesa staje się symptomatycznym obrazem czasu przejścia, którego doświadczamy. Tłumy zebrane pod imieniem „Bezimienny” pokazują dobitnie, że słowo „solidarność” stało się pustym miejscem, które domaga się wypełnienia nowymi sensami.

→ JACEK KOŁTAN studiował filozofię i nauki polityczne na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie. Doktorat z filozofii społecznej obronił na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie. Obecnie kieruje Wydziałem Myśli Społecznej w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku. Zajmuje się współczesną teorią społeczną, hermeneutyką, antropologią, a także historią idei solidarności. Jest autorem książki poświęconej tożsamości społecznej podmiotu „Der Mitmensch” (2012).

● Tekst jest fragmentem książki „Solidarność i kryzys zaufania”, prezentującej eseje czołowych teoretyków społecznych poświęcone kryzysowi tradycyjnych form życia wspólnotowego.

„Słowo „solidarność” dołączyło do słownika terminów nadużywanych w życiu politycznym i debatach publicznych. Obciążone zostało łatwym sentymentalizmem i postromantycznym wyobrażeniem o wspólnocie budowanej wokół powszechnego porozumienia.

STUDIA Z DZIEJÓW OPOZYCJI
WOBEK KOMUNIZMU I DYKTATURY

Wolność | Solidarność

W NAJNOWSZYM NUMERZE



Timothy Garton Ash

Stulecie obywatelskiego nieposłuszeństwa

Bronisław Komorowski

Lata Solidarności

Rosja dysydentów

Ruch Obrony Praw Człowieka w ZSRR

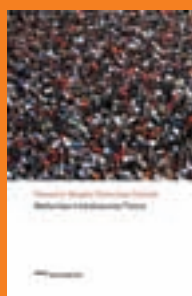
Seria **IDEA SOLIDARNOŚCI** prezentuje prace z zakresu socjologii, filozofii, nauk politycznych oraz historii idei, których głównym motywem jest fenomen solidarności. W jej ramach ukazują się zarówno nowe tytuły, jak i niepublikowane dotychczas w Polsce prace współczesnej humanistyki.



Jeffrey C. Goldfarb
*Odnowa kultury politycznej.
Siła kultury kontra kultura władzy*



Ireneusz Krzemiński
*Solidarność. Niespełniony projekt
polskiej demokracji*



Sławomir Magala
Walka klas w bezklasowej Polsce



Jadwiga Staniszkis
Samoograniczająca się rewolucja



Solidarność i kryzys zaufania
red. Jacek Kołtan



Alain Touraine i in.
*Solidarność. Analiza ruchu
społecznego 1980-1981*

W przygotowaniu:
Pierre Manent *Metamorfozy państwa*
David Ost *Solidarność i polityka antypolityki*

ECS

Europejskie
Centrum
Solidarności

www.ecs.gda.pl



Jan Walc (zm. 1993 r.),
tu jako drukarz NOWej, 1979 r.
Dziennikarz i publicysta, działacz KOR
i członek kierownictwa
Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWa.

Od lewej: Antoni Roszak, Zenon Pałka, Mirosław Chojecki,
Wojciech Onyszkiewicz, Konrad Bieliński
w konspiracyjnej drukarni NOWej,
prawdopodobnie Konstancin k. Warszawy, 1978 r.

Drugi obieg, czyli bibuła

Zjawisko drugiego obiegu wciąż nie zostało do końca poznane przez historyków, badaczy literatury czy prasoznawców. Z każdym rokiem dowiadujemy się o nim nowych, często zaskakujących rzeczy.

GRZEGORZ MAJCHRZAK

Bibuła w żargonie rewolucyjnym zowią każdy druk nielegalny, nieopatrzony sakramentalną formułą »*dozwoleno cenzuroju*« – pisał w „Robotniku”, organie prasowym Polskiej Partii Socjalistycznej, jego redaktor naczelny, Józef Piłsudski. W Polsce wydawanie druków poza oficjalnym obiegiem ma długą tradycję – wystarczy przypomnieć okres II wojny światowej z licznymi pismami podziemnymi czy wcześniejszy czas rozbiorów. Według ostatnich badań na ziemiach polskich pod okupacją niemiecką i sowiecką w latach 1939-45 wydano co najmniej 1075 książek i broszur w 1239 częściach (tomach, zeszytach). Nie można również zapominać o podziemnych czasopiśmie. Tylko pod okupacją sowiecką w latach 1939-41 ukazywało się co najmniej 40 tytułów.

Cenzurą w wolność słowa

Podczas gdy w II Rzeczypospolitej funkcjonowała cenzura represyjna (stosowano ją na podstawie wyroku niezawisłego sądu, po ukazaniu się publikacji), to w Polsce Ludowej stosowano cenzurę prewencyjną – czyli zanim tekst ujrzał światło dzienne. Nad obecnością „jedynie słusznych” treści w legalnie wychodzących wydawnictwach czuwał organ administracji państwowej, od 1945 r. funkcjonujący pod nazwą Centralnego Biura Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, od 1946 r. jako Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, a od 1981 r. – Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk. Wydawał on zezwolenie – tzw. debit – które było nieodzownym warunkiem dopuszczenia do druku. Dlatego wydawnictwa wychodzące bez owego debitu cenzury nazywane są bezdebitowymi lub – częściej – po prostu drugim (czyli poza oficjalnym) obiegiem. Z kolei dla władz była to wroga propaganda pisana lub po prostu publikacje antysocjalistyczne.

Cenzura miała szeroki zakres – obejmowała treści godzące w ustrój państwa, tajemnice państwowe, wyroczenia wobec prawa i dobrych obyczajów, wprowadzanie opinii publicznej w błąd.

W czasie stalinowskiego terroru

Po „wyzwoleniu” Polski w latach 1944-53 oprócz ulotek pojawiło się

kilkaset podziemnych gazetek, broszur i książek. Szczególnie Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość”, przechodzące od walki zbrojnej do akcji informacyjnych i propagandowych (głównie w celu podtrzymania społeczeństwa na duchu), wydawało prasę – przede wszystkim biuletyny informacyjne – na dość dobrym zresztą poziomie edytorskim i w potencjalnie dużym nakładzie, np. „Niezawisłość” w 1946 r. i „Wolność” w latach 1945-46.

Z kolei Konspiracyjne Wojsko Polskie wydawało pismo „W świetle prawdy”, a Narodowe Zjednoczenie Wojskowe m.in. „Walkę”. Przy czym działalność wydawnicza na szeroką skalę zanikła już po 1947 r. – m.in. z powodu utraty drukarni. Ogółem do końca 1949 r. ukazało się około 300 tytułów czasopism, a apogeum antykomunistycznej działalności wydawnicza osiągnęła w latach 1945-46. Zlikwidowanie zbrojnego podziemia położyło właściwie kres niezależnej prasie i wydawnictwom.

Przed rokiem 1976

Absolutnie nie oznaczało to, że niezależne wydawnictwa przestały się całkiem ukazywać.

Jednak w kolejnych latach próby wydawania druków drugoobiegowych były sporadyczne, np. w 1965 r. w Warszawie rozrzucono kilkadziesiąt pisanych odręcznie ulotek o treści: „Lenin to oszust i aferzysta”, „Rosjanie oddajcie nam braci, których więzicie na Syberii i Kamczatce” oraz „Radio Moskwa sieje frazesy, a Chińczyków się boi”.

Ożywienie w produkcji nielegalnych druków przyniósł rok 1968 –

studencki Marzec w kraju i agresja państw Układu Warszawskiego na Czechosłowację.

O skali odrodzenia drugiego obiegu świadczy to, że tylko do końca sierpnia 1968 r. Służba Bezpieczeństwa odnotowała 2147 ulotek przeciwko „bratniej pomocy” dla Czechów i Słowaków, z czego ponad połowę – 1277 – w Warszawie. Notabene to właśnie wtedy po raz pierwszy w roli powielacza wykorzystano wyżymaczkę popularnej w PRL pralki „Frania”.

Do 1976 r. drugi obieg nie przybrał dużych rozmiarów. Z pewnością najważniejszym zjawiskiem w tej dziedzinie były wydawane na powielaczu spirytusowym na przełomie lat 60. i 70. przez tajną organizację „Ruch” pisma „Biuletyn” (6 numerów) oraz „Informator” (kilka numerów). Sporadycznie pojawiały się również inne pisma, np. od stycznia 1973 r. (we Wrocławiu) „Organ Studia Kompozycji Emocjonalnej” czy od sierpnia 1975 r. (w Małopolsce) „Tu Polska”. Także Polskie Porozumienie Niepodległościowe od maja 1976 r. publikowało swe opracowania.

Warto też wspomnieć o pomysle Macieja Kozłowskiego powielania w Pradze, a następnie przerzucania do kraju „Biuletynu Nieocenzurowanego”.

Po Czerwcu '76

Drugi obieg zaczął się dynamicznie rozwijać dopiero wraz tworzeniem się opozycji demokratycznej w drugiej połowie lat 70. Niezwykle ważną rolę odegrały protesty robotnicze z Czerwca '76 – brutalnie spacyfikowane przez władze – co doprowadziło do powstania Komitetu Obrony Robotników. W kolejnych latach powstawały Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Wolne Związki Zawodowe, Ruch Młodej Polski, Konfederacja Polski Niepodległej i inne ugrupowania opozycyjne. One również prowadziły działalność wydawniczą.

W tym miejscu trzeba wspomnieć o wydawanych od września 1976 r. dwóch pismach KOR-owskich – „Biuletynie Informacyjnym” i „Komunikatach”.

Początkowo – do lutego 1977 r. – powielano je na maszynie do pisania, co z jednej strony było nawiązaniem do radzieckiego samizdatu, a z drugiej

wynikało z obawy przed represjami za nielegalny druk. Mniej więcej w tym samym czasie (październik 1977 r.) Nurt Niepodległościowy zaczął wydawać pismo „U progu”, kopiowane przy wykorzystaniu powielacza.

Warto też wspomnieć o inicjatywie studentów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, którzy dzięki sprostowanemu z zagranicy jeszcze przed Czerwcem '76 powielaczowi przystąpili do druku „Folwarku zwierzęcego” Orwella. Od 1977 r. środowisko to pod nazwą Nieocenzurowana Oficyna Wydawnicza wydawało niezależny kwartalnik literacki „Zapis”.

Co niezwykłe, w „Biuletynie Informacyjnym” i „Zapisie” zaczęto podawać nazwiska członków redakcji. Było to złamanie kolejnej bariery – anonimowości. Pozwalało na powiększenie kręgu współpracowników i odbiorców – potencjalni autorzy i czytelnicy po prostu wiedzieli, do kogo się zwracać. Podobnie podawanie w „Komunikacie” adresów i numerów telefonów członków KOR-u.

Kolejnym ważnym wydarzeniem było powstanie w 1977 r. pierwszego profesjonalnego wydawnictwa działającego poza zasięgiem cenzury, czyli Niezależnej Oficyny Wydawniczej (NOWa). Jej pierwszą pozycją sygnowaną charakterystycznym logotypem była wydana w sierpniu tego roku publikacja Jakuba Karpińskiego (pod pseudonimem Marek Tarniewski) „Pochodzenie systemu”.

Niezależny obieg wydawniczy najszybciej rozwijał się w większych miastach, zwłaszcza w Warszawie. Własną prasą dysponował również tworzący się niezależny ruch chłopski. Mimo znacznego rozwoju (do sierpnia 1980 r. działało już co najmniej 35 niezależnych wydawnictw) w drugiej połowie lat 70. drugi obieg nie miał dużego zasięgu społecznego. Z drugiej strony prasa niezależna, której liczba wzrosła z 9 w 1976 r. do 72 w 1979 r. i 490 w 1980 r., ukazywała się w 291 miejscowościach, przy czym w 123 z nich był to tylko jeden tytuł.

Bardzo ciekawe dane przynoszą statystyki Służby Bezpieczeństwa, z których wynika, że liczbę nielegalnych druków – czasopism, wydawnictw i ulotek – w okresie 1977-80 szacowano w poszczególnych latach na odpowiednio 25 tys., 139 tys., 156 tys. i 147 tys. Z czego udało się przejąć w kolejnych latach około: 60, 30, 33 i niespełna 39 proc.



W „solidarnościowym karnawale”

Ważnym elementem strajków z sierpnia 1980 r. było dotarcie z informacją zarówno do protestujących robotników, jak i osób z zewnątrz. W Stoczni Gdańskiej 16 sierpnia ukazał się w formie ulotki „Strajkowy Biuletyn Informacyjny”. Zawierał on komunikat o powstaniu Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego i jego zadaniach. Od 23 do 31 sierpnia ukazało się czternaście numerów „Strajkowego Biuletynu Informacyjnego »Solidarność«”. Był on kolportowany nie tylko na Wybrzeżu, ale też w innych regionach kraju. Z kolei w Szczecinie od 24 sierpnia wydawane było pismo szczecińskiego MKS „Jedność”.

Powstanie Solidarności poważnie naruszyło monopol informacyjny władz PRL. Musiały one (oczywiście pod naciskiem związku) wyrazić zgodę na wydawanie podlegających cenzurze pism – na czele z „Tygodnikiem Solidarność”, którego nakład wynosił 500 tys. egzemplarzy, a w czasie I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ nawet milion egzemplarzy. Ponadto w poszczególnych zakładach pracy wydawano „biuletyny wewnętrzne” niepodlegające nadzorowi cenzury. Pierwszych kilkaset (około 300) powstało jeszcze w roku 1980. Rok później wychodziło już co najmniej 1900 tytułów prasy niezależnej, a według innych (nowszych) danych nawet 3200.

W tym czasie ukazało się również wiele broszur, publikacji książkowych

– część z nich przy wykorzystaniu formuły „druk wewnątrzwiązkowy”. Między sierpniem 1980 r., a grudniem 1981 r. działało już około 160 wydawnictw, które bez pieczęci cenzorskiej wydały ponad 2500 pozycji.

Po 13 grudnia 1981 r.

Oczywiście wprowadzenie stanu wojennego w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. doprowadziło do znacznego zmniejszenia liczby wydawanych czasopism i druków niezależnych. Przyczyniło się do tego przede wszystkim zniszczenie i konfiskata sprzętu poligraficznego związku, internowanie drukarzy, redaktorów i wydawców. Jednak już w grudniu pojawiły się pierwsze tytuły prasy podziemnej, np. z „Dnia na Dzień” we Wrocławiu (od 14/15 grudnia) czy „Wiadomości Dnia” w Warszawie (od 15 grudnia). Oba były kontynuacją pism wydawanych w okre-

sie legalnego funkcjonowania związku. Takich przypadków było więcej – wśród 954 tytułów podziemnych, które ukazały się w 1982 r., było ich łącznie 83. Jak z tego widać, zdecydowaną większość stanowiły jednak tytuły nowe, np. wychodzące od lutego 1982 r. największe podziemne pismo „Tygodnik Mazowsze” o nakładzie 50–60 tys. egzemplarzy.

Część oficyn wydawniczych (np. NOWa) ponownie zeszała do podziemia. Powstawały też kolejne wydawnictwa podziemne (np. CDN czy Przedświt). Po 13 grudnia zaczęto tworzyć również podziemne oficyny wydawnicze, radio i telewizję. Całkowicie nowym zjawiskiem była działalność wydawnicza internowanych, polegająca m.in. na wydawaniu pisanych odręcznie lub przy wykorzystaniu prymitywnych technik powielaczowych gazetek czy własnej poczty. Zjawisko to nie zostało jeszcze opisane, a o jego skali świadczy fakt, iż w jednym tylko „ośrodku odosobnienia” w Białoleścu

ukazało się sześć lub siedem różnych tytułów. Pierwszy z nich, „AS”, wychodził już od 17 grudnia.

Po wprowadzeniu stanu wojennego w celu uniknięcia ewentualnych represji powrócono do konspiracji, anonimowości nie tylko (co oczywiste) drukarzy czy kolporterów, ale również redaktorów i autorów.

Apogeum podziemnej działalności wydawniczej to lata 1982 w przypadku czasopism (954 tytuły) i 1983 dla książek i broszur (682 pozycje). W kolejnych latach (do 1988 r.) tendencja była spadkowa, a następnie doszło do ponownego wyraźnego wzrostu niezależnej produkcji wydawniczej (np. w 1989 r. 1282 tytuły czasopism niezależnych). Przy czym trzeba pamiętać, iż pod koniec PRL można już chyba mówić wręcz o wydawnictwach półoficjalnych, kolportowanych w sposób jawny, a nie jak wcześniej ukryty.

Próba bilansu

W latach 1976-90 ukazało się według niepełnych danych 5840 tytułów czasopism drugoobiegowych. Zdecydowanie najwięcej z nich w stolicy. Innymi ważnymi ośrodkami były: Wrocław, Kraków czy Gdańsk. W tym samym czasie poza zasięgiem cenzury ukazało się ponad 6500 tytułów książek i broszur. Zdecydowanie najwięcej – 315 – wydała Niezależna Oficyna Wydawnicza. Inne wydawnictwa, m.in. Krąg, CDN czy Przedświt miały już zdecydowanie mniejszy dorobek – odpowiednio 134, 119 i 109 pozycji. Podobnie jak w przypadku czasopism, najwię-

szym ośrodkiem wydawniczym była Warszawa.

Najczęściej wydawanym w drugim obiegu autorem był Czesław Miłosz – 131 razy, oraz Leszek Kołakowski – 78, a najczęściej edytowanymi pozycjami: „Katyń”, autorstwa Ryszarda Zielińskiego (pod pseudonimami Jan Abramski i Ryszard Żywiecki) – 32 razy oraz „Wojna z narodem widziana od środka” Ryszarda Kuklińskiego – 26 razy. Z kolei najdłuższe serie wydawnicze to: Zeszyty Edukacji Narodowej – 68 pozycji oraz Biblioteka Kwartalnika Politycznego „Krytyka” – 40.

Oczywiście drugi obieg ewoluował – zmieniały się techniki powielania druków od pisania ręcznego, poprzez przepisywanie na maszynie (tzw. chiński powielacz), powielanie białkowe, sitodruk, aż po offset. W związku z doskonaleniem metod druku zwiększał się również nakład oraz liczba odbiorców – od wąskiego, elitarnego grona aż po odbiorcę wręcz masowego. Z czasem powiększał się też asortyment niezależnej „produkcji wydawniczej” – obok ulotek, czasopism i książek pojawiły się znaczki pocztowe, kalendarze, banknoty podziemne i inne druki. Nie zmieniało się jedno – znaczenie wolnego słowa kruszącego monopol informacyjny i propagandowy komunistycznych władz.

Nikt nigdy nie obliczył, ile osób zaangażowało się w działalność drugiego obiegu wydawniczego, ale spokojnie można szacować, że były to dziesiątki tysięcy osób. Do dziś niestety często zresztą anonimowych, zapomnianych, w żaden sposób nieuhonorowanych przez wolną Polskę...

Nikt nigdy nie obliczył, ile osób zaangażowało się w działalność drugiego obiegu wydawniczego, ale spokojnie można szacować, że były to dziesiątki tysięcy osób. Do dziś niestety często zresztą anonimowych, zapomnianych, w żaden sposób nieuhonorowanych przez wolną Polskę...



Stefan Niesiołowski (po lewej) dzień po wyjściu z więzienia. Towarzyszą mu Andrzej Czuma z żoną Urszulą i synem, wrzesień 1974 r.

Melchior Wańkowicz (po lewej), sygnatariusz „Listu 34” – protestu przeciwko polityce kulturalnej państwa, w 1964 r. został skazany za współpracę z Radiem Wolna Europa na trzy lata więzienia. Tu na Zjeździe Związku Literatów Polskich z Antonim Słonimskim, sygnatariuszem „Listu 34” i „Listu 11”, 1972 r.



Ruch przeciw władzy

Skazanie działaczy nielegalnej organizacji „Ruch” wywołało liczne protesty. Ich autorami byli ludzie z różnych środowisk (głównie pisarze), w tym także członkowie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

GRZEGORZ MAJCHRZAK

Ruch był nielegalną antykomunistyczną organizacją konspiracyjną powstałą w połowie lat 60. W okresie swej największej aktywności liczył około 100 członków i wydawał dwa czasopisma: „Biuletyn” i „Informator”.

W tekście programowym („Mijają lata...”) za swoje zasadnicze cele postawił sobie odzyskanie niepodległości i likwidację dyktatury komunistycznej. Najbardziej spektakularną akcją „Ruchu” było zrzucenie w sierpniu 1968 r. (po inwazji wojsk Układu Warszawskiego, w tym Ludowego Wojska Polskiego, na Czechosłowację) z Rysów ustawionej tam tablicy ku czci Włodzimierza Lenina.

Działacze organizacji aresztowano w 1970 r., po rozpoczęciu przez nich przygotowań do podpalenia Muzeum Lenina w Poroninie i wysadzenia w powietrze pomnika wodza rewolucji październikowej.

Na ławie oskarżonych zasiadło ponad 30 osób. Zarzucono im „próbę obalenia siłą ustroju i terroryzm”. Wyroki, które zapadły w październiku 1971 r., były bardzo surowe. Andrzej Czuma i Stefan Niesiołowski zostali

skazani na 7 lat więzienia, Benedykt Czuma na 6 lat, Marian Gołębiowski i Bolesław Stolarz na 4,5 roku, a Emil Morgiewicz na 4 lata.

„List 17”

Tak wysokie kary musiały wywołać sprzeciw. Najbardziej chyba znany był tzw. „List 17” z listopada 1972 r. skierowany do ministra sprawiedliwości Włodzimierza Berutowicza.

Jego sygnatariuszami było 17 przedstawicieli środowiska literackiego (Jerzy Andrzejewski, Igor Newerly, Kazimierz Brandys, Andrzej Braun, Wiktor Woroszyński, Tadeusz Konwicki, Marek Nowakowski, Agnieszka Osiecka, Andrzej Kijowski, Jacek Bocheński, Witold Dąbrowski, Jarosław M. Rymkiewicz, Władysław Terlecki, Zbigniew Herbert, Mieczysław Jastrun, Anna Kamińska i Jerzy Ficowski).

Pisali oni: „Osób oskarżonych w tym procesie nie znamy, a w szczególności nie są nam znane ich przekonania i rzeczywiste czyny. Niezależnie od tego wszakże poruszyły nami wyroki (do 7 lat więzienia), których surowość – jeżeli chodzi o sprawy polityczne – jest niespotykana w Polsce bodaj od roku 1954. Nie może też nie budzić najwyższego niepokoju fakt, że opinii publicznej nie jest wiadomym, za co właściwie została tak ukarana wymieniona grupa osób”.

Autorzy listu apelowali również do ministra „o spowodowanie rewizji wymienionego procesu oraz

o przeprowadzenie nowej rozprawy w warunkach demokratycznej jawności, a w szczególności w taki sposób, aby opinia publiczna została wiarygodnie poinformowana o konkretnej treści oskarżenia, o dokładnym przebiegu rozprawy, o tym, co zostało oskarżonym udowodnione, wreszcie o przesłankach wyroku, jaki wówczas zapadnie”.

„List 11”

W maju 1974 r. do Rady Państwa PRL trafił w tej samej sprawie kolejny list. Jego inicjatorami byli: Władysław Bartoszewski, Edward Lipiński, Jan Józef Lipski, Jan Olszewski i Antoni Słonimski.

Za namową mecenasa Olszewskiego uznano, że najlepszym rozwiązaniem będzie apel o ulaskawienie. Pod pismem podpisał się 11 osób. Warto je w tym miejscu wymienić, gdyż w licznych publikacjach podawane są na ten temat błędne informacje – sygnatariuszami listu byli: Bartoszewski, Karol Estreicher, Zbigniew Herbert, Jan Kielanowski, Tadeusz Konwicki, Lipiński, Maria Ossowska, Antoni Słonimski, Julian Strykowski, Jan Strzelecki i Stefan Żółkiewski. Nie sygnowali go natomiast aktywnie zaangażowani w jego powstanie Olszewski i Lipski, który zbierał również pod nim podpisy.

Jego autorzy zwracali się o wcześniejsze zwolnienie Czumów, Gołębiowskiego, Morgiewicza, Niesiołowskiego i Stolarza.

W liście z jednej strony wskazywali na surowość wyroków – „najwyższych po roku 1956” (czyli po okresie stalinowskim), z drugiej zaś na fakt, że działalność skazanych „przypadła na okres sprzed grudnia 1970 r. i stanowiła jeden z przejawów nastrojów nurtujących szerokie społeczeństwo, a wywołanych błędami polityki państwowej”. Stwierdzali przy tym, że darowanie im kary byłoby pożądane w związku ze zbliżającymi się obchodami 20-lecia PRL i „koniecznością zapewnienia im właściwej atmosfery”.

Reakcje władz

Władze PRL nie mogły pozostawić listów otwartych bez odzewu. Zareagowały jednak nie w sposób oczekiwany przez ich autorów.

Z częścią spośród sygnatariuszy „Listu 17” (Andrzejewski, Konwicki, Bocheński, Newerly, Jastrun i Brandys) rozmowę informacyjno-ostrzegawczą przeprowadził minister sprawiedliwości w towarzystwie prokuratora oskarżającego w procesie kierownictwa „Ruchu”. Rządzący nie ograniczyli się tylko do reakcji oficjalnych.

Sygnatariuszy listów rozpracowaniu poddawała (o ile wcześniej nie znajdowali się już na jej „celowniku”) Służba Bezpieczeństwa. Jej funkcjonariusze nie poprzestali wyłącznie na rozmowach ostrzegawczych, choć i takowe przeprowadzali. Esbecy śledzili każdy krok sygnatariuszy, starali się też utrudniać im życie poprzez tzw. działania nękające, np. pisarze, którzy stanowili większość sygnatariuszy listów, zostali objęci zakazem cenzorskim, odbierano im też możliwość wyjazdów zagranicznych.

Inne interwencje

W sprawie uwięzionych działaczy „Ruchu” interweniował również Kościół.

W styczniu 1974 r. prymas Polski Stefan Wyszyński oraz metropolita krakowski Karol Wojtyła poparli

prośbę Lubow Czumy do Rady Państwa o uwolnienie synów. Podkreślali oni, że działania skazanych wynikały z pobudek moralnych.

Do sprawy uwięzionych przywódców „Ruchu” wracał również kilkakrotnie Edward Lipiński podczas audyencji u I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Edwarda Gierka. U Gierka interweniował też prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej Alojzy Mazewski.

Pismo w sprawie zwolnienia braci Czumów do rządu PRL skierował także prezydent Międzynarodówki Socjalistycznej, Bruno Pittermann. To z kolei nie byłoby możliwe bez nagłosnienia sprawy przez media zachodnie, na czele z Radiem Wolna Europa i paryską „Kulturą”.

Trudno powiedzieć, na ile liczne interwencje u peerelowskich władz były skuteczne.

W każdym razie ostatni opozycjoniści (bracia Czumowie i Niesiołowski), w których sprawie interweniowano, zostali zwolnieni przedterminowo we wrześniu 1974 r. Wcześniej, na mocy lipcowej amnestii, wolność odzyskali ich koledzy. Zapewne nie bez wpływu na taki rozwój wypadków pozostawała zaplanowana na październik wizyta I sekretarza KC PZPR w Stanach Zjednoczonych i chęć uniknięcia w jej trakcie drażliwych pytań o aresztowanych, a nawet manifestacji w ich obronie ze strony amerykańskiej Polonii.

→ GRZEGORZ MAJCHRZAK jest historykiem w Biurze Edukacji Publicznej IPN, zajmuje się badaniem opozycji i oporu społecznego w PRL (zwłaszcza NSZZ „Solidarność”) oraz funkcjonowaniem aparatu represji i oporu (głównie Służby Bezpieczeństwa). Ostatnio opublikował (wraz z Janem Mariuszem Owińskim) „I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ »Solidarność«. Stenogramy”.

Najbardziej spektakularną akcją „Ruchu” było zrzucenie w sierpniu 1968 r. (po inwazji wojsk Układu Warszawskiego, w tym Ludowego Wojska Polskiego, na Czechosłowację) z najwyższego w Polsce szczytu – Rysów – ustawionej tam tablicy ku czci Włodzimierza Lenina.

Dystrubucja paczek żywnościowych z zagranicy w Szkole Sióstr Nazaretanek. Warszawa, marzec 1981 r.



WOJTEK LASKI/EAST NEWS X2



Niemiecka solidarność

W niedzielny poranek 13 grudnia 1981 r. Wolfganga Stocka, studenta I roku uniwersytetu w Würzburgu, budzi telefon. W słuchawce odzywa się znajomy głos Jörna Zieglera: – Musimy pomóc polskim przyjaciółom.

FILIP GAŃCZAK

Władze PRL wprowadziły właśnie stan wojenny. W kolejnych dniach zachodniemiecka telewizja mówiła coraz więcej o internowaniu działaczy Solidarności i pustych półkach w sklepach za Odrą. Nawet ci, którzy o Polsce wiedzieli niewiele, byli poruszeni.

Z tygodnia na tydzień rosła bezinteresowna pomoc humanitarna. Do Polski trafiały paczki i transporty z darami: cukier, margaryna, mleko w proszku, proszek do prania, leki, papierosy. Różne źródła mówią o kilku lub nawet trzydziestu milionach paczek. Dary, nazywane przez Polaków „zrzutami”, napływały w latach 80. także z innych krajów zachodniej Europy, USA, Kanady, a nawet Australii czy Japonii. Ale to właśnie pomoc z RFN była największa.

List od Wałęsy

W sierpniu 1980 r. władze PRL zgodziły się na rejestrację Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Opozycja triumfowała, co nie zmieniało faktu, że kraj znajdował się na krawędzi zapaści gospodarczej. Brakowało podstawowych produktów. Dramatyczna była na przykład sytuacja w szpitalach. Jednorazowe strzykawki i rękawiczki lekarskie z konieczności bywały używane wielokrotnie. Psuł się sprzęt do ratowania życia. Brakowało antybiotyków, a nawet żarówek w salach operacyjnych. Jeden z łódzkich pediatrów sprzedawał ponoć na czarnym rynku mleko w proszku, by w zamian kupić penicylinę.

Doktor Reinhard Gnauck był w tym czasie przewodniczącym Międzynarodowego Towarzystwa na rzecz Praw Człowieka (IGFM) we Frankfurcie nad Menem. Towarzystwo 3 października 1980 r. zorganizowało we

Frankfurcie pierwszą skromną demonstrację poparcia dla Solidarności. „Wzwaliliśmy niemieckie społeczeństwo, związki zawodowe i rząd federalny do słów i czynów solidarności z Polską – wspomina Gnauck. – Już 9 września 1981 r. dostaliśmy od Lecha Wałęsy pierwszy list z osobistym podziękowaniem”.

W akcję pomocy dla Polski włączyły się Niemiecki Czerwony Krzyż, organizacje kościelne, miasta, gminy, stowarzyszenia, związki zawodowe i osoby prywatne. Gunda Barg, gospodyni domowa z Hamburga, zatrudniła się jako sprzątaczką, by za zarobione pieniądze wysyłać co miesiąc przynajmniej dwie paczki do Polski. Na pomoc dla mieszkańców PRL zrzucili się nawet więźniowie zakładu karnego w Lubece.

Pospolite ruszenie

Gdy w grudniu 1981 r. ekipa generała Jaruzelskiego wprowadziła stan wojenny, Stany Zjednoczone odpo-

wiedziały sankcjami gospodarczymi. Rząd RFN zareagował dużo łagodniej. Kanclerz Helmut Schmidt podczas spotkania z przywódcą NRD Erichem Honeckerem wyraził ponoc zrozumienie dla decyzji Jaruzelskiego. Co prawda kilka dni później oświadczył w Bundestagu: „całym sercem stoję po stronie robotników”, ale o sankcjach wobec PRL nie było mowy. Schmidt zakładał, że w interesie polityki odprężenia nie należy drażnić polskich władz ani przywódców ZSRR i NRD. Rząd w Bonn *de facto* uznał stan wojenny za wewnętrzną sprawę Polski. Schmidt zaapelował za to do swoich rodaków, by nie ustalali w materialnej pomocy dla Polaków.

Bundestag 8 lutego 1982 r. zwołał z opłaty pocztowej wszystkie paczki z pomocą dla Polski. Od tego momentu liczba paczek słanych do PRL rosła lawinowo. Przechodziły przez urząd pocztowy nr 2 w Hanowerze. Wkrótce trzeba było uruchomić tam nową halę wysyłkową i zatrudnić dodatkowych pracowników. Codziennie

do urzędu trafiało bowiem nawet kilkadziesiąt tysięcy paczek dla Polaków. Po zwolnieniu z opłat łącznie było ich ok. 8,5 mln o wartości sięgającej ok. 430 mln marek. Tygodnik „Der Spiegel” pisał o „prawdziwym pospolitym ruszeniu”.

Polskie władze nie mogły przemilczeć tak dużej fali pomocy. Na łamach „Trybuny Ludu” 17 kwietnia 1982 r. wicepremier Jerzy Ozdowski mówił: „Trzeba przyznać, że dostajemy bardzo dużo”. Ekipa Jaruzelskiego miała dylemat. W obliczu gwałtownej inflacji i problemów z zaopatrzeniem przyjęcie darów z Zachodu pozwoliło rozładować społeczne napięcia. Jednocześnie było jednak przyznaniem się, że władza nie potrafi wyżywić własnego narodu.

Powiew normalności

Wiosną 1982 r. IGFM mobilizowało Niemców, by akcja pomocy dla Polski nie okazała się krótkotrwałym zrywem. Żonie Reinharda Gnaucka →



Podziemia warszawskiego kościoła św. Marcina – kadr z filmu dokumentalnego „Paczki solidarności” (2011) w reżyserii Lwa Hohmanna.

→ udało się dotrzeć do Jerzego Giedroycia, szefującego paryskiej „Kulturze”. Powstała dzięki temu słynna „Odezza do Niemców”, pod którą podpisali się znani polscy intelektualiści: Jerzy Giedroyc, Leszek Kołakowski, Czesław Miłosz, Gustaw Herling-Grudziński czy Józef Mackiewicz. „Pomoc humanitarna dla cierpiącej ludności polskiej powinna być udzielana z pominięciem wszelkich kanałów rządowych – jedynie poprzez kościelne i niezależne organizacje dobroczynne albo poprzez godne zaufania osoby prywatne. Nawiązując korespondencję z Polakami, posyłając paczki rodzinom w potrzebie” – apelowali sygnatariusze. Odezza została przedstawiona na konferencji prasowej w Bonn z okazji polskiego święta 3 Maja.

W potrzebie byli choćby Polacy represjonowani przez władze. Jeszcze w grudniu 1981 r. pod patronatem abp. Józefa Glempa powstał Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i Ich Rodzinom. Komitet działał przy ul. Piwnej w Warszawie – przy kościele św. Marcina, którego rektorem był ks. Bronisław Dembowski. Początkowo dary znosili tu sami warszawiacy.

Z czasem zaczęła napływać pomoc z zagranicy. W prace Komitetu zaangażowali się m.in. reżyser Maciej Prus i znani aktorzy. „W kościele św. Marcina brałem udział w przygotowywaniu paczek dla internowanych. Z Mają Komorowską rozwiliśmy je do więzienia w Olszynie Grochowskiej dla kobiet i w Białoleńce dla mężczyzn” – wspomina Daniel Olbrychski.

Pomoc trafiała także do rodzin internowanych i więzionych członków Solidarności. Takich jak rodzina Jarmoszków z warszawskiego Mokotowa. Elżbieta Jarmoszek współorganizowała w 1980 r. Solidarność Nauczycielską. W czasie stanu wojennego urzędziła w swoim mieszkaniu skrzynkę z prasą podziemną. Została aresztowana i trafiła na siedem miesięcy do więzienia. Jej mąż przebywał w tym czasie za granicą. Trzy córki z dnia na dzień zostały same.

„Prokurator straszył mnie, że moje siostry trafią do domu dziecka” – wspomina dziś Krystyna, najstarsza z rodzeństwa. Dzięki temu, że była pełnoletnia, mogła wówczas przejąć opiekę nad młodszymi siostrami: czternastoletnią Marysią i dziesięcioletnią Ulą. Mocno wierzyły, że na

święta 1982 r. mama zostanie zwolniona. Dzwonek do drzwi zwiastował jednak coś innego: paczkę z Niemiec – od małżeństwa Gabriele i Josepha Mayerów z Monachium.

W środku były m.in. pomarańcze (prawie niedostępne w PRL) i świeca – symbol pamięci. W te trudne święta powiało na chwilę normalnością. Później przychodziły kolejne paczki od Mayerów. „Bardzo mi to pomogło. Było wtedy u nas biednie. Mamie zabrano pensję. Musiałam sama zarobić, żeby utrzymać siostry” – mówi Krystyna. Równie ważny był psychologiczny wymiar tej pomocy. „To był dowód, że nie jesteśmy same. Że nawet za granicą o nas wiedzą. Obcy ludzie wyciągnęli do nas rękę w sytuacji, kiedy nawet rodzina się bała”.

Pomysłowy przemysł

Dary z RFN przychodziły nie tylko pocztą. Były także wożone w konwojach. Gotowość do pomocy była ogromna. „Dostałam 12 tirów zabawek. Jakiś hurtownik dał nam 8 tysięcy par butów. A kiedy w Niemczech likwidowano jakiś szpital, to się tam pojawiały i brałam rzeczy, które jeszcze były dobre, na przykład ultrasonografy” – opowiadała na łamach „Rzeczpospolitej” dr Krystyna Graef z Frankfurtu nad Menem, która z pomocą dla Polaków zaczęła jeździć jeszcze przed stanem wojennym. Graef wozila w tym czasie także m.in. mleko w proszku i detergeny. Dość łatwo było dostać bezpłatnie próbki leków, jakie firmy farmaceutyczne dawały lekarzom.

Ciężarówkę można było wynająć za symboliczne pieniądze lub nawet pożyczyc za darmo. Każdy w RFN, kto miał zwykłe prawo jazdy, mógł wówczas prowadzić pojazd o nośności do 7,5 tony. „Jeździliśmy dwójkami. Jedna osoba spała, druga prowadziła. I tak na zmianę, dzień i noc – wspomina Wolfgang Stock. – Międzynarodowe Towarzystwo na rzecz Praw Człowieka pomagało nam organizacyjnie i finansowo. Tego jednak nie mogliśmy powiedzieć polskim urzędnikom. IGFM było źle widziane przez rząd PRL. Zwróciliśmy się więc do protestanckiego zakonu joannitów, znanego z działalności charytatywnej. I jeździliśmy pod ich szyldem”.

Młodzi Niemcy kontaktowali się z Komisją Charytatywną Episkopatu Polski. W Gdańsku nocowali u ks. Henryka Jankowskiego. W Warszawie zatrzymywali się u ks. Jerzego Popiełuszki. Jeździli również do Wrocławia, Katowic, Łodzi i wielu innych miast.

„Zaczęliśmy od żywności i odzieży. Potem doszły do tego lekarstwa i sprzęt dla szpitali. Gdy poczuliśmy się pewniej, szmuglowaliśmy nawet sprzęt i materiały dla polskiej opozycji” – mówi Stock. Do Polski trafiały w ten sposób wydawnictwa emigracyjne, kserokopiarki, farby drukarskie czy sprzęt radiowy. W drugą stronę przewożone były m.in. publikacje podziemnej prasy.

Było normą, że podróż w dwie strony trwała pięć, sześć dni. „Polska kontrola to było pół biedy, ale musieliśmy przejechać przez NRD. Tamtejsi pogranicznicy byli dużo bardziej skrupulatni” – opowiada Marie

Zielińska, w tamtym czasie studentka z Fryburga. Bywało, że celnicy otwierali każdą paczkę. A w konwoju jechało co najmniej kilka ciężarówek, z których każda wiozła po kilka ton pomocy. „Któregoś razu sprawdzali nas przez 48 godzin” – mówi mający podwójne obywatelstwo Paweł Janczewski, który w latach 1982-89 jeździł z Würzburga z transportami do Polski. Zdarzały się upokarzające kontrole osobiste.

Pomysłowość kierowców nie znała granic. „Najlepszy schowek był w starej maszynie do oczyszczania powietrza. Można ją było rozkręcić i przy filtrach było sporo miejsca. Inną skrytkę zrobiliśmy w komorze silnika, jeszcze inną w rurach, które trzymały plandekę ciężarówki” – opowiada Janczewski.

Były sposoby, by oblaskawić celników i żołnierzy. Czasem wystarczyło trochę alkoholu, by kontrola była mniej drobiazgową. Czasem major dostał narty albo rower dla dziecka. Nawet nieprzewidziane trudności udawało się pokonać. „Był chyba rok 1984. Nigdzie w Polsce nie można było dostać diesla, nawet na kartki. Koło Legnicy ktoś nam powiedział, żebyśmy poszli do Rosjan. Mieliby cysternę przykrytą plandeką. Gdy się ściemniło, mogliśmy zatankować do pełna. Kosztowało nas to kilogram kawy i pięć kilo pomarańczy” – mówi Janczewski.

Mimo wszystko kierowcy brali na siebie olbrzymie ryzyko. „Wieżliśmy kiedyś palety z syropem na kaszel. W trzech kartonach na samym końcu ukryliśmy rozłożoną na części maszynę drukarską. Celnik w ostatniej chwili zrezygnował z dokładnego przejrzania tych kartonów” – wspomina Janczewski. W razie wypadki kierowcom ciężarówki groziło nawet pięć lat pozbawienia wolności.

„Niebezpieczeństwo było ogromne – przyznaje Stock. – Liczyliśmy jednak, że o sprawie dowiedzą się media i niemiecka opinia publiczna. Po kilku miesiącach zapewne wyszlibyśmy na wolność. Władze PRL nie chciały mieć złej prasy na Zachodzie. W najgorszej sytuacji były osoby z polskim obywatelstwem. Im trudniej byłoby pomóc”.

Żli i dobrzy Niemcy

W kolejnych latach transporty z darami przyjeżdżały nadal. Kiedy

w 1986 r. Władysław Bartoszewski odbierał we Frankfurcie nad Menem Nagrodę Pokojową Księgarzy Niemieckich, mówił o akcji pomocy dla Polski: „Jej pełne psychologiczne znaczenie okaże się w przyszłości bardziej istotne niż jej niewątpliwe znaczenie materialne”.

Paczki i ciężarówki z pomocą z Zachodu to poważny wyłom w żelaznej kurtynie, która po II wojnie światowej podzieliła Europę. Komunistyczna propaganda przez długie lata przekonywała, że Niemcy z RFN do rewanżystów, czekający tylko na dobrą okazję, by odzyskać Wrocław, Szczecin i Gdańsk.

W latach 80. Polacy przekonali się, że w RFN mieszkają także tysiące ludzi dobrej woli. Paczki i dary przychodziły również od Niemców wysiedlonych z Mazur, Pomorza czy Śląska. Między darczyńcami i obdarowanymi nawiązały się przyjaźnie, które w wielu przypadkach przetrwały do dziś.

Nie brakowało też romantycznych historii. Wolfgang Stock przy okazji któregoś z transportów poznał Oriannę von Lehsten, studentkę z Heidelbergu. Pobrali się w 1986 r. i w podróż poślubną pojechali do Polski. Ich koleżanka Marie Zielińska, wówczas jeszcze używająca panińskiego go nazwiska von Spee, rozpoczęła w 1987 r. studia w Lublinie. Wyszła potem za Polaka i dzisiaj mieszka koło Krakowa.

Stock jest dziś profesorem. W 2010 r. otrzymał z rąk prezydenta Bronisława Komorowskiego „Medal Wdzięczności” Europejskiego Centrum Solidarności. Jednak nie wszyscy, którzy w latach 80. nieśli pomoc Polakom, doczekali się należytego uznania.

FILIP GAŃCZAK

→ **FILIP GAŃCZAK** jest redaktorem miesięcznika „Pamięć.pl”, autorem książek „Erika Steinbach. Piękna czy bestia?” (2008) i „Filmowcy w matni bezpieki” (2011).

→ Dziękuję pani Marii Jarmoszek i panu Gerhardowi Gnauckowi za pomoc w nawiązaniu kontaktu z bohaterami tekstu. Korzystałem także z książki „Pomoc dla Polski. Zostali przemysłnikami dla Polaków” pod red. Barbary Cöllen, Bartosza Dudka i Krzysztofa Ruchniewicza (wyd. Atut, Wrocław 2011).

W akcję pomocy dla Polski włączyły się Niemiecki Czerwony Krzyż, organizacje kościelne, miasta, gminy, stowarzyszenia, związki zawodowe i osoby prywatne.

Gunda Barg, gospodyni domowa z Hamburga, zatrudniła się jako sprzątaczką, by za zarobione pieniądze wysyłać co miesiąc przynajmniej dwie paczki do Polski. Na pomoc dla mieszkańców PRL zrzucili się nawet więźniowie zakładu karnego w Lubece.

Nowy numer „Pamięci.pl” już w sprzedaży

„Pamięć.pl” to popularnonaukowy miesięcznik Instytutu Pamięi Narodowej. Jego najważniejszym zadaniem jest popularyzacja wiedzy na temat dziejów najnowszych oraz prezentacja wyników badań prowadzonych przez historyków pracujących w Instytucie.

Czytelnicy znajdą w piśmie nieznanne fakty, interesujące dokumenty, zaskakujące fotografie. „Pamięć.pl” kontynuuje misję swego poprzednika, „Biuletynu IPN”, przybliżając ważne tematy z zakresu historii XX wieku.

PREZENTACJA WSPÓŁORGANIZATORA FESTIWALU WIEK XX ANAMINESE

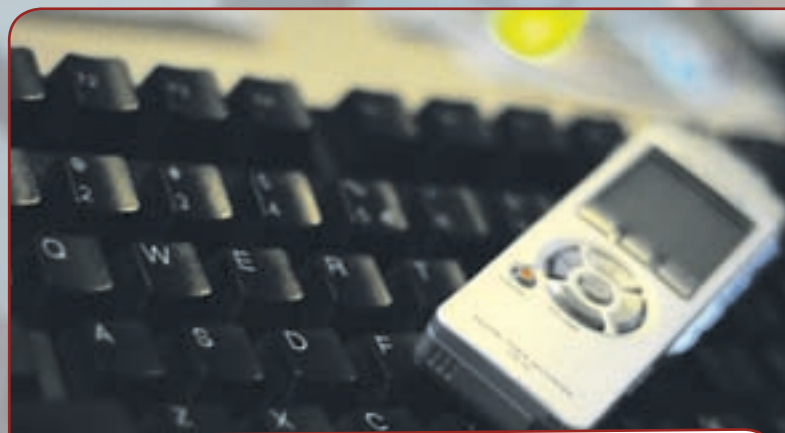


„Pamięć.pl” można zakupić:
w siedzibie IPN
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki
PRZYSTANEK HISTORIA
ul. Marszałkowska 21/25, 00-625 Warszawa
tel. (22) 576 30 06
oraz w salonach sieci EMPIK.
Część nakładu jest bezpłatnie rozsyłana do szkół.

www.pamiec.pl



**Ośrodek
Pamięć i Przyszłość**
www.pamieciprzyszosc.pl



Największe na Dolnym Śląsku archiwum historii mówionej



„Solidarny Wrocław” – wystawa przygotowana na 30-lecie podpisania Porozumień Sierpniowych, którą przez 3 miesiące odwiedziło ponad 60 tys. osób



Dziesiątki wystaw historycznych w przestrzeni miejskiej



Projekty edukacyjne, gry miejskie, konkursy dla uczniów i programy stypendialne dla młodych naukowców



Działalność naukowa i wydawnicza, sympozja, Wrocławski Rocznik Historii Mówionej



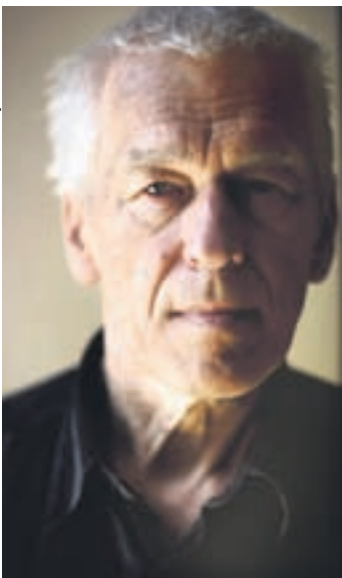
Centrum wystaw historycznych powstające w kolebce wrocławskiej Solidarności, w zajezdni przy ul. Grabiszyńskiej



Wystawy wirtualne poświęcone ważnym dla Wrocławia ludziom i wydarzeniom

Więcej informacji na www.pamieciprzyszosc.pl i na portalach społecznościowych:





Kornel Morawiecki, 2008 r.

Demonstracja wrocławskiej opozycji, koniec lat 80.



Pączkowanie fraktala

Kornel Morawiecki, przywódca Solidarności Walczącej:

W podziemnej organizacji największą motywacją do działania dają założone cele.

Ważne jest też zaufanie i przyjacielskie stosunki z kolegami, którzy robią podobne rzeczy.

ŁUKASZ MEDEKSZA: Jak opisałby Pan strukturę Solidarności Walczącej?

KORNEL MORAWIECKI: Była nieuporządkowana. Jeden z moich kolegów, Jurek Pietraszko, matematyk, który sam działał w SW i wydawał pisma podziemne, mówił, że to była struktura chaosu.

W dokumencie „Głową mur przebijesz” opowiadającym o Solidarności Walczącej inny naukowiec porównuje jej strukturę do fraktala.

To prof. Andrzej Kisielewicz, też matematyk. Przez dłuższy czas wraz z żoną redagował pismo „Solidarność Walcząca”. Ale mnie najbardziej odpowiada analogia, którą zaproponował jeden z założycieli SW, Andrzej Myc, biochemik. Jego zdaniem przypominała ona glona, który rośnie tam, gdzie może.

Na pewno w tych efektownych porównaniach jest przesada. Pewne jest jednak, że nie byliśmy organizacją o charakterze pionowym, gdzie jest podległość, szczeble i drzewko zależności.

W SW istniało jednak chyba napięcie pomiędzy zasadą hierarchiczności a ową fraktaloidalnością.

W podziemnej organizacji największą motywacją do działania dają założone cele. Ważna jest też identyfikacja ze strukturą, zaufanie i przyjacielskie stosunki z kolegami, którzy robią podobne rzeczy. Element formalnego podporządkowania jest drugorzędny. (...) Ja byłem za decentralizmem, za dowolnością w zarządzaniu i kierowaniem organizacją na podstawie zasady autorytetu. Gdy się go ma, to się innych dopinguje do działania. Byłem dumny, widząc zaangażowanie takich osób jak Hanna Łukowska, Marysia Koziebrodzka, Jan Pawłowski, Czarek Lesisz, Romek Lazarowicz, Iga Jerzmańska – mógłbym długo jeszcze wymieniać... Ci ludzie działali w podziemiu, mimo że prowadzili normalne życie, mieli rodziny. A ja się ukrywałem. I podnosiło mnie na duchu, że oni robią to tak ofiarnie, tak dobrze. Byłem dumny i zobowiązany w stosunku do nich. Mimo że byłem ich szefem. Ta relacja wzajemnych zobowiązań była bardzo ważna – niezależnie od hierarchii.

Czy taki zdecentralizowany typ działania to był świadomy zamysł, czy raczej efekt wymogów sytuacji w stanie wojennym?

Myszę, że i jedno, i drugie. Podobny typ organizacji wprowadziłem jeszcze przed Solidarnością, gdy wydawałem „Biuletyn Dolnośląski” [od 1979 r. – red.]. W podziemiu nie możesz wydać nikomu rozkazu. Bo co zrobisz, gdy ktoś ci powie, że czegoś nie zrobi? Że np. nie będzie drukował? Albo że jest chory? (...)

Nie jest jednak tak, że SW nie miała wiążących struktur. Takim symbolicznym, mocnym ogniwem była przysięga. Ale i ona nie była obligatoryjna. Nawet wśród tych jedenastu osób, które zakładały SW, była jedna, która nie złożyła przysięgi. Oczywiście, przysięga nie była proponowana od razu, gdy ktoś przyszedł do organizacji. Trzeba było do niej dojrzeć. Musieli ją odbierać dwaj zaprzysiężeni członkowie SW. Ale też nie było to ewidencjo-

nowane. Nikt nie pytał się, czy może kogoś zaprzysięć. Jeśli byłeś członkiem SW i znalazłeś kogoś nowego, to razem z jeszcze jednym członkiem SW mogliście go zaprzysięć.

Tak właśnie pączkuje fraktal.

Tak. Czynnikiem porządkującym naszą działalność było regularne wydawanie naszej gazetki, „Solidarności Walczącej”. Wychodziła co tydzień. To świadczyło o istnieniu organizacji (...).

Powstał mit silnego przywódcy.

Koleczy wiedzieli, że nie jestem taki silny (śmiech). Ale mit funkcjonował. Moje ukrywanie się było bardzo ważne. Gdy wpadłem [w 1987 r. – red.], miałem do siebie ogromne pretensje. To było drugie wielkie uderzenie esbecji. Po tej wpadce moi koleczy przyszli do mieszkania, w którym się wcześniej ukrywałem, i zniszczyli zapisy naszych nasłuchów [SW podsłuchiwała i zapisywała rozmowy prowadzone drogą radiową przez milicję i SB – red.]. Gazetka w dalszym ciągu wychodziła (...).

Na początku lat 60. pewien amerykański oficer wymyślił metodę działania w konspiracji nazwaną „leaderless resistance” – „opór bez lidera”. Proponował ją na wypadek, gdyby Stany Zjednoczone znalazły się pod okupacją sowiecką. Strategia ta przewiduje istnienie komórek oporu, które działają niezależnie od siebie i nie są powiązane żadną strukturą ani hierarchią. Mają za to wspólny cel.

Gdy byłem po raz drugi w Stanach Zjednoczonych, w 1994 r., zająłem

do pewnej miejscowości nad Atlantykiem. Odwiedziliśmy tam człowieka o nazwisku Stefan Buchholz. Pochodzi ze Szczecina, a do USA wyemigrował po wyjściu z PRL-owskiego więzienia. Mówił mi, że działał w Solidarności Walczącej. Rozrzucił ulotki. Zapytałem, z kim miał kontakt. On na to: „Z nikim! Podobał mi się. Ale po co miałem mieć z wami kontakt? Żeby was sypać? Zaczęłem robić to samo! Stworzyłem własną grupę”.

Klasyyczny „leaderless resistance”.

W sensie ideowym on miał lidera – strukturę SW, czy mnie. Ale nie miał z nami żadnych powiązań. Myszę, że w wielu miejscach tak to właśnie pączkowało.

Niedawno odbyła się sesja naukowa IPN, na 25-lecie SW w Poznaniu. Historycy opowiadali, że np. badali SW w Koninie, Kępnie czy Pile. Ich referaty były dla mnie niesamowicie ciekawe i budujące. Nie zdawałem sobie sprawy, jak ta nasza idea była przez różnych ludzi życzliwie odbierana i chętnie powielana. Nie wiedziałem, że istniało tyle organizacji terenowych SW. (...) Myszę, że podobnie działa bin Laden i Al-Kaida. Ich struktura jest dokładnie taka jak Solidarności Walczącej. Kto chce, to jest w Al-Kaidzie.

Czy SB próbowała jakoś nękać Pana rodzinę, gdy był Pan w podziemiu?

Zdarzały się takie incydenty. Mojego kilkunastoletniego wówczas syna Mateusza wzięli z ulicy w 1983 r., poturbowali troszeczkę, wywieźli gdzieś, strasząc, że go zabiją. Wyrzucili go poza Wrocławiem. Mocno to prze-

żył. Ale była też nasza odpowiedź. Spaliliśmy altankę na działce szefowi wrocławskiej SB Czesławowi Błażewskiemu.

Co też świadczyło o tym, że SW wiedziały, gdzie on ma działkę.

Taka miarodajna odpowiedź. Mogliśmy to zlekceważyć, ale spaliliśmy altankę. Potem wyszło na to, że spaliliśmy nie tę altankę, a sąsiednią (śmiech). Pomylili się chłopcy, którzy wykonywali to zadanie (...).

Pod koniec lat 80. SW była skazana na pożarcie przez obie strony globalnego konfliktu. Co ciekawe, zarówno oficerowie SB, jak i ważni ludzie w USA pchali Waszą organizację w podobnym kierunku.

Ale to zrozumiałe. Bo oni chcieli uzyskać w Polsce – i w całym bloku sowieckim – pewien *modus vivendi*. To była koncepcja pierestrojki – przekształcenia ustroju w socjalizm z ludzką twarzą, pewnej konwergencji systemów.

Potem to rzeczywiście nastąpiło.

Można powiedzieć, że teraz jest konwergencja, ale już nie systemowa, a personalna. Ludzie Solidarności mają władzę polityczną, a ludzie dawnego reżimu mają bogactwa.

Jak u Marksa: baza i nadbudowa. Baza pozostała w rękach komunistów, nadbudowę przejęła Solidarność.

Ale to już konwergencja nie w ramach komunizmu, bo komunizm upadł. W tym sensie wyszło na nasze. ♦

ROZMAWIAŁ ŁUKASZ MEDEKSZA

● Pełna wersja wywiadu ukazała się w kwartalniku „Pamięć i Przyszłość” nr 2/2008 oraz na stronie internetowej Ośrodka „Pamięć i Przyszłość”.

→ **KORNEL MORAWIECKI** (ur. 1941) był przewodniczącym Solidarności Walczącej, w latach 80. największej po NSZZ „Solidarność” organizacji opozycyjnej w Polsce – oraz jednym z najdłużej ukrywających się działaczy podziemia w kraju.

Kornel Morawiecki: Ja byłem za decentralizmem, za dowolnością w zarządzaniu i kierowaniem organizacją na podstawie zasady autorytetu. Gdy się go ma, to się innych dopinguje do działania.

W działalności Ośrodka „Pamięć i Przyszłość” szczególnie miejsce zajmuje postać kard. Bolesława Kominka. Ostatnio powstał spektakl teatralny poświęcony kulisom powstania Orędzia biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 r.

Ośrodek poszukuje ciekawych i nowoczesnych sposobów opowiadania o historii. Poniżej: realizacja teledysku do piosenki „Zomo na Legnickiej” w wykonaniu zespołu Big Cyc.



ANDRZEJ JERIE / OSRODEK „PAMIĘĆ I PRZYSZŁOŚĆ” x 2

Nie możemy żyć bez historii

Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”

to samorządowa instytucja kultury, która od 2007 r. dokumentuje i popularyzuje najnowszą historię Wrocławia i Dolnego Śląska. A jest to historia wyjątkowa, przede wszystkim dlatego, że w okresie powojennym dokonała się tu bezprecedensowa w dziejach Europy całkowita wymiana ludności. Przybywający z różnych stron ekspatrianci musieli zaczynać zupełnie od zera i zbudować na cudzych gruzach własne miasto. Z drugiej strony w historii tych ziem jak w soczewce skupiają się powojenne losy Polski i Europy.

Wyjątkowość i delikatność zadania, które stoi przed Ośrodkiem, polega też na tym, że podejmowane tematy dla wielu są wciąż żywym wspomnieniem, elementem osobistej i zbiorowej przeszłości. Przeszłości, która decydowała o historii tego miasta, jego obecnym charakterze, ale i wpływa na przyszły jego kształt.

Dokumentacja przeszłości

Jednym z podstawowych zadań Ośrodka „Pamięć i Przyszłość” jest ochrona wspomnień świadków wyjątkowej historii Wrocławia i Dolnego Śląska, którzy przybyli na te ziemie po wojnie często wbrew swojej woli; utrwalanie pamięci o tym, co działo się na Ziemiach Zachodnich po okresie cierpienia i zniszczeń II wojny światowej, pamięci o tym, jak zwykli ludzie „oswajali” obcy sobie Wrocław, zmagali się z codziennymi trudnościami

okresu PRL, walczyli z komunizmem i przekształcali miasto w miejsce, które lada chwila stanie się Europejską Stolicą Kultury.

Dlatego też w Centrum Dokumentacyjnym Ośrodka są gromadzone, opracowywane i udostępniane relacje świadków historii, a wydawany przez Ośrodek „Wrocławski Rocznik Historii Mówionej” popularyzuje nie tylko same relacje, ale również metodologię ich zbierania i opracowywania. Ośrodek pełni również rolę depozytariusza pamiętek i dokumentów przynoszonych przez świadków historii oraz unikalnych kolekcji fotograficznych, np. NAF Dementi, udostępnianej na stronie www.nafdementi.pamieciiprzyszosc.pl.

Działalność naukowa

Wspierany przez wrocławskie środowisko akademickie Ośrodek „Pamięć i Przyszłość” inicjuje (np. poprzez program stypendialny dla młodych badaczy) i prowadzi badania naukowe nad najnowszą historią Ziemi Zachodnich i Północnych, a wiedzę o nich upowszechnia w wydawanych przez siebie publikacjach naukowych i popularnonaukowych.

Wśród poruszanych do tej pory tematów znalazły się m.in. powojenna turystyka w Sudetach, sytuacja dzieci, młodzieży i studentów czy historia klubu sportowego Śląsk Wrocław. W centrum zainteresowania Ośrodka znajdują się również dzieje i rola Kościoła katolickiego na Ziemiach Zachodnich, a w szczególności postać pierwszego powojennego biskupa wrocławskiego, kardynała Bolesława Kominka, autora słów „Przebaczymy i prosimy o przebaczenie”, które



przeszły do historii Europy i stały się kamieniem milowym na drodze do pojednania polsko-niemieckiego.

Ośrodek od początku swojego istnienia dba o pamięć o wrocławskim metropolie, podejmując szereg projektów dotyczących jego życia i działalności, a także okoliczności powstania i znaczenia Orędzia biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 r. Kardynałowi poświęcone zostały już opracowania naukowe nieznanych dotąd szerzej archiwaliów, film dokumentalny, spektakl teatralny, serwis internetowy www.kardynalkominek.pl, a nawet komiks.

Nowoczesna edukacja i patriotyzm jutra

Ośrodek „Pamięć i Przyszłość” realizuje misję popularyzacji najnowszej historii Wrocławia i Dolnego Śląska przy wykorzystaniu nowoczesnych metod i technologii, atrakcyjnych zwłaszcza dla młodych ludzi.

Projekty edukacyjne, takie jak historyczne gry miejskie, konkursy dla uczniów i studentów, komiksy historyczne, koncerty, festiwale, spektakle teatralne, debaty i spotkania ze świadkami historii ukierunkowane są na rozwój wiedzy, wrażliwości i zainteresowania własną historią oraz na promowanie wartości takich jak: solidarność, tolerancja dla innych kultur

i narodów oraz szacunek dla przeszłości i wspólnego dziedzictwa kulturowego – narodowego i europejskiego, będących nieodłącznymi elementami nowoczesnego patriotyzmu.

Wśród metod prezentacji historii, które cieszą się dużym zainteresowaniem zwłaszcza młodego pokolenia, są realizowane przez Ośrodek interaktywne wystawy wirtualne, na których prezentujemy ciekawe postaci, takie jak Ewa Szumańska (www.mloda-lekarka.pl), Jerzy Woźniak (www.jerzywozniak.pl) czy Władysław Żmuda (www.trenerzmuda.pl) oraz ważne dla Wrocławia wydarzenia, jak np. największa w historii PRL manifestacja uliczna, która odbyła się we Wrocławiu i Lubinie 31 sierpnia 1982 r. (www.31sierpnia1982.pl).

Centrum historii „zajezdnia”

Ośrodek „Pamięć i Przyszłość” zmierza również do utworzenia we Wrocławiu nowoczesnego miejsca spotkań z historią: regionalną i ponadregionalną. Centrum Historii „Zajezdnia” będzie zlokalizowane w historycznej zajezdni autobusowej przy ul. Grabiszyńskiej, gdzie rozpoczęły się strajki wrocławskiej Solidarności. Ośrodek będzie tam realizował działania takie jak: wystawy, projekty edukacyjne, naukowe, artystyczne i kulturalne,

które służyć będą prezentacji powojennej historii Wrocławia i Dolnego Śląska jako ważnego elementu dziedzictwa Europy i ukazywać jej znaczenie w kontekście europejskich przemian po II wojnie światowej. Otwarcie „Zajezdni” zostało zaplanowane jako jedno z ważniejszych wydarzeń w ramach Europejskiej Stolicy Kultury w 2016 roku.

Zespół

Ośrodek „Pamięć i Przyszłość” to nie tylko misja i realizowane w jej ramach projekty, ale przede wszystkim ludzie przekonani, że wartości historyczne i kulturowe, stworzone przez Polaków we Wrocławiu i na Dolnym Śląsku, miały ogromne znaczenie w historii Polski i wywarły istotny wpływ na przezwyciężenie pojałtańskiego podziału Europy.

Ludzie pełni pomysłów i pasji, którą zarażają kolejne pokolenia. Ludzie, którzy wierzą, że pamięć o przeszłości i jej ochrona mają ogromne znaczenie dla przyszłości – Wrocławia, Polski, Europy. ♦

ZOBACZ:

- www.mloda-lekarka.pl
- www.jerzywozniak.pl
- www.trenerzmuda.pl
- www.31sierpnia1982.pl

KULTURA I P PARYSKA

dom i ludzie

FUNDACJA KULTURY PARYSKIEJ
kultura@kultura.fr

Fotografie z Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu

TERMIN
listopad-grudzień
2013

MIEJSCE
„CAFÉ THEA”,
Instytut
im. Jerzego
Grotowskiego
Wrocław, Rynek
- Przejście
Żelaznicze 4

Solidarność – **mówił w latach 90.**

Giedroyc – była imponującym zrywem robotników i postępowej inteligencji, który niezmiernie szybko się skończył. Nastąpiła euforia i nic więcej. (...)

Dziś uważam Solidarność za dziurawy parasol, pod który niektórzy ludzie się chowają, chcąc wykorzystać dawną legendę.

Jerzy Giedroyc podlewający ogród w Maisons-Laffitte, 1956 r., fotografował Henryk Giedroyc. Dzięki uprzejmości Fundacji Kultury Paryskiej. To i wiele innych zdjęć – na wystawie w Instytucie im. Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu



Jerzy Giedroyc wobec przełomu

Pochłonięty pracą polityczną i redaktorską, Jerzy Giedroyc bacznie śledził zmiany zachodzące nad Wisłą, których osąd wyostrzał dystans niemal 1600 km, dzielący Maisons-Laffitte od Warszawy.

WOJCIECH SIKORA

Zwycięstwo strajkujących w 1980 r. robotników Jerzy Giedroyc określił jako moment przełomowy w historii Polski, doradzając Solidarności konsekwencję, umiarkowanie i powściągliwość w żądaniach. Już w październiku 1980 r. ostrzegł w „Kulturze”, że „polski Sierpień jest datą graniczną, ale też i w nim samym istnieje granica, której przekroczyć nie wolno”. W ciągu kolejnych miesięcy „karnawału Solidarności” komentarze Redakcji i główne teksty w miesięczniku tchnęły spokojem i rozumą. Podpowiadały strategię działania w trudnym położeniu, w jakim znalazła się Polska, w jej nędzy, w „sytuacji mętnej, nieprzejrzystej”.

Cierpkie słowa Redaktora

Stan wojenny zaskoczył Jerzego Giedroycia, który nie przewidział takiej formy puczu, określając go jako „zamach partyjnej soldateski” dokonany „za zgodą i zachętą Moskwy”. Nie szczędził też gorzkich słów pod

adresem rodaków. Przypominał słowa Józefa Piłsudskiego: „Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, aby ta niepodległość kosztowała dwa grosze i dwie krople krwi – a niepodległość jest dobrem nie tylko cennym, ale i bardzo kosztownym”. W miesięczniku pisano o „jeszcze jednej polskiej tragedii narodowej” i upadku mitu dogadania się „Polaka z Polakiem”.

Mimo tych cierpkich słów Redaktor postanowił – w obliczu dramatycznej sytuacji w Polsce – skoncentrować działania na „pomocy dla ludzi walczących w Kraju z komunistyczną juntą Jaruzelskiego i coraz bardziej krwawym terrorem oraz dla coraz liczniejszych ofiar”. Słał do Polski paczki z książkami i z żywnością, a nawet finansował przystosowanie samochodów do szmuglowania maszyn drukarskich, przekazywał dolary i franki. Również wiele wysiłków kosztowały go zabiegi o przyznanie Lechowi Wałęsie Pokojowej Nagrody Nobla.

Jednak już w połowie lat 80. „Kultura” zarzucała działaczom Solidarności, że demobilizują masy związkowe, łudząc je i samych siebie mirażem porozumienia z władzą komunistyczną. Solidarność była stopniowo zastępowana przez ducha i idee, stając się symbolem bezbronny i bezsilnym. Nie można było pokornie wyczekać na łaskę rządzących – twierdził Jerzy Giedroyc. Kiedy w 1988 r. po fali protestów komuniści postanowili rozpocząć rozmowy z Solidarnością, Redaktor przestrzegał przed optymizmem i przyjmowaniem warunków przeciwnika: „Widzę, że wszędzie się mówi o liberalizacji, a zapomina o niepodległości”.

Jerzy Giedroyc nie uległ euforii obrad Okrągłego Stołu i wyborów 1989 r. Uważał, że opozycja nie przygotowała się do przejęcia władzy, nie wyszkoliła ludzi ani nie opracowała programów działania. Pisał: „Nikt nie zastanawiał się, jak należy dążyć do niepodległości i jak tę niepodległość, jeśli przyjdzie,

zorganizować. Traktowano rzeczywistość komunistyczną jako coś stałego, co będzie istniało wiecznie, i uważano, że w takiej sytuacji można zastanawiać się jedynie nad jakimiś korektami realnego socjalizmu”.

Wychowanie do wolności

Redaktor uważał, że społeczeństwo polskie można wychować, że można mu mówić prawdę i ono to zniesie – przywołując po raz wtóry przykład Józefa Piłsudskiego. Uważał jednocześnie, że rządzący w Polsce boją się społeczeństwa, schlebując mu i unikając spraw niepopularnych. Taka analiza nie budziła optymizmu, nie dawała nadziei na przyszłość.

Giedroyc, wcześniej dyrygujący piórami swych publicystów, sam zabrał się do pisania, by punktować (bez zbędnych przymiotników i okólników) sprawy do załatwienia. Korzystał z każdej okazji i trybuny, by mówić o tym, co złe, zaniechane, przemilczane, jak działać, żeby Polska odnalazła – tak drogą mu – ideę państwa i odpowiedzialności państwowej. Jego korespondencja z tamtych lat bije rekordy. Redaktor nie odmawia nikomu – liczba udzielonych wywiadów, tak do prasy ogólnokrajowej, jak i lokalnej, a także zagranicznej, jest imponująca, wzrasta lawinowo, a w Laficie przed jego gabinetem ustawiają się niemal kolejki, jak do cadyka w Górze Kalwarii. Przyjmuje wszystkich (prezydentów, dyrektorów, działaczy, polityków), tłumacząc, prosząc, dopingując do działań. Może też świadomość, że nie ma tak wiele czasu (był już po osiemdziesiątce), dodawała mu energii i sił...

W pierwszych latach wolności Redaktor krytykował – niekiedy bardzo mocno i dosadnie – to, co działo się w Polsce. W każdym numerze miesięcznika publikował swoje „Notatki Redaktora”. Zarzucał w nich wówczas m.in. rządowi Tadeusza Mazowieckiego, że nie miał kontaktu ze spo-

łeczeństwem i nie potrafił mu wytłumaczyć sensu reform i wyrzeczeń. Jego zdaniem opozycja popełniła błąd, gdyż w przededniu rozpadu Związku Radzieckiego i samolikwidacji PZPR uznała komunistów za realną siłę, za partnerów do rozmów i paktując z nimi, szła na niepotrzebne ustępstwa.

Giedroyc nie krytykował jednak dla samej krytyki. Wielokrotnie formułował postulaty wobec polityków i proponował konkretne rozwiązania, np. pisząc w „Kulturze” na początku 1991 r.: „Jedną z najpilniejszych spraw, która stoi przed rządem i musi zostać natychmiast załatwiona, jest usprawnienie informowania społeczeństwa, co wymaga kompetentnej reorganizacji zabagnionej sytuacji w radiu i w telewizji. (...) Jeśli chodzi o gospodarkę, to należałoby utworzyć komisję międzyministerialną, która w możliwie szybkim, określonym terminie opracuje odpowiednią ustawę podatkową, która umożliwi rozwój gospodarczy kraju. W tej dziedzinie dzieją się rzeczy po prostu obłądne. (...) Jednocześnie należy jak najszybciej rozpocząć na serio walkę z nadużyciami, a to wymaga reorganizacji Najwyższej Izby Kontroli i rozszerzenia jej kompetencji (...) Rzeczą niezmiernie ważną jest przywrócenie społeczeństwu poczucia praworządności. (...) Jest rzeczą absolutnie nieodzowną stopniowe pozbywanie się starej nomenklatury. Widać, jak głęboko ten kolec tkwi za skórą Polaków”.

Dziurawy parasol

W wywiadzie dla „Dziennika Polskiego” z 1992 r. na pytanie, jak z perspektywy lat ocenia Solidarność, odpowiedział: „Negatywnie. To był imponujący zryw robotników i postępowej inteligencji, który niezmiernie szybko skończył się. Nastąpiła euforia i nic więcej. Nie wierzyli w stan wyjątkowy, choć ich o tym uprzedzano. Po wprowadzeniu stanu wojennego nastąpił kompletny paraliż. Ma się rozumieć, z tego się szybko otrząśnięto – wydawanie prasy podziemnej było rzeczą

imponującą w tamtych warunkach. Ale w samej Solidarności nastąpiły podziały, rozbicie na szereg zwalczających się grup. Dziś uważam Solidarność za dziurawy parasol, pod który niektórzy ludzie się chowają, chcąc wykorzystać dawną legendę Solidarności”.

W tym okresie w kraju niemal powszechne były głosy, że krytyczne opinie Jerzego Giedroycia są oderwane od rzeczywistości. Historia oceni, kto miał rację. Nam niech wystarczy powody tego krytycznego patrzenia z Maisons-Laffitte, wyłożone przez Redaktora w „Przesłaniu”, opublikowanym w 1994 r. w „Autobiografii na cztery ręce”: „Dzieje Polski cechuje stała tendencja do osłabiania władzy wykonawczej: słynne *pacta conventa*, anarchistyczna złota wolność, *liberum veto*. Przede wszystkim powinniśmy zmienić mentalność narodu. Wymaga to wzmocnienia władzy wykonawczej oraz kontroli sprawowanej przez nią przez Sejm. Wymaga to przebudowy systemu parlamentarnego, by wyeliminować zeń partyjniactwo i prywatę. Wymaga wprowadzenia rządów prawa i nieustępliwej walki z korupcją we wszystkich jej postaciach i odmianach. Wymaga prasy zarazem wolnej i przepojonej poczuciem odpowiedzialności. Wymaga rozdziału Kościoła od państwa. Wymaga poszanowania praw naszych mniejszości narodowych, musimy pamiętać, że jest to warunkiem dobrych stosunków z sąsiadami. Zdając sobie sprawę, że katolicyzm jest wyznaniem wielu obywateli polskich, musimy dbać również o Żydów, mormonów i protestantów oraz o prawosławie, które jest wyznaniem wielu obywateli polskich, a zarazem wyznaniem panującym w Rosji, na Ukrainie i na Białorusi. Jest to ogólny zarys mojej wizji Polski, o której realizację walczyłem przez całe życie”.

→ **WOJCIECH SIKORA** w latach 70. był działaczem opozycji demokratycznej w Krakowie. Od 2010 r. jest dyrektorem Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte pod Paryżem.

Od pięciu lat późnojesienne mgły nad krakowskim Rynkiem Głównym rozświetla promień latarni morskiej, w którą na ostatni tydzień października zmienia się Wieża Ratuszowa. Znak, że oto trwa w Krakowie Międzynarodowy Festiwal Literatury im. Josepha Conrada.

CONRAD

CONRAD FESTIVAL

TYGODNIK
POWSZECHNY

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

krakow
CITY OF LITERATURE
UNESCO

kbf

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

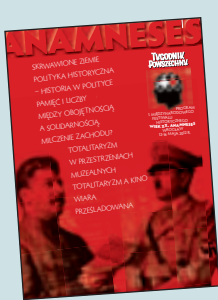


Goście Festiwalu Conrada.
U góry: Bożena Keff,
Joanna Bator i Inga Iwasów
(2010 r.).
Po prawej: Orhan Pamuk
(2012 r.),
poniżej: Herta Müller (2010 r.).
Na dole: Kiran Desai
i bracia Quay (2013 r.).

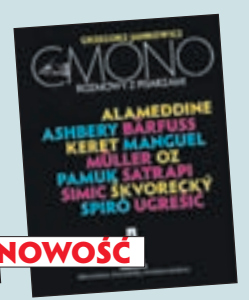
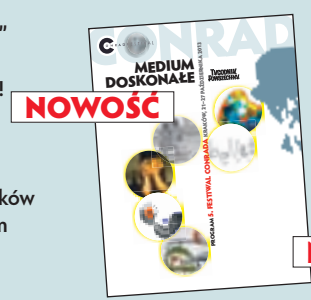
W odróżnieniu od wielu krajowych wydarzeń poświęconych jedynie literaturze polskiej, Conrad Festival pomyślany jest jako wydarzenie na skalę międzynarodową. Jego gośćmi są wybitni twórcy z różnych krajów, piszący w różnych językach, reprezentujący różne kultury i różne światopoglądy. Organizatorom zależy na stworzeniu w Krakowie wielobarwnej mozaiki artystycznej, która ilustruje bogactwo światowej (także polskiej) literatury, przybliżając rodzimym czytelnikom nowe obszary myśli i nowe formy wrażliwości. Literatura jest dla nas rodzajem metafizycznego treningu, który winien towarzyszyć każdemu z naszych światowych działań. Dlatego stworzyliśmy Festiwal Conrada, czyli wielki warsztat lektury i debaty, interpretacji i ideowego sporu. W ciągu pięciu lat Conrad Festival stał się intelektualną i artystyczną marką rozpoznawaną na całym świecie. W ciągu pięciu lat do Conradowskiego portu zawinęło przeszło pół tysiąca pisarzy – wśród nich literacyści nobliści, światowej sławy pisarze i eseści, nagradzani i wyróżniani najbardziej prestiżowymi nagrodami i tytułami, filozofowie, reżyserzy, artyści i krytycy. Conrad Festival to dzieło Gminy Miejskiej Kraków, Fundacji Tygodnika Powszechnego (odpowiedzialnej za program oraz merytoryczną stronę przedsięwzięcia), Krakowskiego Biura Festiwalowego (zajmującego się produkcją i promocją wszystkich wydarzeń festiwalowych) oraz szeregu instytucji i podmiotów wspierających.



„Tygodnik Powszechny” i Fundacja Tygodnika Powszechnego wydają magazyn literacki „Książki w Tygodniku” i kwartalnik „Conrad”, prezentowany na Festiwalu w specjalnej edycji. W ubiegłym roku zadebiutował dodatek „Anamneses” – edycja na Festiwal Historyczny we Wrocławiu. Polecamy ponadto publikacje Biblioteki Tygodnika Powszechnego – do nabycia na naszych stronach internetowych.



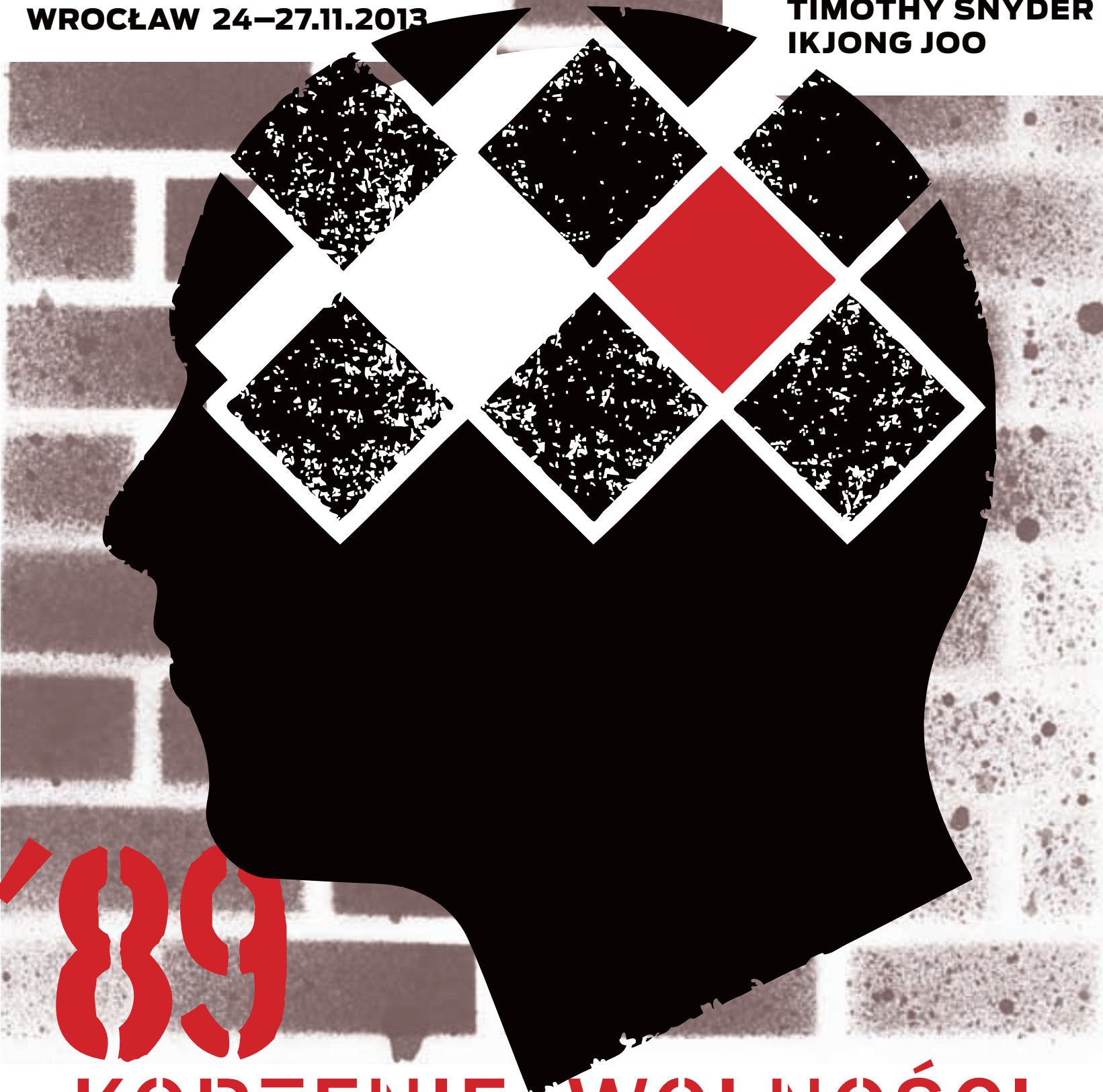
- „CMONO. ROZMOWY Z PISARZAMI” Grzegorza Jankowicza, wydane specjalnie na Festiwal Conrada!
www.powszech.net/cmone
- „MEDIUM DOSKONAŁE” – książka wydana specjalnie na Festiwal Conrada, zawierająca teksty z kwartalników CONRAD 2013 wraz z niepublikowanym dotychczas podręcznikiem technik surrealistycznych!
www.powszech.net/medium



WIEK XX. ANAMNESES

II MIĘDZYNARODOWY
FESTIWAL HISTORYCZNY
WROCŁAW 24–27.11.2013

GOŚCIE SPECJALNI
RICHARD DEMARCO
TIMOTHY SNYDER
IKJONG JOO



'89

KORZENIE WOLNOŚCI